

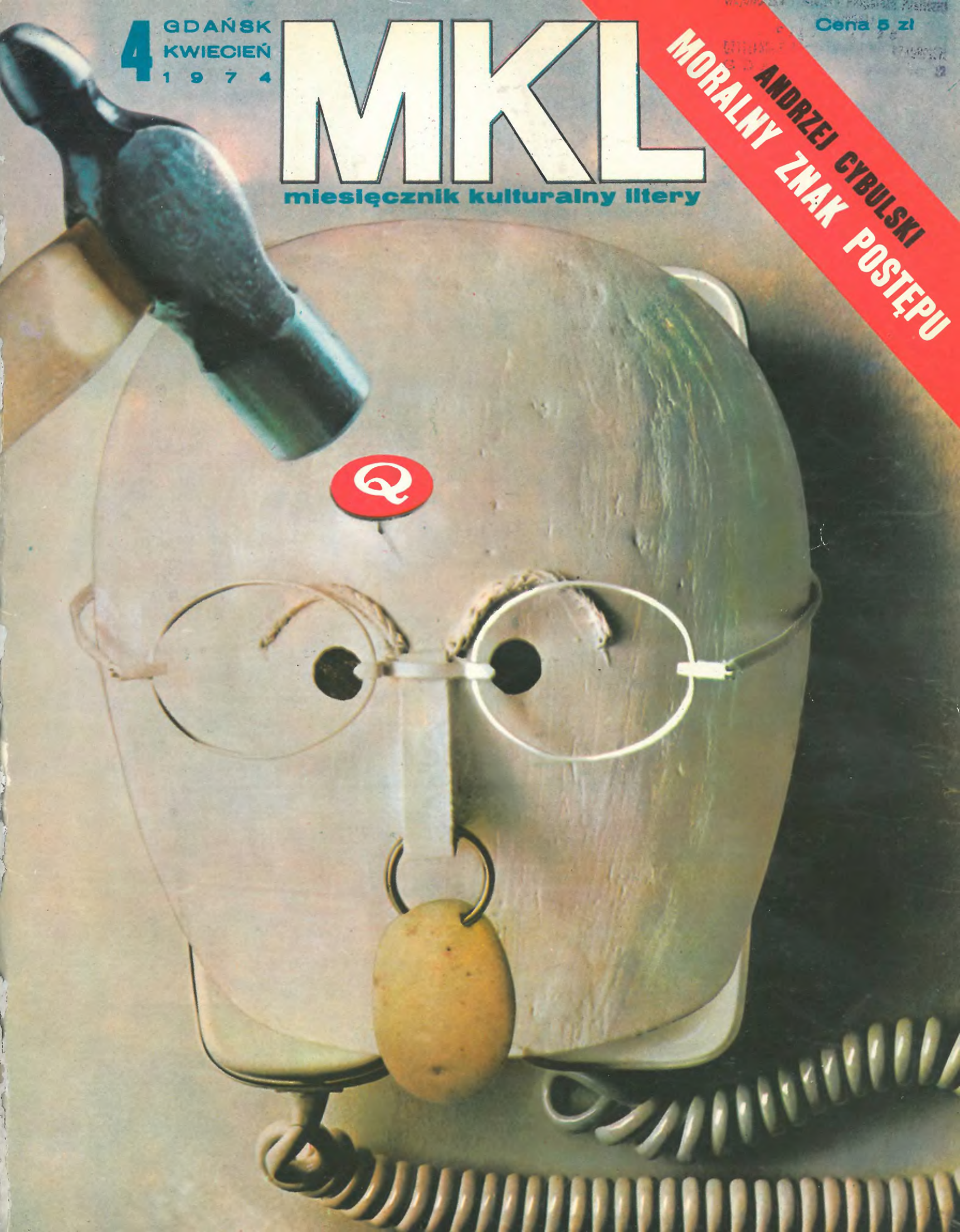
4 GDAŃSK
KWIECIEŃ
1 9 7 4

MKL

miesięcznik kulturalny i litery

Cena 5 zł

ANDRZEJ CYBULSKI
MORALNY ZNAK POSTĘPU





TŁOKA W BLOKACH

Wydawałoby się, że człowiek, który poucza innych jak powinni postępować, na pytanie: „jak żyć” będzie miał dużo do powiedzenia. A tymczasem Ryszard Gołaszewski wymiguje się od odpowiedzi: „nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie”, „nie wiem”, „nie znam recepty”.

Latem ubiegłego roku zbierałem informacje do reportażu o Przymorzu. Wówczas to po raz pierwszy zetknąłem się z działalnością „mafii” społeczników tej dzielnicy. Kilka set ludzi zrzeszonych w komitetach obwodowych i osiedlowych działa tu z niebywałą pasją. Równie dobrze zorganizowanego i tak aktywnego samorządu mieszkańców nie ma w żadnej z dzielnic Trójmiasta. Prawda, że w żadnej ze starych dzielnic nie ma tylu wspólnych jej mieszkańcom problemów, co na Przymorzu, gdzie w ciągu kilkunastu lat zamieszkało blisko 50 tysięcy ludzi. Wachlarz spraw, którymi zajmują się społecznicy z Przymorza, w pewnym stopniu obrazuje wykaz komisji problemowych komitetu osiedlowego: gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, zaopatrzenia i usług, porządku publicznego, kultury i oświaty, zdrowia i opieki społecznej, d/s dzieci i młodzieży, czynów społecznych, pojeźdźców, ekonomiczno-rewizyjnej. Tysiące spraw i ludzi, którzy kształtują nowy model współżycia wielkomiejskiej społeczności.

Podczas wędrówek po Przymorzu poznałem wielu ciekawych społeczników. Ryszarda Gołaszewskiego przedstawiono mi jako przewodniczącego bardzo dobrze pracującego Komitetu Obwodowego nr 1 w osiedlu Przymorze-C. Po roku trafiłem znowu do jego mieszkania. W kompleksie trzech bloków stojących najbliżej skrzyżowania ulic: Chłopskiej i Kołobrzeskiej, tylko przy jednym wejściu znajduje się czerwona tablica z napisem: Terenowy Opiekun Społeczny. Na parterze obok spisu lokatorów, miniaturowy plakat ze znaczkiem symbolizującym bratnią pomoc (spłcone dłonie) oraz hasłami: „Opiekun społeczny to przyjaciel i doradca, to zaufany bliski człowiek”, „Nikt nie może być samotny wśród nas”. W miejscu na personalia opiekuna długopisem wpisane: Ryszard Gołaszewski ul. Chłopska 12 D m 6 oraz: przyjmuje we wtorki i piątki od 17-19-tej. Dzisiaj właśnie jest wtorek, skonstatowałem z nadzieją, że być może będę świadkiem interesujących rozmów.

— Ludzie jeżeli mają jakąś sprawę, nie zważają na godziny urzędowania — rozwiewa moje nadzieje Gołaszewski — przychodzą nawet w niedzielę, przy okazji spotkania na ulicy zwierzają się ze swych kłopotów.

— Dużo osób zwraca się do pana?

— Średnio, kilka w ciągu tygodnia.

Przychodzą tu z różnymi sprawami. Staruszka szuka obrony przed bezwzględny synami i synową, kiedy interwencje opiekuna nie przynoszą rezultatu, trzema krzyżkami podpisuje zredagowany przez niego pozew do sądu. Emeryt wnosi skargę na sąsiada: „zszedłem do piwnicy, zastałem tam dobudowaną skrytkę w korytarzu graniczącym z moją piwnicą. Jak się okazało skrytkę zainstalował ob. D. (...) już obecnie psują mi się ziemniaki w piwnicy, jest zbyt ciepło, a regulować temperatury nie mogę, gdyż wybudowana tam skrytka, całkowicie utrudnia dostęp do okna. Jestem chory i na wspinaczki po przebudówkach mnie nie stać. Zwracam się z uprzejmą

prośbą o rozstrzygnięcie i spowodowanie, by ob. D. (...) usunął skrytkę”. Obok podpisu emeryta adnotacja, dokonana ręką Gołaszewskiego: „Skargę rozpatrzone, wyznaczono termin usunięcia skrytki”. Wśród nieporozumień sąsiedzkich nie brak typowych pyskówek. Pani L. pisze w skardze, że obawia się odwiedzać kuzynkę mieszkającą w klatce schodowej, gdyż mieszkająca w tej

TADEUSZ WOŹNIAK

klatce pani A. przysłała pod drzwi mieszkania pani L. i: „(...) podniosła niesamowity krzyk wyzywając mnie, cytując: „wariatka. k...a, kłepa, nienormalna (...), dzwoniła i waliła pięściami do drzwi. Podłożyłem w/w zająścia było to, że syn tej pani, uczeń IV klasy szkoły podstawowej (...) przezywał mnie na ulicy od wariatek, nienormalnych, że jestem pijacką (...) Po tym zajściu z synem pani A. (...) poszłam do niej, żeby porozmawiać w tej sprawie. Lecz pani ta nie raczyła otworzyć drzwi, tylko przez okno wyzywała mnie od „nienormalnych idiotek”(…) zwróciłam się do szkoły. W szkole przedstawiłam całą sprawę wicedyrektor szkoły(…)



w/w pani stawiała się w szkole z awanturą, po której dyrektorka szkoły wyprosiła ją z kancelarii (...). Oprócz podpisu pani L. figurują jeszcze cztery, pań — świadków tych zajść.

— Wie pan, niegrzeczne dzieci zdarzają się teraz niezwykle rzadko — śmieje się Gołaszewski.

Przypała gasnąca fajkę. Zapach amphory wypełnia pokój.

— A dzieci to są dzieci — kontynuuje Gołaszewski — nie tak dawno mojego Wojtka przyprowadził operator spychacza, który pracował przed naszym blokiem. — Panna syn? — pyta. — Mój. — Razem z kolegami obrzucili mnie kamieniami.

Przeprosiłem go. Podziękowałem, że zwrócił się do mnie z załatwieniem tej sprawy. Wojtek tłumaczył się, że on tylko przyglądał się, rzucali starsi chłopcy. Dlatego nie uciekał w ogóle, gdy operator wyskoczył ze spychacza. Być może tak było, ale czy wobec tego miałem dyskutować z operatorem, albo może zwymyślać? „Skoro nie miałeś tam ciekawszego zajęcia, pozostaniesz dzisiaj w domu” — zdecydowałem. Dla niego to poważna strata, te kilka godzin zabawy.

Całe przedpołudnie, zanim żona i ja wrócimy z pracy, spędza w szkole i w świetlicy. Zwłaszcza teraz, gdy nie ma Romka, zabawa w domu, to dla niego żadna zabawa.

Wojtek jest uczniem I klasy Szkoły Podstawowej nr 79. Idąc tu spotkałem go przed blokiem. Grał w kometkę z jakimś kolegą.

Pani Wiesława Gołaszewska wróciła z poczty. Telefonowała do Rymanowa-Zdroju. W tamtejszym sanatorium dziecięcym przebywa od kilku tygodni ich młodszy syn, 4,5-letni Romek. Cierpi na astmę. Górski klimat służy mu, czuje się tam lepiej. Chciała porozmawiać z nim przez telefon, ale pielęgniarka jej to odradziła. Romek po odwiedzinach rodziców w przedostatnią niedzielę, mocno przeżywał rozstanie. Jest dzieckiem bardzo uczuciowym.

Pani Wiesława niekiedy ma za złe mężowi, że zbyt rygorystycznie postępuje z synami. Ale też, z zadowoleniem, zauważa pozytywne efekty takiego wychowania. Zdarzyło się, że Wojtek coś przekrobiał i za karę najbliższe popołudnie miał spędzić w domu. Pan Ryszard jej zalecił egzekwowanie kary, jako że tego dnia pracował do późnych godzin wieczornych. „Idź na podwórze” — pozwoliła mu, przyznaje się. „Tatusi mi zabronił” — przypomina Wojtek. „Tatusi wróci późno, idź” — namawiała go. „Skoro tatusi powiedział, że mam nie wychodzić, nie pójść” — zdecydował.

Opowiadając o tym, pani Wiesława zastrzeża się, że zezwalając Wojtkowi iść na podwórze — tamtego dnia — zapomniała o nałożonej karze, a potem chciała wypróbować go. A może była przeciwna karze?... Pan Ryszard uśmiecha się, pykając z fajeczki. Nie śmiałyby insynuować im poważniejszych rozbieżności wychowawczych. Zbyt wiele faktów świadczy, że stanowią rodzinę „zgraną”, zgodną. Mówię im o tym.

— Gdyby było inaczej, nie mógłbym działać społecznie — kwituje moje uwagi Gołaszewski — nie śmiałyby innych pouczać.

Oczywiście, to prawda. Nie to chciałem usłyszeć „podprowadzając” Gołaszewskich uwagami o ich rodzinie. Liczyłem, że może uda mi się sprowokować do ujawnienia dewiz postępowania. Nic z tego. A przecież ich życie nie jest pozbawione głębszej refleksji. Może właśnie dlatego unikają teoretyzowania, ogólników?

Zbliża się godzina 17-ta. Może jednak przyjdzie jakiś interesant. Na wszelki wypadek lepiej zjeść przedtem obiad. Pan Ryszard idzie do kuchni. Właściwie to nie obiad, a przekąska. Od niedawna jedzą obiady w zakładowych stołówkach, Wojtek w szkole. Gołaszewskiemu nie starczyło dzisiaj czasu na zjedzenie obiadu.

— Miałem dużo roboty — stwierdza lakonicznie.

Niedawno objął stanowisko mistrza na wydziale W-5 Stoczni Północnej. Awans. Przed kilku laty na tym samym wydziale był stolarzem, a następnie brygadzystą. W 1969 roku ze względu na stan zdrowia musiał przetrwać pracę „na produkcji”. Szpital, sanatorium, a potem mniej wyczerpująca praca w magazynie. Teraz, czy jest już zdrowy, w pełni sił? Lekarz zakładowy co pewien czas proponuje mu wyjazd do sanatorium. W kuchni wygotowuje się strzykawka. Jutro ra-

no pani Wiesława robi mężowi zastrzyk, co kilka dni musi go otrzymać. Pani Wiesława jest pielęgniarką w Międzyzakładowej Przychodni Wojewódzkiego Zjednoczenia Budownictwa Komunalnego w Gdańsku. Chciała być lekarzem. Z tym marzeniem i świadectwem maturalnym z Liceum Ogólnokształcącego w Rykach (woj. warszawskie), w którym jej ojciec był wykładowcą, wyjechała w 1959 roku na Wybrzeże. Pierwsza próba sforsowania progów AMG nie powiodła się. Zamierzała ją ponowić, ale w międzyczasie zmarł jej ojciec, należało pomyśleć o samodzielności. Poprzestała na dwuletniej szkole pielęgniarskiej.

Pan Ryszard nie chciał pracować na roli. W białostockiej wsi Sliwowo mieli pięćhektarowe gospodarstwo. Ukończył Zasadniczą Szkołę Drzewną w Białymstoku. Pracował w kilku zakładach, zanim nie powołano go do wojska, na Wybrzeże. Po wyjściu do „cywila” w 1962 r. nie odjechał stąd, został pracownikiem Stoczni Północnej.

Lubił tańczyć. Z kolegami często, bywał na dancingach w wybrzeżowych lokalach. Któregoś razu bawiąc się w „Kameralnej” poznał panią Wiesławę. Rok później był ślub.

Nie chcąc samemu chwalić się osiągnięciami w pracy, Gołaszewski odesłał mnie po opinie do swoich przełożonych. Jak przewidywałem, były to same pozytywy. Najpierw sekretarz Rady Zakładowej Stoczni Północnej, Jan Krzywani, mówił o działalności związkowej Gołaszewskiego.

— Jako przewodniczący Rady Oddziałowej na W-5 dał się poznać jako działacz o wysokim wyrobieniu społecznym i politycznym. Cieszy się dużym zaufaniem kolegów. Na swoim wydziale musi być lekarzem od wszystkiego. Ludzie przychodzą do związków zawodowych z różnymi bolączkami. Trzeba zajmować się sprawami podziału zarobków, mieszkań; stosunkami międzyludzkimi. Kole-

ga Gołaszewski, pełniąc funkcję przewodniczącego Rady Wydziałowej, wywiązuje się nienagannie ze swoich obowiązków. Wykazuje duże zaangażowanie...

☛ Sekretarz mówił jeszcze długo o wzorowej postawie Gołaszewskiego — działacza. Potem dwóch zastępców kierownika (kierownik choruje) wydziału W-5: Józef Cieślowski — z-ca d/s przygotowania produkcji i inż. Eulogiusz Solarek — z-ca d/s produkcji, charakteryzowało zawodową działalność Gołaszewskiego. Wynotowałem: samodzielny, dobry organizator, zdyscyplinowany, potrafi dogadać się z ludźmi; mistrz, który nie potrzebuje doping; ofiarny pracownik; za pracę na stanowisku mistrza otrzymał już wyróżnienie — list pochwalny od dyrekcji stoczni.

Gołaszewski, przywołany przez przełożonych (niech wie, jaką mu stawiamy opinie), był skonsternowany. Ja sam poczułem się jakoś dziwnie w podniosłej atmosferze, jaka zapanowała w pokoju RZ podczas tej „mini-konferencji”.

Chcąc dodać coś do tamtych słów, Gołaszewski mówi dzisiaj:

— Działacz społeczny powinien przede wszystkim dobrze wywiązywać się ze swojej pracy zawodowej.

Zaterkotał dzwonek u drzwi. A więc jednak ktoś przyszedł? Przyszedł, starszy mężczyzna, najwyraźniej podenerwowany. Gołaszewski poprosił go do drugiego pokoju. W rozmowie, która stamtąd dobiegała, często padało słowo „rozwód”.

— Nie ma pani za złe mężowi, że tyle czasu poświęca na działalność społeczną?

— Lepšie to, niżby miał z kolegami na piwo chodzić — bagatelizuje problem pani Wiesława.

A potem już poważnie:

— Początkowo byłam niezadowolona, gdy popołudnia spędzał poza domem, na zebra-

niach, na społecznych kontrolach, itd. Tym bardziej, że dzieci były mniejsze, potrzebowały więcej opieki. Ale po kilku pierwszych miesiącach, gdy Ryszard „wciągnął się” do tej pracy, wszystko się unormowało. On mniej czasu spędzał na zebraniach i wizytach, ja przyzwyczaiłam się do jego dodatkowych obowiązków. Znajdował czas, żeby pomagać mi w pracach domowych: prał, gotował, piekł ciasto. Ma niespożytą energię. Po powrocie z pracy nigdy nie odpoczywa, nie zasiadzie do czytania gazet. Zaraz zabiera się do jakichś zajęć, związanych z pracą społeczną, albo domowych. Niechby pan zobaczył, jaki porządek zaprowadził w piwnicy, niegorszy jak ja w mieszkaniu.

Interesant odszedł. Pan Ryszard usprawiedliwiał się, wyeliminował moje uczestnictwo z wizyty.

— Nie chciałbym, żeby ludzie stracili do mnie zaufanie, ta sprawa miała charakter raczej prywatny.

Nikt więcej dzisiaj nie przyszedł. Nie wszyscy potrzebujący pomocy zgłaszają się sami. Wielu trzeba odszukać. Wystąpić w ich imieniu z wnioskiem do administracji o umorzenie czynszu, albo o zapomogę do Referatu Opieki Społecznej, zorganizować opiekę dla samotnej, chorej staruszki, komuś doradzić, gdzie powinien udać się ze swoimi kłopotami. Ponadto obowiązki z racji przewodniczenia komitetowi obwodowemu, kierowanie dziewięcioosobowym zespołem, a i udział w pracy (zakres pracy analogiczny jak w przypadku wymienianych na wstępie komisji problemowych) całego zespołu. Trzeba dawać przykład. Ludzie go podchwycają, nabiorą przekonania.

Kiedy dwa lata temu został opiekunem społecznym, pierwsi interesanci traktowali go nieufnie, taki młody — dziwili się. Udo- wodnił, że mimo tego, można na nim polegać.



W NASTĘPNYCH NUMERACH

Bogusław Holub
KOWALSKI NA COKOLE

Jan Walc
O KULTURĘ NATURALNĄ

Zdzisław Kałędkiewicz
URZECZENIE MORZEM

Kazimierz Rusinek
BOHATER WŚRÓD BOHATERÓW

Marian Grześczak
NOWY TEATR, NOWY DRAMAT

Jerzy Samp
JANTAR CZYLI „PLEKSI – AMBER”

Irena Wojnar
O ŻYWE WARTOŚCI SZTUKI

Jan Mariański
GWAŁT ZADAWANY NATURZE

Władysław Daniszewski
SŁUŻBA BEZ OCHRONY

Maria Kuncewiczowa
NATURA

Michał Herman
PROWADZĘ CIĘ DOBRZE...

Jerzy Jaruzelski
ZIELONE LATA MONARCHISTY

Maria Odyniec
Z DZIEJÓW GDYNI

Zygmunt Szymański
JEŻELI NIC SIĘ NIE ZMIENI...

Tadeusz Woźniak
MIŁOŚĆ, MIŁOŚĆ, ŚMIERĆ (2)

Andrzej Urban
KONCENTRACJA-PRZYSZŁOŚĆ
WSI

Jerzy Szperkowicz
SYBERIA, SYBERIA

Grażyna Wąsowicz
ARMENIA W NOCY MALOWANA

MKL

ID 41273

ROK XIII
NR 4 (148)
GDAŃSK
KWIECIEŃ
1 9 7 4

MIESIĘCZNIK KULTURALNY „LITERY”

Tadeusz Woźniak – Tłoka w blokach	1
Andrzej Cybulski – Moralny znak jakości	6
Zbigniew Szczypiński – Stoczniovcy w liczbach	8
Stanisław Żaluski – Plan a rzeczywistość	11
Bernard – Złote gwoździe	12
Jan Bożychowski – Kultura gdańska jaka jest	13
Alicja Kurkowa – Ekslibris portretowy	16
Ewa Moskalówna – Głos o marynistyce	17
Stanisław Bortnowski – A w bohatera to ja nie wierzę	20
Kazimierz Tomaszewski – Larousse rozsiewający wiedzę	21
Róża Ostrowska – Ostatnie namaszczenie	23
MKL-DELTA	
Krzysztof T. Toeplitz – Kultura Playboya	25
Stefan Morawski – Refleksje z notatnika	28
Krystyna Przybytko-Fabijańska – Piotr Potworowski	29
A.C. – Rapsod o ludzkim czynie	31
Ewa Nawrocka, Adam Zacharewicz – Dwa spojrzenia	32
Jerzy Surdykowski – Granice wzrostu	34
Stefan Zabieglik – Rozważania nad szklanką klubowej kawy	36
Tomasz Wołek – Sport dla ludzi mocnych	40
Recenzje teatralne i wydawnicze © Forum © Informacje	



REDAGUJE ZESPÓŁ: Andrzej Cybulski (redaktor naczelny), Tadeusz Bolduan (zastępca redaktora naczelnego), Ewa Moskalówna, Edmund Puzdrowski, Ryszard Stryjec, Tadeusz Woźniak.
KOLEGIUM: Zespół oraz Bolesław Fac i Jerzy Krechowicz.
REDAKCJA i ADMINISTRACJA: 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3-7, tel. 31-18-25.
Cena prenumeraty krajowej: rocznie 60 zł, półrocznie 30 zł, kwartalnie 15 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach, zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem Oddziałów i Delegatur RSW „Prasa – Książka – Ruch”. Pozostałe – mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów i delegatur – zamawiają za pośrednictwem urzędów pocztowych. Prenumeratę na zagranicę przyjmuje RSW „Prasa – Książka – Ruch” Biuro Kolegium Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-840 Warszawa, Konto PKO Nr 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.
Nie zamówionych rękopisów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA: Gdańskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa – Książka – Ruch”. Druk: Zakłady Graficzne w Gdańsku. Zam. 891. K-1. Nr indeksu 26604.



— Właśnie, taki młody i działacz samorządu mieszkańców, opiekun społeczny, po co to panu, panie Ryszardzie — prowokuje. — Rozumiem, że jakiś rzeński emeryt stara się być przydatnym, mieć zajęcie, no albo ktoś, kto wychował już dzieci, praca zawodowa już mu spowszedniała...

— Coś muszę robić po pracy.

— Powiedzmy, że tak. Ale dlaczego społecznie? Mógłby pan dorabiać do pensji. Ludzie by kupili takie segmenty, jak ten, który zrobił pan synem, albo takie szafy — obudowy korytarza, lub boazerie...

— Jesteśmy zadowoleni z tego, co mamy. Kiedy pobraliśmy się, zaczęliśmy „od zera”. Po trzech latach mieszkania w wynajętym pokoju — własne M-3, teraz od dwóch lat M-5, „jakoś tam” urządzone; nie narzekamy.

— No ale potrzeby rosną, inni kupują samochody...

— Owszem, wydatków nie brak, a żona po reorganizacji zarabia trochę mniej, dlatego

m.in. zgodziłem się na objęcie stanowiska mistrza, samochodu nie chcemy.

— Mógłby pan wieczory przeznaczać — na przykład — na dokształcanie, pana młodszego brat ukończył wyższe studia, robi drugi fakultet...

— Dla własnej satysfakcji to robi, mniej więcej tyle co ja zarabia, a mnie satysfakcję daje praca społeczna, mam sporo dowodów wdzięczności, życzliwości, ludzkiego uznania.

— Chyba różnie bywa z tym uznaniem?...

— Ano, różnie, nieraz zdarzają się i nieprzyjemne momenty. Moja matka, która przyjechała nas odwiedzić, będąc świadkiem takiego właśnie momentu, zastanawiała się: „Po co tobie, synu, mieszać się w ludzkie sprawy, nic z tego nie masz...”. Nie zniechęcają mnie trudności. Nauczyło mnie tego życie. Od 14 roku wychowałem się poza domem, mieszkając w internacie, hotelach robotniczych. Także działałem społecznie, najpierw w ZMP, potem w ZMS. W 1964 roku wstąpiłem do PZPR. Zawsze szukałem kontaktu z ludźmi.

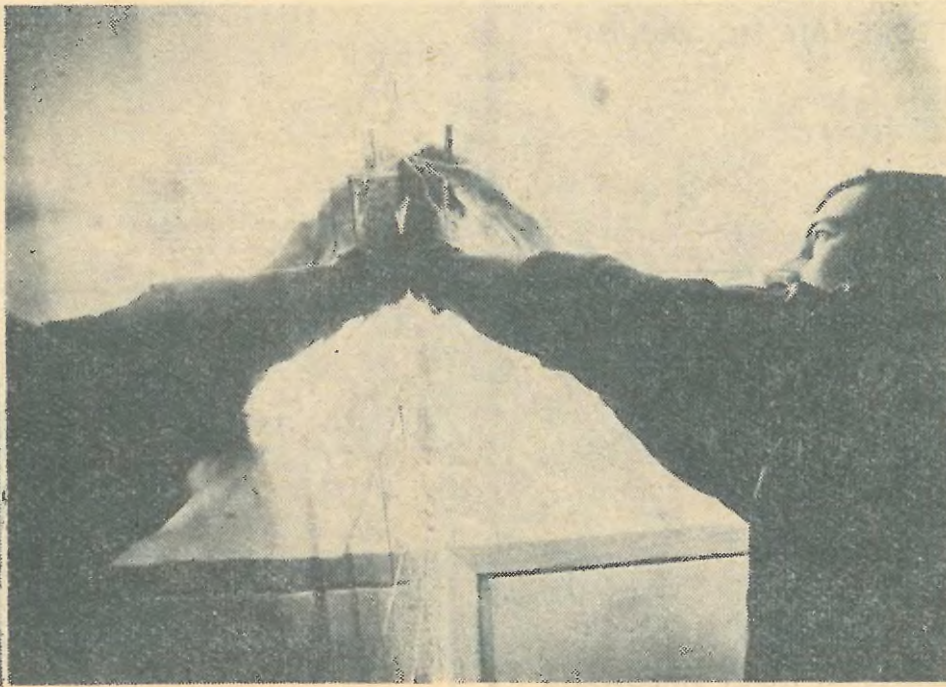
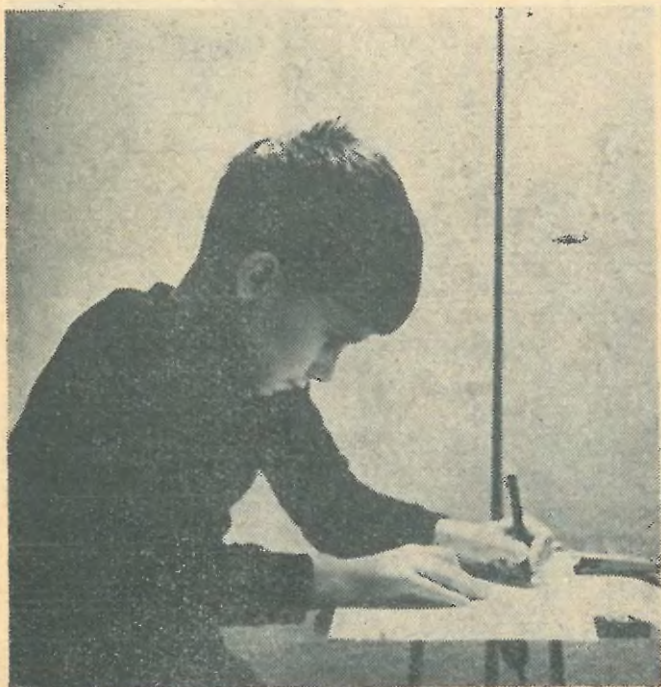
— Skąd u pana ta potrzeba udzielania się?

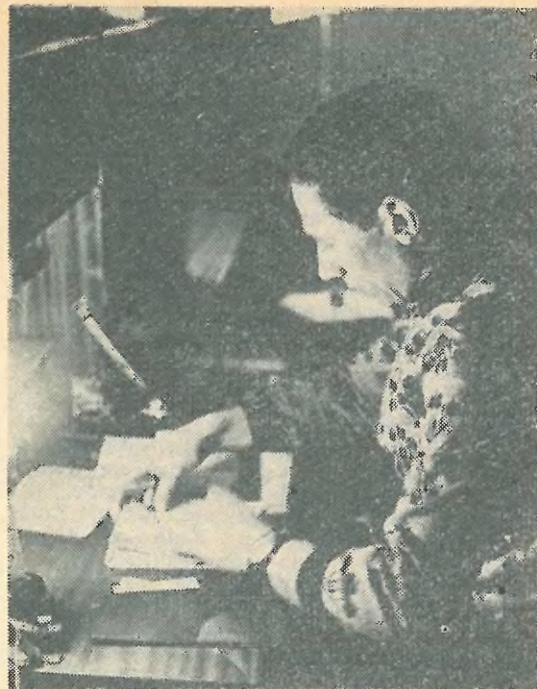
— Bo ja wiem?... Zresztą, nic w tym szczególnego, ktoś mnie pomaga, ja komuś, tak powinno być.

Jemy kolację. Szybko zleciało te kilka godzin rozmowy, już późno, a jutro pan Ryszard musi wstać o godz. 5-tej, pani Wiesława wychodzi do pracy o 7-ej, odprowadza Wojtkę do szkoły. Pan Ryszard napomyka, że kiedy był w jego wieku, musiał być bardziej samodzielny. Stracił ojca w 1948 roku. Naukę musiał godzić z pracą w gospodarstwie, był najstarszym dzieckiem.

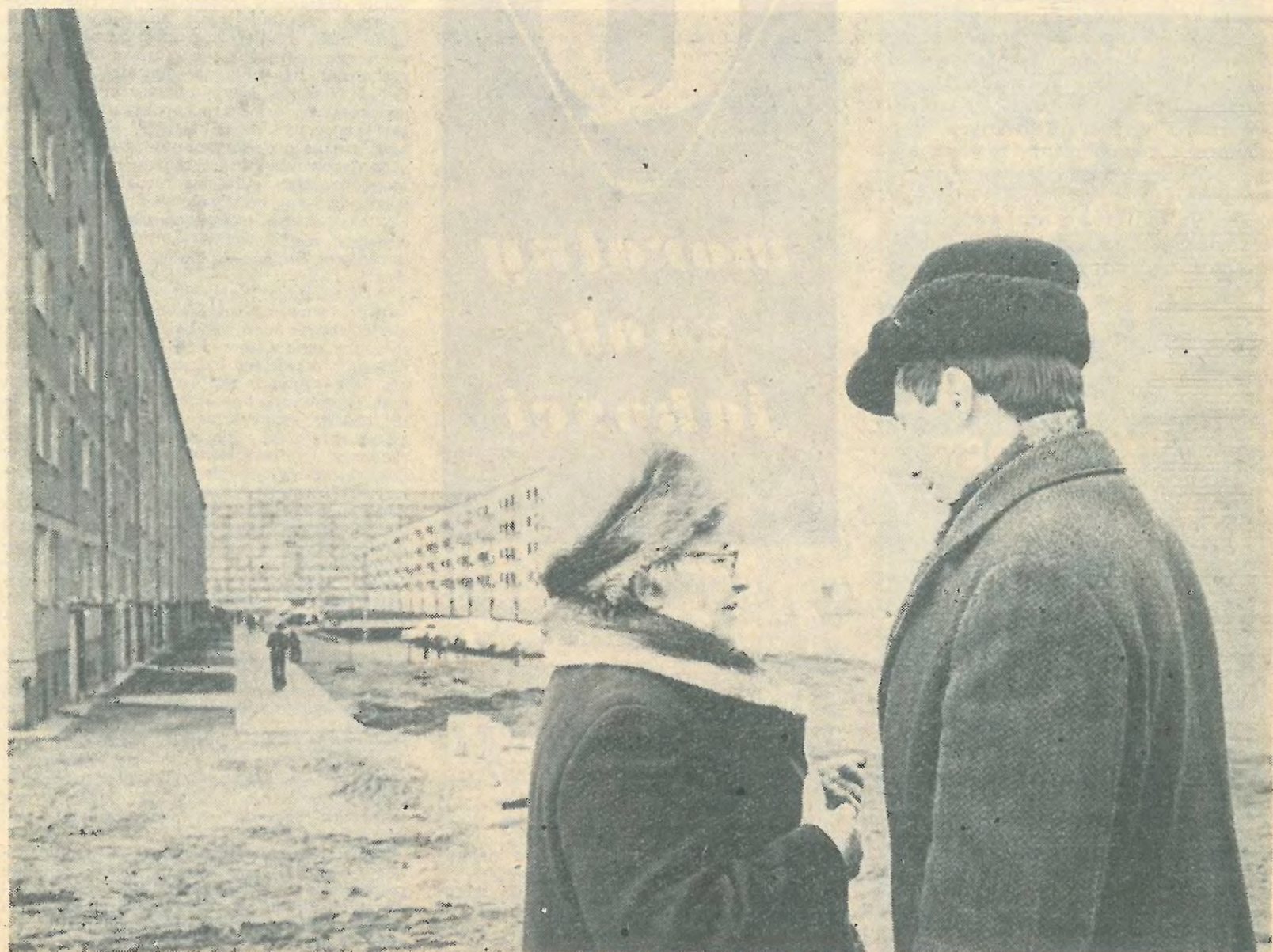
— Kobieta i dwoje małych dzieci, dawaliście sobie radę z prowadzeniem gospodarstwa?

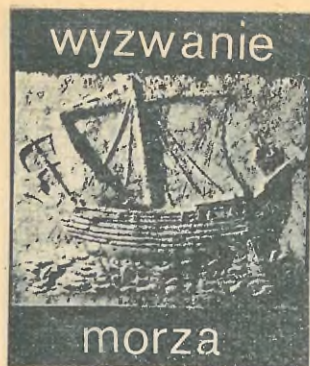
— Dawaliśmy. Ludzie nam pomagali. Na przykład, kiedy były żniwa lub wykopki, szło się do kilku gospodarzy i prosiło o pomoc. Przychodzili. Pracowali nie za pieniądze, tylko jedzenie otrzymywali. Kiedy ktoś inny potrzebował, szliśmy z matką pomagać. Tę samopomoc sąsiedzką nazywało się „tłoką”.





ZDJĘCIA: JERZY HAJDUL





Morze jest wielką spizarnią i odwiecznym źródłem natchnienia. Po wodzie nie tylko głos lepiej niesie ale i idee płyną. Otwarcie na świat przez morze stwarza w regionie i kraju rozległą panoramę problemów. Warto je podjąć, w miarę wyczerpująco na nie odpowiedzieć.

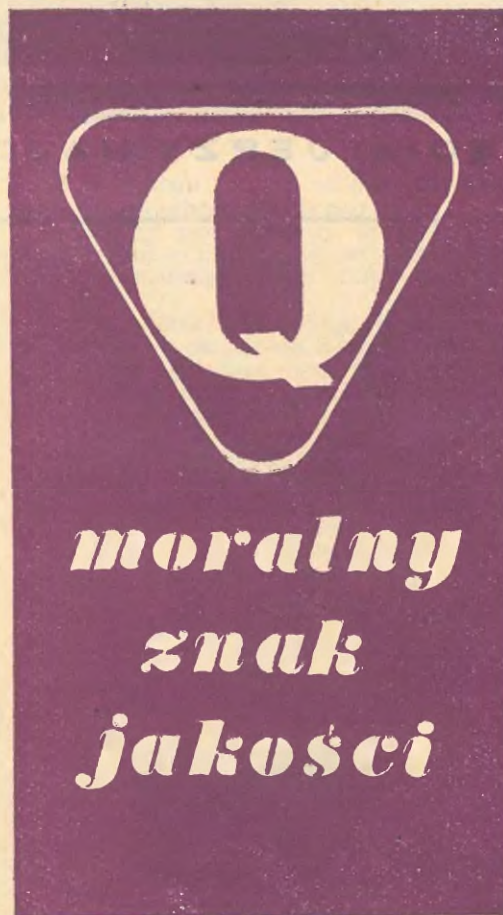
Pokazanie Polski morskiej otwartej na światową rewolucję technologiczną i zwrócenie uwagi na inspiracyjną rolę morza jest celem naszej kampanii prasowej. Prowadzić ją będziemy pod wspólnym kryptonimem: WYZWANIE MORZA.

Zamiarem naszym jest uwzględnienie wypowiedzi możliwie szerokiego kręgu ludzi patrzących na rzeczywistość społeczno-gospodarczą Wybrzeża pod różnymi kątami widzenia. Publikować będziemy głosy humanistów, ekonomistów, inżynierów, ludzi wyspecjalizowanych zawodowo a równocześnie rozumiejących wielostronność i złożoność procesów rodzącej się rzeczywistości morskiej: kulturową surowość tego wyzwania. Temat jest wielki — jak morze.

Specyfika tego regionu, to przede wszystkim korzystne położenie geograficzne. Ziemia Gdańska związana jest z morzem. Ono zmienia nasze życie. 260-kilometrowy odcinek granicy województwa biegnie wzdłuż Bałtyku ugruntowując przekonanie, że — mówiąc po kaszubsku — „ma jesma od morza”. Morze stwarza nam perspektywę otwartą ku postępowi gospodarczemu: zagospodarowywania swoich zasobów. Aglomeracja portowo-miejska Gdańsk-Gdynia pozostaje pod wpływem przemian w światowym transporcie morskim. Nowoczesny statek, rozwój portów morskich, oto jedno z głównych zadań gospodarki morskiej. Dziś specjalizacja morska — unikalna jej problematyka — jest nie tylko motorem ekonomicznego postępu. Jest ona także czynnikiem wzrostu i postępu technicznego w skali ponadregionalnej. A rola i znaczenie jej będą rosły wraz ze zwiększeniem stopnia otwartości tej gospodarki na wpływy zewnętrzne.

Przemysł okrętowy wymusza na hutach produkcję stali o podwyższonej wytrzymałości, nowe problemy stawia przed technologią elektroniczną. Budujący się Port Północny spowodował na drugim końcu kraju produkcję rur o wielkich przekrojach. Ale nie tylko. Polska morska, o ile chce wkroczyć w świat współzawodnictwa ekonomicznego na morzach i oceanach, zbudować musi wysoce efektywne, nowoczesne rozwiązania w transporcie morskim. Nowa polityka morska

kraju otwiera perspektywę dla włączenia polskich portów i floty do międzynarodowych morsko-lądowych systemów transportowych. W praktyce oznacza to budowę kolejowo-drogowego systemu kontenerowego i modernizację Wisły dla celów transportu śródlądowego. Bezpieczne „chodzenie po szczytach koniunktury”, jak się wyraża jeden z czołowych menażerów przemysłu okrętowego, uwarunkowane jest tym, czy nauka pójdzie w morze. O realności zuchwałych wizji Polski silnej na morzu zdecydować kadra morskich naukowców i inżynierów. Gospodarka morska, pobudzająca do rozwoju cały układ społeczny, stawia m. in. środowisko nauki w obliczu wyzwania morskiego. Twórcy techniki i humanistyki, ich ambicje twórcze są równie cennym zasobem ekonomicznym regionu jak morze, lasy, gleba. Zatrudnienie w placówkach naukowo-badawczych i rozwojowych (bez wyższych uczelni), wynoszące obecnie 12 tysięcy ludzi, w roku 1990 wzrośnie do 45 tysięcy. Zatrudnienie na wyższych uczelniach, wynoszące obecnie 5700 pracowników naukowych, do roku 1990 wzrośnie do 17 tysięcy. Gdańska



dynamika zatrudnienia w szkolnictwie przekracza średnią krajową i wynosi 293%. W latach przyjętej perspektywy środowisko studenckie Wybrzeża liczyć będzie około 60 tysięcy studiujących.

Gdybyśmy przesunęli perspektywę widzenia rzeczywistości morskiej o kilka lat do przodu, w regionie gdańskim zobaczymy ośrodek naukowy, który przenosić będzie pewne funkcje ośrodka stołecznego: niepowtarzalną specjalizację morską w technice, medycynie, biologii, humanistyce. Nie bez głębszego powodu w dniu swojego powstania Uniwersytet Gdański nawiązał do starej prawdy „in mare vita tua” — w morzu życie twoje, rzucając te słowa na medalu inauguracyjnym.

Śledząc w dalszym ciągu czynniki wzrostu, jakie tkwią na Ziemi Gdańskiej, dochodzimy do wody. Przemysł lubi wodę, zwłaszcza chemiczny, energetyczny, hutniczy.

Gdańsk ma tej wody pod dostatkiem. Czekają więc powolna ale systematyczna przeprowadzka przemysłu na północ. Strumień nakładów inwestycyjnych jest już dość obfity. Zlokalizowano w Gdańskim przynajmniej sześć inwestycji o znaczeniu krajowym: Port Północny, rafineria, zakłady celulozowo-papiernicze, elektrownia szczytowo-pompowa, przemysł stoczniowy, Siarkopol. W przyszłości musimy się liczyć z powstaniem okręgu przemysłowego, opartego o wodę jako surowiec, a ulokowanego wzdłuż dolnej Wisły, na trasie: Tczew — Malbork — Sztum — Kwidzyn. Będzie on naturalnym przedłużeniem funkcji przemysłowych aglomeracji GD, współdziałającej z aglomeracją przemysłową bydgosko-toruńską. Powtórzymy, cośmy powiedzieli na początku o dobrym położeniu geograficznym. Gdańsk leży na styku dwóch układów aktywizujących: są to brzeg morski i Wisła. Dookoła musi rozwinąć się wielka aglomeracja, powstać spirala wzrostu. Jej rozwoju nie sposób zatrzymać, jak nie można zatrzymać biegu Wisły. Natomiast należy oba regulować, badać prawa jakimi ten proces się rządzi. Obfitość morza, lasów, jezior nie jest beczką bez dna. Nieodłącznym następstwem cywilizacji przemysłowej jest niszczenie piękna pejzażu naturalnego. Gospodarka człowieka anektuje obszary naturalnego środowiska. Trzeba to robić z wysoce przemyślnym zmysłem samokontroli, zachowując równowagę między działalnością gospodarczą człowieka a środowiskiem naturalnym. Co nam grozi? Zasiarczanie powietrza, zatrucie jezior na Kaszubach w wyniku stosowania nawozów sztucznych. Źródłem szczególnej degradacji środowiska jest ruch turystyczny. Najlepiej jest to widoczne tam, gdzie niski stopień zagospodarowania turystycznego spotyka się z masową lawiną turystyczną: na Helu, w Krynicy Morskiej, Łebie. Niestety, kiedy odczuwamy nostalgię do prostych form wypoczynku na łonie natury, w ciszy, wśród zieleni — nie wolno nam szukać do tego terenów dzikich. W zagospodarowaniu turystycznym regionu nadmorskiego istotną rolę w niedalekiej przyszłości odgrywać będzie nowa organizacja, jak i infrastruktura techniczna obszarów rekreacyjnych, a zwłaszcza tras turystyki międzynarodowej północ — południe, wschód — zachód.

O zjawisku synergii (koncentracji energii) mówimy wówczas, gdy łączny rezultat współpracy indywidualnych działań jest większy, niż suma rezultatów, jeśli te działania przebiegają niezależnie. Uruchomienie mnożników rozwojowych legło u podstaw koncepcji makroregionu nadmorskiego. A oto jego ogólne zasady strategiczne. Program makroregionu preferuje kierunki rozwoju, które zwiększają udział sektora nowoczesności w gospodarce regionów, a więc będących transferem postępu technicznego i organizacyjnego. Wspierane są te wszystkie wysiłki, które pozwalają na rozszerzenie międzynarodowej współpracy gospodarczej. Kształtowana będzie taka struktura przestrzenna, która zabezpiecza powszechną realizację celów społecznych wyrażonych w pojęciu dobrobytu, a równocześnie tworzy ogniska postępu społecznego. Struktura przestrzenna makroregionu ma być dynamiczna i otwarta na przyjmowanie nowych funkcji i celów, gdy zajdzie taka potrzeba gospodarcza. Zamierzenia, które pragniemy urzeczywistniać, są ogromne. Czy powzieliśmy zamiar niemożliwy? Nie. Lecz myśleć i działać trzeba inaczej, niż dotychczas. Nie dość mieć bowiem wielkie zalety, trzeba jeszcze umieć nimi gospodarować. Dwuletnia praca szerokiego grona ekspertów wysoko kwalifikowanych nad przyszłością, zrodziła owoc.

Powstał długofalowy program kompleksowego wykorzystania posiadanego potencjału gospodarczego nad morzem. W regionach nadmorskich tkwią walory, w oparciu o które można stymulować wzrost gospodarczy, tworząc na północy kraju nowy bieg wzrostu

ekonomicznego. Ambicje ukryte w programie możliwe są do osiągnięcia w drodze ustalenia priorytetów a następnie działania zgodnie z ich hierarchią. Skoordynowane działania województw i resortów w odniesieniu do całości i poprzez całość nadać ma rozwojowi regionów nowy dynamiczny impuls. Program występując przeciwko rozpraszaniu sił i środków opowiada się zdecydowanie za koncentracją jakości, ogranicza w dużym stopniu lokalizowanie nad morzem inwestycji, które z powodzeniem mogą powstać gdzie indziej. Lokowane u nas paraliżują skutecznie zdolności rozwojowe regionu.

Program MR wprowadził harmonię do sfery myśli i działania. Oporność stereotypów determinuje jednak intencje programu. Proces godzenia, jednania i zestrąbiania interesów posuwa się naprzód, ale do jedności brzegu morskiego wciąż jeszcze daleko, daleko... Bardzo powoli w Szczecińskim Koszalińskim i Gdańskim rośnie świadomość wzajemnych związków i zależności. Potrzebna jest wielka kampania społeczna wyjaśniająca, że osiągnięcie pastułowanej przyszłości możliwe jest tylko wówczas, gdy nie zmarnujemy szans tkwiących w regionach. Kiedy tworzyć tu będziemy nośne struktury dla gospodarki morskiej, lokując na Wybrzeżu wyłącznie nowoczesną jakość techniczną. Dziś, kiedy program makroregionu został zaakceptowany przez rządowy zespół ekspertów oraz koszalińską konferencję przywódców życia politycznego, naukowego i administracyjnego zainteresowanych regionów, przed Zespołem Głównego Projektanta Makroregionu Nadmorskiego staje nowe zadanie: opracowania trybu, metod, zakresu i etapów wdrożenia programu do kolejnych pięcioletek województw i resortów. Jakimi grupami ludzi, mechanizmami i decyzjami należy się zająć dziś, by ukształtować następne lata — oto pytanie oczekujące trafnej odpowiedzi.

Postęp gospodarczy nie jest możliwy, o ile nie będzie mu towarzyszył postęp w sferze ducha. Składnikiem postawy życiowej jest moralność. Wysoka moralność staje się znakiem nowoczesności. Nowoczesność bowiem musi mieć mocny fundament w ludzkiej wyobraźni. Od tego, jak widzimy Polskę, czy zew przyszłości tkwi w krwioobiegu naszych umysłów, w planie wyobraźni masowej — zależy przyspieszenie postępu gospodarczego. Doświadczenie minionego trzydziestolecia jest także doświadczeniem moralnym. Były to lata gorącego patriotyzmu, objawiającego się przy odbudowie kraju, budowaniu 1000 szkół, w czynach produkcyjnych. Dziś skali monumentalnej nabrało hasło budowy „drugiej Polski”, a postawa psychiczna Polaka, który staje do rywalizacji w świecie nowoczesnym jest rozstrzygającym czynnikiem postępu gospodarczego. Co u nas przeważa? Gest rezygnacji: „nie dogonimy”, poczucie ustawicznego „wleczenia się w ogonie” postępu, uczucie niepełnowartościowości, czy duma z narodowych osiągnięć wsparta świadomością tworzenia czegoś nowego dla przyszłości? Wydobywaliśmy na powierzchnię życia różne niemożności. Czyniła to publicystyka i literatura. Równocześnie funkcjonował system gospodarczy, w którym — czy się stało czy leżało — brało się dwa tysiące. Dziś ani za stanie ani za leżenie się nie płaci — i to jest sukces. Chodzi jednak o coś więcej, dużo więcej. O stan psychiczny i kulturalny społeczeństwa, które rozgrywa wysięg modernizacyjny. W przyspieszenie rozwoju włączone zostało społeczeństwo młode. Ludzie młodzi, o niezłej wiedzy i kulturze ogólnej, o podwyższonych aspiracjach życiowych, w pełnym młodości życiu produkcyjnym gwarantują utrzymanie tempa. Jeżeli prawdą jest, że losy kraju rozstrzygają się w umysłach jego obywateli, to idzie o te umysły. Bierzymy udział w toczącej się na świecie walce wartości, idei i postaw. Ustawiczną potrzebą każdego Polaka winno być analizowanie życia w kategoriach tego, co

zrobił dla swojej ojczyzny. Ambicja zwiększania tempa, aby dojść do najlepszych, wydaje się być powszechniejszą. Jest taka szansa. Czy zostanie wykorzystana? Zależy to od napięcia ludzkich emocji, woli i wytrwałości, w dążeniu do celu. Przekształcenie zdrowych ambicji w zasadę politycznego działania — jest to operacja równie pilna, jak unowocześnienie technologii, w którą musimy wejrzeć nieco głębiej.

Uwagze czytelników chcę zalecić kilka liczb. One najwymowniej ilustrują procesy, jakie zachodzą na Wybrzeżu. Jesteśmy województwem mocno zurbanizowanym. 70 proc. obywateli mieszka w miastach, 81 proc. to ludność pozarolnicza. Niski procent zatrudnienia w rolnictwie świadczy o wysokim uprzemysłowieniu pracy na roli. Jeszcze bardziej interesująco przedstawia się planowana struktura zatrudnienia, do roku 1990. W sektorze pierwszym (rolnictwo, leśnictwo) zatrudnienie spadnie z obecnych 23 proc. do 9,5 proc. W sektorze drugim, przemysłowym, zatrudnienie wzrośnie z obecnych 37,2 do 41,4 a w sektorze trzecim (nauka i usługi) zatrudnienie wzrośnie z obecnych 39,5 do 49 procent. Przyszłością regionu nie jest więc chłop-robotnik, lecz fachowiec-specjalista zdolny do zachowań twórczych i innowacyjnych, który swoje na dzieje, ambicje, zdolności lokuje w postępie techniczno-cywilizacyjnym. Ruchliwość wielkich mas ludzkich polega na przechodzeniu ze wsi do miasta, w przekształcaniu się chłopów w robotników, a ich dzieci w ludową inteligencję. Razem wchodzą w rytm i styl życia cywilizacji przemysłowej.

Nowa strategia gospodarcza Wybrzeża opiera się o intensywny czynnik wzrostu i unowocześnienia produkcji. Przykładem jest Stocznia Gdańska, w której wielkie nakłady finansowe, przeznaczone na modernizację zakładu, pozwolą w roku 1980 potroić produkcję. Zasadniczej zmianie ulegnie technika produkcji, system organizacji pracy, struktura kwalifikacji załogi. Cechą przemian gospodarczych jest szybkość, jakość, nowoczesność. Czy w takim samym tempie będzie dorastał do zadań człowiek? Chodzi tutaj nie tylko o tworzenie świadomości związku ludzi z organizmem gospodarczym i poziom ich kwalifikacji zawodowych, ale także o normy moralne, świat wrażeń, idei, wzruszeń i namietności robotniczego auditorium — o kulturę robotniczą.

W pejzażu nowoczesnej cywilizacji industrialnej Wybrzeża zaczyna występować zjawisko społecznej kumulacji czynników wzrostu. Czynniki te zbiegają się, dynamizują układy techniczne i strukturę społeczną, wyzwalają dodatkowe energie, pobudzają nowe jakościowo potrzeby. Tworzy się coraz wyższa kultura techniczna, zwiększa ruchliwość społeczna. Nowe warunki wymagają ukształtowania nowego człowieka. Przy niosą wzrost kulturotwórczej i wzorotwórczej roli klasy robotniczej w kształtowaniu kultury ogólnej. Etyka zawodu polskiego portowca i stoczniozwa, ich aspiracje i dążenia, styl życia prywatnego, wyznawany system wartości, aspiracje w stosunku do przyszłości swoich dzieci, kultura mieszkania — wyrażają ów skok w nowoczesność. Warunkują jednocześnie skalę możliwości przyspieszania rozwoju gospodarczego. Kulturze przecież przypisałyśmy elementy wypierzenia. Stąd też całościowe spojrzenie na procesy społeczne, zachodzące w tych środowiskach, jest tak ważne i konieczne.

Im większą techniką dysponuje człowiek, tym większa winna być jego siła moralna.

Rozwój gospodarczy regionu skłania naszą redakcję do ponownego przemyslenia sfery zachowania się człowieka po pracy, realizowania wizji kultury dynamicznej w taki sposób, aby społeczeństwo cywilizacji technicznej tworzyło świat humanistyczny, ludzki.

ANDRZEJ CYBULSKI

SOPOCKIE LATO 1974



to plaża
oraz

**atrakcyjne
imprezy**

**KABARETY
TEATRY
PROGRAMY
MUZYCZNE
DANCING
NA PLAŻY**

organizuje

**WOJEWÓDZKA
AGENCJA IMPREZ
ARTYSTYCZNYCH
W SOPOCIE**

ul. Chopina 41

tel. 51-22-25, 51-52-62

STOCZNIOWCY W LICZBACH

ZBIGNIEW
SZCZYPÍŃSKI

1

6 listopada 1948 r. spłynął na wodę. Nieforemny, kanciasty, połączony 300.000 żelaznych mitów kadłub statku. Otwierał w życiu stoczni nową kartę, rozpoczęto budowę morskich statków stalowych.

Przedstawiam portret załogi największej i najbardziej zasłużonej stoczni; Stoczni Gdańskiej, noszącej od 1967 r. imię W. I. Lenina.

Portret, a nie fotografię. Ukazujący rzecz w perspektywie, podkreślający barwą znaczenie poszczególnych elementów. Subiektywny, tak jak widzi go człowiek, a nie kamera.

Jaka jest ta załoga?

Pojęcie załogi jest wyodrębnione w oparciu o kryterium instytucjonalne. Załoga jest elementem systemu, w którym cel, ludzie, środki i przedmioty pracy oraz układ organizacyjnych zależności tworzą całość, zawną w socjologii przemysłu systemem społecznym zakładu pracy.

Elementami świadomie tu pominiętymi są ponadto; normy i wzory społecznych zachowań oraz zespół pozycji i ról społecznych, jakie ludzie pełnią w trakcie realizacji celu.

Stocznia Gdańska powstała w październiku 1947 roku. W momencie narodzin zakładu załoga liczyła nieco ponad 3 tysiące pracowników. Kolejne lata, to dynamiczny wzrost produkcji, wyrażony zbudowaniem do 1973 r. 668 statków, o nośności blisko 3,5 mln DWT. Załoga stoczni rośnie; w 1950 r. liczy 6100 pracowników, w 1960 — 11 tysięcy. Obecna załoga stanowi ponad 16 tys. zatrudnionych, w tym 2700 kobiet.

Kobiety pracują przede wszystkim na stanowiskach pomocniczych, administracyjno-biurowych i w działach związanych z obsługą pracowników. Niemniej jednak blisko 150 kobiet pracuje bezpośrednio



Fot. Stanisław Ossowski

przy budowie statków, a prawie 500 na stanowiskach inżyniersko-technicznych: jako technolodzy, konstruktorzy.

Wiek załogi najlepiej określić jako dojrzalszy. Dojrzałość to nie młodość, lecz również nie starość. Średnia wieku wynosiła w 1973 r. 36,5 lat, gdy kilka lat temu — 34 lata. Tak więc wiek załogi, widzianej w kategoriach Hobbsowego Lewiatana, zwiększa się. Trend zmian jest zgodny z zachodzącymi w całym społeczeństwie.

W realizacji zadań ogromną rolę odgrywają kwalifikacje załogi. Poziom kwalifikacji zależy od dwóch wielkości: wykształcenia i stażu pracy. Połowa pracowników stoczni ma wykształcenie wyższe niż podstawowe, a 1/3 załogi, to absolwenci Zasadniczych Szkół Zawodowych i Szkoły Mistrzów.

W warunkach stoczni szczególne znaczenie ma staż pracy. W ubiegłym roku udział pracowników o stażu poniżej dwóch lat nie przekraczał 10 proc. ogółu zatrudnionych, a 53 proc. gdańskich stoczniovcw pracuje w swoim zakładzie ponad 10 lat. To ważne. W warunkach stoczniovcw pracy dwa lata stanowi granicę, której przekroczenie stabilizuje pracownika.

Problem stabilizacji załogi potraktujemy jako pierwszy rys charakterystyczny dla zmiennych, trudniej mierzalnych niż formalnie potraktowane wskaźniki wielkości, stażu, wykształcenia czy wieku załogi.

Stabilizacja załogi, to znacznie więcej, niż utrzymywanie w zatrudnieniu stałej grupy pracowników. Ustabilizowany zespół pracowników świadczy o wysokim morale, o inteligencji wewnętrznej, o istnieniu tego, co w specjalistycznej literaturze socjologicznej nazywa się kolektywem zakładowym. Ustabilizowana załoga, to znacznie więcej, niż łatwość w planowaniu zadań produkcyjnych.

Wielkość wskaźnika zwolnień (wyrażającego proporcję zwolnionych do stanu zatrudnienia) wykazuje w stoczni tendencję malejącą. Wynosząc w latach 60-tych średnio 22—24 proc., poprzez 25,3 proc. w 1970 r., 17,4 proc. w 1971 r. i 17,2 proc. w 1972 r. osiągnęła w 1973 r. — 16,8 proc. Ostatnia wielkość jest o 6 proc. wyższa od wyliczonej teoretycznie, a uzasadnionej naturalnym wskaźnikiem zwolnień dla załogi o tej strukturze, co załoga stoczniovcwa. Dlatego też ważne jest określenie tych zwolnień, które świadczą o zaburzeniach w funkcjonowaniu społecznego systemu zakładu pracy. Najbardziej charakterystyczna jest tu wielkość samowolnych porzuceń pracy. Samowolne porzucenie pracy, to forma zwolnień najbardziej drastyczna, świadcząca o całkowitym braku u pracownika postaw adekwatnych do przemysłowych form organizacji pracy.

Są to te przypadki, które mistrz odnotowuje, po kolejnej wypłacie, jako nieobecności nieusprawiedliwione. Są to te przypadki, w których pracownik wyjeżdża na urlop i już nie wraca. Należą do nich i te, w których mieszkaniac stoczniovcw kwatery lub hotelu pakuje swoją tekturową walizkę i bez słowa, bez próby załatwienia czegokolwiek, wyjeżdża. Ilość takich zwolnień zmniejsza się. Jeżeli w latach 1968—1970 było ich rocznie średnio 1150, w r. 1971 — 1089, a w 1972 r. — 733, to w 1973 r. zarejestrowano 648 takich przypadków. Z wielu przeprowadzonych w stoczni badań i analiz wyłania się wniosek generalny, że płynność stanu załogi traktować trzeba jako funkcję technicznych, organizacyjnych i społecznych warunków pracy stwarzanych przez zakład załozdce.

Odrębną rolę odgrywają te czynniki, które tworzą się w środowiskach pozakładowych; w rodzinie i w grupie koleżeńskie. Poglądy i wartościowanie pracy w stoczni przez członków tych grup odgrywają istotną rolę w kształtowaniu społecznych warunków pracy.

Zwolnienia samowolne należy traktować jako formę protestu przeciw warunkom stwarzanym w sferze techniki, organizacji czy klimatu społecznego. Jest przy tym oczywiste, że nie muszą to być procesy rozłączne. Malejący wskaźnik zwolnień sygnalizuje proces poprawy warunków pracy. Jest to konsekwencja ujętego kompleksowo, bez fetyszyzowania któregośkolwiek z współzależnych czynników, programu poprawy warunków pracy, przyjętego przed trzema laty w gdańskiej stoczni.

Osiągnięcie wysokiej stabilizacji załogi jest warunkiem stworzenia zintegrowanego kolektywu zakładowego o wysokim morale pracowniczym. Na wartość morale wpływa wiele czynników. Jednym z nich jest subiektywnie formułowane zadowolenie z pracy.

Z badań przeprowadzonych w 1972 r. w grupie blisko 9000 robotników stoczni wynika, że ponad 70 proc. badanych było zadowolonych z pracy w zawodzie. Jest przy tym charakterystyczne, że w grupie niezadowolonych z pracy w zawodzie, niezadowolenie to formułowane było szczególnie ostro tam, gdzie praca nie stwarzała warunków rozwoju osobowego i zawodowego.

W charakterystycznej dla stoczni grupie robotników, pracujących w bezpośredniej produkcji a posiadających średnie wykształcenie techniczne (500 techników pracuje w stoczni na stanowiskach robotniczych), czynnik ten urasta do pierwszoplanowego. Z badań tej grupy wynika, że jedynie dla 35 proc. badanych praca stwarza konieczność dokształcania się i podnoszenia kwalifikacji. Pozostała część pracuje w takich warunkach, które albo nie wymagają niczego ponad posiadane kwalifikacje, albo posiadane kwalifikacje są za wysokie do wymogów stawianych przez pracę.

Zasygnalizowane zjawisko będzie się pogłębiać. Realizacja zapowiedzianego programu pełnego średniego wykształcenia dla wszystkich, stworzy szereg nowych problemów wynikających z rozdźwię-

ku pomiędzy aspiracjami pracownika, a wymogami prostych i powtarzalnych prac, wykonywanych prostymi i nieskomplikowanymi narzędziami. Jako masowe występują te procesy, które są udziałem wzorotwórczej grupy robotników ze średnim wykształceniem w gdańskiej stoczni.

W ocenie warunków technicznych podkreślano uciążliwość pracy i związane z tym zagrożenia, a w szczególności: hałas, pyły, wibracje, niewłaściwą temperaturę, zły stan maszyn i narzędzi, ciasnotę na stanowiskach pracy. W ocenie organizacyjnych warunków pracy szczególnie mocno wyeksponowane zostały kłopoty wynikające ze złego zaopatrzenia materiałowego oraz złej koordynacji robót na statku.

W ocenie organizacji pracy znajdujemy potwierdzenie ogólnej tezy o rosnącym stopniu krytycyzmu w miarę zmniejszania ilości informacji o przyczynach trudności. Najgorzej oceniali badani organizację pracy w całej stoczni, nieco lepiej na macierzystym wydziale, a najlepiej we własnej brygadzie roboczej.

W ocenie społecznych warunków szczególnie wiele miejsca znalazły sprawy podziałów premii i nagród oraz niewłaściwe postępowanie przełożonych.

Ocenę mistrza, bezpośredniego przełożonego pracownika, przeprowadzono pod kątem fachowości i umiejętności organizatorskich oraz jego cech osobowości. Charakterystyczne jest, że i ta ocena wypadła korzystnie. Jedynie dla 10 proc. badanych mistrz reprezentował niski poziom fachowości i niekorzystne cechy osobowościowe.

Odrębnym czynnikiem związanym z pojęciem morale jest czas pracy i często występujący w praktyce stoczniovcw obowiązek pracy w godzinach nadliczbowych.

Praca w nadgodzinach traktowana musi być z jednej strony jako wskaźnik wysokiego morale załogi, z drugiej strony jako czynnik obniżający zadowolenie z pracy, a przez to i morale. Gotowość podjęcia pracy w godzinach nadliczbowych wiąże się z przyjętą hierarchią wartości. Charakterystyczne jest to, że młodzi pracownicy nie chcą pracować w godzinach po pracy. Wynika z tego, że różna jest wartość czasu wolnego w układach międzygeneracyjnych. Młodzi chcą pracować więcej, ale nie dłużej.

Przy próbie określenia morale stoczniovcw załogi uwzględniać należy także wielość i zmienność grup pracowniczych i zespołów zatrudnionych w bardzo różnych warunkach technicznych i organizacyjnych.

Zauważając krąg rozważań do załogi bezpośrednio produkcyjnej, trzeba pamiętać o specyfice pracy w przemyśle budowy morskich statków stalowych. Występuje w nim rozbieżność pomiędzy czysto przemysłowym charakterem stosowanych procesów technologicznych, a organizacją pracy, zbliżoną do organizacji pracy w budownictwie. Rezultatem tej rozbieżności jest brak na budowanym statku jednostkowego stanowiska pracy, występującego w hali zakładu przemysłowego. Praca na statku wymaga od pracownika znacznej samodzielności, przejawiającej się m. in. w organizacji i budowie prowizorycznego stanowiska pracy. Warunki pracy robotnika stoczniovcw zbliżają go do pracy rzemieślnika. Ma to istotny wpływ na kształtowanie więzi grupowych i wartości moralnych.

Kolejną, systematycznie ujętą cechą stoczniovcw załogi jest motywacja wyboru pracy w zakładzie oraz czynniki społeczno-demograficzne określające wzory i aspiracje społeczno-kulturowe załogi. Załoga stoczni, to załoga młoda w socjologicznym znaczeniu. Jest to w ogromnej większości załoga przemysłowego zakładu w pierwszym pokoleniu. Pracownicy stoczni wywodzą się głównie z rodzin wiejskich i one kształtowały wzory osobowe i normy społeczne. Z cytowanych już wcześniej badań wynika, że 77 proc. badanych wychowywało się do 14 roku życia na wsi, bądź w miasteczku do 5 tys. mieszkańców. Podstawowy trzon załogi ukształtował się w latach 1950—1953, kiedy ilość robotników stoczni wzrosła z 4043 do 8619. Były to lata największej migracji ze wsi do miast, do powstającego przemysłu.

Aktualnie prowadzone analizy kierunków naboru pracowników pozwalają na stwierdzenie, że podstawowe ilości nowo przyjętych pochodzą z województw o zdecydowanej przewadze rolnictwa. Najwięcej pracowników rekrutuje się z województw: warszawskiego, bydgoskiego, olsztyńskiego, białostockiego i lubelskiego.

Wśród motywów przeważających o podjęciu pracy w stoczni dominuje możliwość zdobycia zawodu lub podniesienia kwalifikacji. Stocznia ma opinię zakładu, w którym zawsze można zdobyć zawód i kształcić się. Wyuczenie zawodu w stoczni nie wiąże jednak pracownika. Najlepiej świadczy o tym ilość wyszkolonych spawaczy. Stocznia wyszkoliła blisko 30 tys. spawaczy, a zatrudnia nieco ponad tysiąc. To, że tak się dzieje, wiąże się z problemem znacznie ogólniejszym, a dotyczącym praktycznie wszystkich specjalności i zawodów stoczniovcw.

Na co dzień przywykliśmy operować pojęciem zawodu stoczniovcwa. Jest to zbitka pojęciowa. Taki zawód nie istnieje. W praktyce spotykamy w stoczni szeroki wachlarz zawodów występujących w przemyśle metalowym i budownictwie. Jest tylko jedno ale... Każdy

z zatrudnionych określony jest zawodem z przymiotnikiem „okrętowy”. I tak: stolarz — stolarz okrętowy, elektryk — elektryk okrętowy, malarz — malarz okrętowy itd. Zawodów, które nie występują poza stoczną, jest bardzo niewiele. Są to: trzeser okrętowy i monter kadłubowy. Specyfika pracy wyrażona w przymiotniku „okrętowy” oznacza w praktyce zdecydowanie wyższe wymagania jakościowe i sygnalizowane wcześniej trudniejszą organizacyjno-techniczną. Dlatego też młody spawacz po uzyskaniu zawodu i odpracowaniu obowiązkowych dwóch lat przechodzi do budownictwa lub innych rodzajów przemysłu. Warunki pracy tworzą naturalny proces selekcji słabych powodując, że w stoczni pozostają najlepsi.

Jeśli dotychczas zarysowany obraz przedstawił załogę stoczni jako heterogeniczną grupę startującą w pierwszym pokoleniu do wzorów przemysłowej kultury pracy, bogatą w doświadczenia osobnicze, prężną i pełną inicjatyw produkcyjnych, lub ogólniej mówiąc — związaną z pracą, to czas podkreślić bruzdy i zmarszczki świadczące o nieprawidłowościach i złym rozwiązywaniu niektórych problemów przez zakład.

Wybermy jeden problem marginalny z punktu widzenia ludzi zafascynowanych techniką, technologią i wskaźnikami; problem aspiracji i wzorów kulturowych załogi oraz sposobów ich zaspakajania i realizacji. Nawet pobieżna analiza zróżnicowań kulturowych wykazuje pewną oczywistość. Ogromna zmienność i różnorodność grup społeczno-zawodowych implikuje to samo w odniesieniu do wzorów i norm kulturowych. I to jest pierwsza prawda, która winna stać się dyrektywą działania. Prawda druga: załoga stoczni, to wielotyczna zbiorowość pracująca we wspólnym warsztacie — stoczni, a mieszkająca w różnych dzielnicach miejskich i powiatach województwa. Charakter pracy oraz usytuowanie zakładu w sercu wiel-

kiej, rozwijającej się, prężnej kulturalnie aglomeracji miejskiej, określa potrzebę odejścia od świetlicowego modelu kultury. Modelu, który ujmuje kulturę załogi przez pryzmat zespołów muzycznych, tanecznych i innych, a składających się z pracowników zakładu. Jest to model całkowicie nieadekwatny do kulturowych potrzeb stoczników.

Zakład może i powinien być inspiratorem i organizatorem kultury, rozwijając współpracę z tymi instytucjami i ośrodkami, które „robia” kulturę tak, jak stocznia statki. Natomiast „świetlicowy model kultury” — po adaptacji i udoskonaleniu — jest możliwy do zastosowania w takich układach, jak osiedle mieszkaniowe, hotel robotniczy czy szkoła przyzakładowa.

Prawdą trzecią jest konieczność potraktowania działalności kulturalnej jako wartości realizującej świadomie przyjęty cel. Celem takim może być tylko jedno — integracja załogi.

Tak sformułowany cel określa formy, jakie winny być zastosowane dla jego osiągnięcia. Winny być to duże, masowe imprezy o charakterze wyraźnie ludycznym, organizowane nie tylko z okazji „Dnia Stocznia”. Masowość i ludyczność imprez, z jednoczesnym podkreśleniem akcentów stoczniowych, spowodowałaby wśród załogi stoczni zdecydowany wzrost świadomości przynależności do społeczno-zawodowej grupy stoczników.

Prawdą ostatnią stanowi to, że konieczność rozwijania działań kulturowych nie powinna wynikać tylko z dyrektyw i postanowień organów społeczno-politycznych. Konieczność taka rysuje się w związku z potrzebą integralnego ujęcia kultury pracy, kultury osobistej i kultury rozumianej jako zespół doznań i wzruszeń.

Czy uwagi te składają się na portret załogi stoczni im. W. I. Lenina? Na pewno nie. Tworzą one co najwyżej szkic portretowy.

Kazimierz Nowosielski

O WSI INACZEJ

Nasza proza nurtu chłopskiego wzbogaciła się o interesującą książkę E. Redlińskiego, której powodzenie zaskoczyło chyba wydawców i której sukces zastanowił być może przyszłych badaczy powojennych bestsellerów. Zdawało się, że proza Nowaka, Myślińskiego, Kawaleca dość dokładnie wypełniła większość problematyki, a jednak okazało się, że „Konopielka” jest książką nie tylko ciekawą, ale także z pewnych względów niezbędną. Dlaczego?

Tadeusz Nowak w swej poezji i powieściach przejął na siebie niejako trud literackiego etnologa, starając się dotrzeć do pierwotnych źródeł ludowej świadomości, starając się odtworzyć jej ukryte mechanizmy, zaciemnione motywy, uzewewnętrznić niejasne dla współczesnych jej piękno. Dzięki wspaniałej wyobraźni i talentowi poety otrzymaliśmy dzieła niepośledniej wartości jak „Psalmy” czy „Obcoplemienna balada”.

To, co estetycznie nobilitował Nowak, etycznie zdaje się uzasadniać Kawalec. Dla niego wiejskość we współczesnej nam rzeczywistości stanowi wartość, której nie wolno lekceważyć, ani zgubić. Chłopskość nie może być traktowana jako relikty z przeszłych czasów — to jedno z podstawowych przesłań jego książek. Dla obu pisanie jest przede wszystkim pewną formą posłannictwa, a także ocalenia i ekspiacji. Nie mó-

wiąc już, że pozostaje, jak każda ambitna twórczość, rodzajem manifestacji estetycznej.

Redliński zaskakuje nas nagłą zmianą kierunku przesłania. Dla niego wieś, to już nie żadna świętość, miejsce, gdzie przechowuje się utajone piękno i ukryte wartości. Jest ona dla niego przede wszystkim tym, co przegrywa w starciu z nową cywilizacją, cywilizacją pisma, motoru i elektryczności. Robi wszystko, by Taplary, miejsce, gdzie rozgrywa się akcja „Konopielki”, nie mogły być przedmiotem eskapistycznych wzdychań tych, którzy ciągle jeszcze myślą o niej na wzór renesansowego poety: wsi spokojna, wsi weśola. Bo co mi też za Arkadia, gdzie działek miesiącami na noc nie zdejmuję butów, ledwo co urodzone ciele śpi pod pierzyną z dziećmi, a mąż okłada żonę, czy trzeba, czy nie trzeba. Redliński tak konstruuje świat swojej powieści, by zredukował on u czytelnika wszelkie odruchy utożsamiania się, uczuciowego współprzeżywania. I tak np. moment, kiedy ojciec wchodzi do izby i widzi swoją zmarłą córkę, jest zaraz rewolucyjnym obrazem jego łapczywości („Siedzę, jem placki z zacierko, na nie nie patrzę. Jem. Jem bo dobre, co siara to siara”), a potem sceną rozmowy z sąsiadką, w której zastanawiają się, co trudniej wyżyć: dzieciaka czy jałoszkę.

Zaczyna się ta powieść pięknym stylistycznie opisem rannego wstawania. Powolnego przebudzania się wsi. Zdania w tym opisie są długie, powtarzające. Pewne konstrukcje składniowe i motywy świetnie oddające powolność czynności. Nieprzypadkowo chyba Redliński wybrał na porę swego preludium jesień, porę, w której coś odchodzi, a która chłopom dłużej pozwala posmakować dobroczynnego snu. „I dobrze, ludkowie, o jak dobrze” — refrenem stamtąd zdaje się przeciągać przez opowieść Kaziuka z Taplarów. Jest dobrze, bo „Dzień się sam zaczyna, wszystko idzie jak trzeba, jak kiedyś, jak było na początku teraz i zawsze i na wieki wieków amen.”

Tę idylliczność chłopskiego życia przerywa obcy wtarg. Zło przybywa z zewnątrz, z niezrozumiałego dlań świata. We wsi pojawiają się: nauczycielka i pracownicy, mający osuszyć dookólne bagna. Dochodzi do zderzenia dwóch świadomości: tradycyjnej aż do granic karykaturalności (jest to zresztą celowy zabieg Redlińskiego) świadomości wsi

i nowej, nastawionej na zmiany podstawy tych z zewnątrz, tego: „tak było i tak będzie” z „tak było, ale będzie inaczej”. Nowego, z tym, co od wieków kształtowało tę społeczność zamkniętą, wydziałą geograficznie, żyjącą w innym trwaniu, w innej częstotliwości czasu, przemieniającą ją w skamienne niemalże. I tu odczytuję „Konopielkę” jako satyrę na schematy chłopskiego myślenia. Mamy tu do czynienia z próbą odtworzenia i sparodiowania chłopskiego rozumowania, tej przysłowowej już chłopskiej logiki, myślenia — odczytujemy z „Konopielki” — żywiącego się złudzeniami, bajaniami i pozornymi analogiami. „(...) porządek świata się rozlatuje” — mówi do ludzi wędrowny dziad. — Kaziuków dziwne ciele urodziła krowa i stąd te nieszczęścia — domyślają się chłopci. Pod koniec tej opowieści wieś w następującym na nią Kaziuku z kosą widzi nadchodzącą śmierć z Herodów; symboliczną śmierć ich wartości. Tu jeszcze zmiana sierpa na kosę znalazła swój uniwersalny, symboliczny język, została przetłumaczona na ich własny męt. Na jak długo starczy wsi jej mitów, by uzasadniać to, co zachodzi?

Humor tej książki wynika ze zderzenia dwóch stylów: kultury miejskiej (którą tu niewątpliwie przykładamy przy czytaniu tej książki) i kultury Taplarów, argumentacji Kaziuka i wsi oraz argumentacji nauczycielki. Redliński tego, że przy pierwszym mamy do czynienia z przykładami ewidentnej głupoty, zdaje się wcale nie ukrywać. Widzę w tym pewną satyryzującą celowość, ale, i ograniczenie. Ograniczenie, przeciwko któremu dość ważne atuty przedstawiłby Nowak i Kawalec. Bo czy nie mamy w „Konopielce” do czynienia z niejaką fetyszyczą postępu? Miejmy nadzieję, że jest to początek niezwykle interesującej gry.

Siła oddziaływania „Konopielki” tkwi w niewątpliwie kunsztowności stylistycznej, a nie w samej problematyce, która nie jest nowością. Rzecz nie byłaby nowa, gdyby nie oryginalność jej przedstawienia. Opowieść o Taplarach włożył Redliński w usta wiejskiego gawędziarza, mierzącego świat własnymi kategoriami, używającego w swej wypowiedzi własnego języka, który ewidentnie odśladza jego świadomość i ją rejestruje. Co ciekawe, forma zapisu jest typowa właśnie dla

niewielkiego podkształconego chłopca. Tak np. zapisane jest pytanie: „A wy kto, nie polak?”, a tak wypowiedź o Świętej Rodzinie, której ludzie upatrują w przybyłych do wsi działach: „Nie wiecie kto Przy Nim żył? Kto Jemu Przad, Tkał, Jesć Gotował?”.

W „Konopielce” konsekwentnie realizuje się stylizyka, będąca ekspresyjnym zapisem tamtego świata wartości. Tworzy się napięcie między powagą stylu, niemalże jego reporterskim charakterem (opowieść zaczyna się charakterystyczną informacją: „Najpierw o wstawaniu” sugerującą zamysł narracji), a mimo to wolną groteskowością przedstawianych wydarzeń. Dostrzegam w tym coś ze znanych ballad Grzeszkowiaka... Dobry żart udaje się zazwyczaj wtedy, kiedy jest niejako mimowolny, pozornie nieprzygotowany, kiedy jest wynikiem napięcia między powagą narracji a humorystycznym efektem pointy. U Redlińskiego możemy dostrzec traktowanie sposobu opowieści jako swoistej formy zabawy.

Powyższe stylistyczne, czy nawet stylizatorskie zabiegi wydają mi się szczególnie cenne. „Konopielka” pozabawiona zwłaszcza zdialektyzowania, „przełożona” na język literacki, pozostałaby opowieścią z dość mizerną tezą czy przesłaniem.

W tym sensie uważam, że Redliński prześmiewca wypełnia pewną lukę, jaka pozostała w bogatym dorobku literatury o wsi. Po „Konopielce” polska powieść o tej problematyce jest w pewnym sensie do napisania na nowo.

* Edward Redliński, *Konopielka*. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1973, s. 232, cena 10 zł.

Książki

Na początku lat sześćdziesiątych ta dzielnica miała stanowić panaceum na wszystkie kłopoty mieszkaniowe Gdańska. Miała to być dzielnica unikalna, wzorcową — do porównania chyba z Nową Hutą czy Nowymi Tychami. Pięćdziesiąt tysięcy lokatorów zrzeszonych w jednej spółdzielni mieszkaniowej. Setki sklepów i punktów usługowych. Szkoły podstawowe i średnie. Domy kultury, kluby i świetlice. Wreszcie wielkie centrum handlowo-rozrywkowe, gdzie obok domu towarowego miało się znaleźć kino, restauracje i kawiarnie, urząd pocztowy i przychodnia rejonowa, połączony ośrodek sportowy z boiskami, basenami, halą sportową. Te wszystkie cuda na kilkuset hektarach ziemi płaskiej jak stół, niezabudowanej; teren idealnie nadawał się do eksperymentów w dziedzinie nowych technologii budowlanych oraz dawał szerokie pole popisu fantazji urbanistów i architektów.

Budowa prowadzona była dwoma etapami. W pierwszym, do roku 1965, powstało tak zwane Małe Przymorze, obliczone na około 3500 mieszkańców, ciekawa jak na tamte czasy kompozycja architektoniczna bloków luźno rozrzuconych na skraju istniejącej kolonii domków jednorodzinnych. Nie było tu jeszcze komunikacji miejskiej, nie docierał autobus ani tramwaj, ale do stacji w Oliwie niedaleko, najwyżej 10-15 minut marszu. Ludzie wędrowali środkiem piaszczystej ulicy Czerwonego Sztandaru niosąc w torbach wszystko, co do życia domowego potrzebne, jako że po tej stronie torów kolejowych, poza piekarnią, nie widziałeś najmniejszego nawet sklepiku. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość Zarządowi Spółdzielni, że energicznie się troszczył o potrzeby swych pierwszych członków. Wkrótce przy ulicy Śląskiej powstał wielofunkcyjny pawilon handlowo-usługowy, po nim drugi przy Czerwonym Dworze; dwa przedszkola, nowoczesna (choć z miejsca przeludniona) szkoła oraz Dom Społeczny zakończyły inwestycję w tej części dzielnicy. I był to zespół naprawdę udany, oferujący w zasadzie wszystko, czego może oczekiwać od miasta społeczność małego, peryferyjnego mikrośrodowiska. Poważniejsze zakupy załatwiano we Wrzeszczu, lub Sopocie, to samo dotyczyło rozrywek kulturalnych; braki te rekompensowała iskra wiejska cisza, świeże powietrze, nieograniczone tereny spacerowe.

W roku 1965 ruszyła budowa Dużego Przymorza i tu, na samym początku, projektanci popełnili niewybaczalny błąd. Tereny przyszłej dzielnicy — nim wzniesiono tu pierwsze domy — były niemal idealnie bezdrzewną płaszczyzną. Od granicy Małego Przymorza aż do nadmorskich lasów znajdował się jeden jedyny kompleks zieleni: stary park u zbiegu ulic Chłopskiej i Czerwonego Sztandaru, tuż obok miejsca, w którym miało powstać centrum handlowo-kulturalne. Około setki drzew, żywopłoty, ozdobne krzewy, basen. Ten park architekci skazali na zagładę.

Pozornie pisanie o tym po dziesięciu latach jest jak ostrzał pozycji dawno opuszczonych przez nieprzyjaciela. Tam, gdzie ongiś rosły stare lipy, dziś stoją dwa parusetmetrowej długości bloki, część parku zajęła zakład remontowy Przymorza, stawiając tam swoje magazyny. Basen zasypano, ostatnie smukłe topole włoskie padły wkrótce, kiedy się rozpoczęła budowa linii tramwajowej i drugiej jezdni ulicy Chłopskiej. Tyle już zapisano papieru w obronie bezmyślnie niszczonej zieleni, że wołałbym się nie powtarzać, trudno jednak pominąć fakt, który był charakterystycznym przyczynkiem do tendencji przyświecającej generalnym projektantom Przymorza, będąc pierwszym sygnałem świadczącym o lekcewa-

żeniu potrzeb kulturalnych mieszkańców. Zabrakło wyobraźni. Nikomu z projektantów nie przyszło do głowy, że po zbudowaniu całej dzielnicy ludziom stanie się w niej za ciasno. Współcześnie, w latach siedemdziesiątych, mieszkańiec Przymorza chcąc się na chwilę wyrwać z wielkomiejskiego gwaru, czy może ściślej z wielkomiejskiej betonowej pustyni, musi jechać albo do Parku Oliwskiego, albo na plażę do Jelitkowa. W całym osiedlu nie ma zakątka, do którego nie docierałby smród spalin, gdzie horyzontu nie zamykałyby wielopiętrowe mrówkowce.

Stało się. Park, który można było ocalić prostym zabiegiem przesuwając na projekcie ulicę Chłopską (będącą wówczas zwykłą polną, drogą) o dwieście metrów w kierunku morza i inaczej sytuując dwa wyżej wspomniane bloki, nie istnieje. Zniknął w chwili, w której zaczynał być potrzebny. Przymorze rosło gwałtownie, rozszerzało się, beton i asfalt pokrywały coraz rozleglejszą skorupą piaszczyste nieużytki, gdzie jeszcze niedawno pasły się krowy, a w letnie popołudnia biwakowały, jak na wsi, całe rodziny mieszkańców Małego Przymorza. I tylko oni, ci pierwsi spółdzielcy,

Stanisław Załuski

PLAN A RZECZYWISTOŚĆ

mogą dziś westchnąć, lub zakląć wspominając, co by mogło być gdyby... gdyby pod rozłożystymi drzewami stały ławki, na nich wypoczywali starzy ludzie, dzieci bawiły się na huśtawkach i w piaskownicach, a w księżycowe wieczory zakochani słuchali szmeru fontanny sypiącej do odnowionego basenu ulewę kropki.

Nic z tych rzeczy. Rosła dzielnica w niczym niepodobna do tamtego sielskiego Małego Przymorza. Olbrzymia sypialnia, największe w Polsce osiedle spółdzielcze. Nie chciałbym być źle zrozumiany. Nie jestem przeciwnikiem wielkich osiedli. Wiem, że to konieczność naszej epoki. Chodzi o to, aby osiedle było wielkie, ale zarazem kameralne. Aby ludzie nie czuli się w nim, jak w mrowisku. W przypadku Przymorza projektanci zachorowali na gigantomanie. Ponieważ największe osiedle spółdzielcze, więc i domy muszą być monumentalne. Dziesięciopiętrowe falowce ciągną się wężkiem na odległość prawie kilometra; tworzą korytarze, w których hula wiatr osiągnąca nienotowaną w Gdańsku moc. Gdyby poszatkowano owe termitiery, gdybyż pomyślano o zamknięciu prześwitów domami parawanowymi, jak również przystąpiono natychmiast do tworzenia pasów ochronnych z szybko rosnących drzew! Niestety. Dzielnica budowana metodą wielkoprzemysłową powstała w sposób szablonowy, bez polotu, bez inwencji.

Złośliwcy, mówiąc o Przymorzu, używają nierzadko pogardliwego określenia „Slumsy XX wieku”. Nie posunąłbym się tak daleko w negacji. Mieszkanina nie są tu lepsze, ani gorsze niż gdzie indziej. Są na miarę normatywów obowiązujących w minionym dziesięcioleciu. Lokator miał w umowie zagwarantowaną taką, a nie inną ilość metrów kwadratowych i nie może mieć pretensji, że na

tej powierzchni nie zbudowano większej kuchni, lub dodatkowego pokoju. Ma natomiast tenże lokator prawo zhorzeczycy architektowi, który zamiast miłego dla oka domu zaprojektował coś w rodzaju Muru Chińskiego i powycinał jedyne rosnące w pobliżu drzewa. Ma również prawo dopominać się o obiekty niemieszkalne, wyszczególnione w planie generalnym dzielnicy.

Rozpoczęcie budowy centrum handlowo-usługowego jest w tej chwili opóźnione o sześć lat. „Opóźnienie może się zmniejszyć, lub zwiększyć” — pouczają nas megafony na dworcach kolejowych. Tak się jakoś dziwne składa, że opóźnienie z reguły się powiększa. Aktualnie termin wejścia budowlanych na teren centrum ustalono na IV kwartał 1975 roku. Do tego czasu ma w samym sercu dzielnicy kopcić i huczeć zakład elementów prefabrykowanych. Czy się wprowadzi na czas? Nauczony smutnym doświadczeniem śmiem w to wątpić. Łatwo oczyścić teren z drzew znacznie trudniej z różnego rodzaju szop i bud. A jeśli nawet, to i tak prace obejmą na razie tylko część handlową centrum: dom towarowy, dom o-buwia, restaurację, pocztę, usługi rzemieślnicze. Sprawa kina i ośrodka sportowo-rekreacyjnego pokrywana jest wstydliwym milczeniem.

O Przymorzu mówiło się kiedyś i pisało wiele. Obecnie pupilkiem prasy jest Zaspą. Rok, czy dwa temu w entuzjastycznych artykułach „Głos Wybrzeża” obdarzył nas wizją tej dzielnicy. Jak to przyjemnie będzie się tam mieszkac, ileż rozrywek i udogodnień stanie się udziałem przyszłego lokatora tamtejszego osiedla, a także po sąsiedzku udziałem mieszkańców Przymorza. Potężne centrum zlokalizowane wzdłuż dawnego pasa startowego lotniska. Będzie tam dom towarowy, kino, kluby, obiekty gastronomiczne, sportowe, a także szpital, hotel, park. Coś nam przypomina ten projekt. Ależ, oczywiście, to powtórzenie w większej skali, niezrealizowanego centrum Przymorza.

Przymorze i Zaspą będą liczyły w sumie około stu tysięcy mieszkańców. Nie znam w Polsce stutysięcznego miasta, które by nie miało liceum ogólnokształcącego (kilku liceów), kina (nie jednego kina), w którym nie można by znaleźć kawiarni z prawdziwego zdarzenia. Gdy ktoś chce skrytykować Przymorze, uderza zwykle w zaopatrzenie i w komunikację. Śmiem twierdzić, że obie te dziedziny są tu na zupełnie przyzwoitym poziomie. Sieć sklepów spożywczych i specjalistycznych gęsta, ogonki nie dłuższe niż w innych częściach miasta. Autobusy w godzinach szczytu kursują od dworców kolejowych co 2-3 minuty. Przy tej częstotliwości nawet kilkusetosobowe kolejki zostają zlikwidowane w ciągu paru minut. Mimo to (i chwała za to Miastu) w niedługim czasie rozpocznie się budowę linii tramwajowej ulicą Chłopską w kierunku Wrzeszcza. Jestem także pewny, że prędzej czy później otworzy też swe podwoje dom towarowy i inne placówki tego typu. Inwestycje komunikacyjne, instytucje handlowe mają zielone światło, ponieważ uważa się, że są ludziami potrzebne na co dzień. Czy wszystko, co dotyczy zaspokojenia duchowych potrzeb człowieka, nie jest potrzebne, nie zasługuje na inwestowanie?

Niedawno odbyłem dosyć dziwną rozmowę telefoniczną z dyrektorem Wojewódzkiego Zarządu Kina.

— Panie dyrektore, czy mógłbym umówić się z panem na rozmowę o inwestycjach w dziedzinie kinematografii w Trójmieście?

— Nie warto się umawiać. O tego rodzaju inwestycjach nic panu nie jestem w stanie powiedzieć.

— Więc nawet nie wiadomo, kiedy się rozpocznie budowa szerokoekranowego „Zodiaku”?

— O „Zodiaku” również nic nie wiem. Nie ma i nie będzie (w sensownej przyszłości) „Zodiaku”; w gazetach Trójmiasta nadal będą się ukazywały ogłoszenia zapraszające na seanse kina szerokoekranowego do Słupska, nie będzie też kina na Przymorzu. Kto zagwarantuje, że powstanie ono na Zaspie? A jeśli powstanie, to kiedy? Niesłowność budzi niewiarę. „Chleba i igrzysk!” wołali mieszkańcy Rzymu do swych cesarzy. W największej dzielnicy Gdańska pamięta się tylko o chlebie.

W ciągu lat, jakie minęły od położenia kamienia węgielnego pod budowę Przymorza, resort oświaty wystawił w tej części Oliwy 9 szkół podstawowych i 3 zasadnicze zawodowe. Zapomniano tylko o liceum ogólnokształcącym. Ściślej: nie zapomniano, liceum było i jest w planie. Położone w pobliżu centrum miało korzystać ze wszystkich urządzeń ośrodka sportowo-rekreacyjnego. Nie ma centrum, nie ma liceum. Dzień w dzień ponad tysiąc młodzieży dojeżdża do szkół we Wrzeszczu i w Sopocie. Dziewczęta i chłopcy tracą czas na dojazdy, blokuja i tak ponad miarę zatłoczone autobusy i kolejki.

Do szkoły i do pracy dojechać trzeba. Do kina, do kawiarni, na wystawę niekoniecznie. Zwłaszcza, że w domu telewizor. Siedzą więc ludzie przed szklanym ekranem, uczą się wygodnictwa, uczą się pseudokultury fotelewej. Gdyby mieli swoje kino dzielnicowe w promieniu kilometra, gdyby

mieli ładną kawiarnię, gdzie w miłej atmosferze można by porozmawiać i posłuchać muzyki, nauczyli by się wychodzić z domu. A nawyk ten przybliżyłby do nich z czasem i teatr i operę i filharmonię. Ze mieszkańcy Przymorza są spragnieni rozrywek kulturalnych świadczą koncerty muzyki kameralnej w Domu Społecznym. Na każdym z nich mimo że program ambitny i nie pod publiczność, sala jest nabita po brzegi. Można sobie wyobrazić, jaką frekwencją cieszyłoby się kino.

Celowo kładę szczególny nacisk właśnie na kino. W Polsce od 20 lat praktycznie kin się nie buduje. W Trójmieście zespół „Leningrad” — „Kameralne” powstał na początku lat pięćdziesiątych. Potem jeszcze „Kosmos” na Oruni. I to wszystko. Jednocześnie kilka sal nie nadających się do remontu zamknięto. W tej sytuacji trudno się dziwić, że globalna ilość widzów na seansach maleje. Nie telewizja zabija film, lecz niewłaściwa polityka kulturalna. Kino (naturalnie z szatnią, z bufetem) jest obok domu kultury tym miejscem, gdzie młody człowiek najczęściej zdobywa pierwsze szlify obcym towarzyskiemu, pierwsze kryteria oceny widowiska artystycznego. Często jedyną alternatywą pójścia do kina jest knajpa i ulica.

Za opłakany stan urządzeń kulturalnych na Przymorzu nie winię Spółdzielni. Są to sprawy, których Spółdzielnia nie byłaby w stanie załatwić. Można pisać o koszmarną architekturę, zżymać się wspominając wycięcie parku; nie sposób pominąć wysiłków, jakie podejmuje Zarząd Spółdzielni, aby ułatwić życie mieszkańcom dzielnicy.

Miniaturowy dom kultury zwany Domem Społecznym dokonuje, pod znakomitą kierownictwem pani Ireny Jakielowej, cudów. Prawie 650 osób, młodzieży i dorosłych, zrzeszonych w 15 zespołach artystycznych i kołach zainteresowań przewija się przez sale, raczej pokoiki niż sale, Domu. Ośrodek zabaw dziecięcych „Piastu” uznany został za jeden z czterech najlepszych w Polsce. Niestety, jest to kropla w morzu potrzeb.

Budowa Przymorza dobiega końca. Po przeniesieniu lotniska do Rembiechowa rozpocznie się wznoszenie osiedla Zaspą. Naturalnie najpierw bloków mieszkalnych, potem pawilonów handlowych, potem szkół podstawowych, przedszkoli żłobków, garaży. Centrum musi poczekać, aż teren wokół niego obrośnie domami. A potem... potem będzie „jak Bóg da”. W Zarządzie Spółdzielni Przymorze słyszałem nieoficjalnie głosy, że już w tej chwili obcina się limity przeznaczone na zaspiańskie centrum.

Czy jest jakieś wyjście z błędnego koła? Chyba tak. Gdyby już teraz, nie czekając w nieskończoność, rozpocząć pełną parą budowę centrum Przymorza. Choćby za pieniądze i według projektu centrum Zaspą, jeśli inaczej nie można. Pozwoliłoby to w ciągu paru lat zakończyć budowę przynajmniej jednej dzielnicy, dało 50 tysiącom Przymorzaków satysfakcję korzystania z wielkomiejskich wygod, natomiast pierwszym lokatorom Zaspą, szczytę zaufania i cierpliwości. Pewność, że projekty urbanistyczne nie są jedynie mirażami z kreślarskich desek architektów.

Różne są miary popularności. Pisarze wiążą ją ze sprzedażą swoich książek. Czasem jest to miara złudna, jeśli się zważy, że wysokość nakładów, a również stopień reklamy książki nie stoją u nas jeszcze w proporcji do powszechności odbioru. Trudno mówić o popularności pisarza na podstawie sprzedanych egzemplarzy, skoro tom poetycki ukazuje się u nas w nakładzie 1000 egzemplarzy, a tom prozy przeważnie w 10 000. Trudno mówić o wpływie reklamy na sprzedaż książki, jeżeli niektóre wydawnictwa mają „zwrotny” fundusz na te cele: ca 3500 złotych rocznie!

Jest rzeczą trudną rywalizować pisarzowi, który tworzy ambitną prozę i poezję z pisarzem kryminałów i widowisk telewizyjnych. Ież jest czytelników Parnickiego czy Kuśniewicza, a ilu ludzi czyta Joe Alexa? Wielu o Jarosławie Iwaszkiewiczu usłyszało wtedy, gdy Kawalerowicz sfilmował „Matkę Joannę od aniołów”. Film to druga platforma, na której rozgrywa się walka o popularność. Wiedzą coś na ten temat aktorzy. Można być wybitnym aktorem w teatrze, ale prawdziwą popularność zdobywa się w filmie, a przede wszystkim w telewizji. Grochowiak, Bryll nie byli złymi poetami, kiedy przystąpili do pisania tekstów do piosenek. Gorszymi poetami od nich są na pewno Urgacz i Osiecka, ale ich wyniosły teksty „śpiewane”, niemal masowo. Piękniejszym głosem, lepszą techniką, poważniejszym stosunkiem do sztuki dysponują śpiewacy operowi czy estradowi, ale to nie oni są idolami mas.

Popularności sportowcom zazdrością wszyscy. Ale sport sportowi nie równy. Można być na przykład mistrzem olimpijskim w strzelaniu i być zupełnie nieznanym powszechnie, można być mistrzem kraju w piłce nożnej,

Z Ł O T E G W O Ź D Z I E

grać przeciętnie na skrzydle czy w obronie, ale pozostawać na ustach wszystkich. Decydują widownie. Widownia piłki nożnej liczy się w dziesiątkach tysięcy, nie mówiąc już o transmisjach telewizyjnych, w których uczestniczą miliony.

Co jest jednak dla tego kraju dźwięgającego się wzywać ważniejsze: prozaik podejmujący ważne tematy ideowo-artystyczne, czy pisarz od „kryminałów”, poeta budzący sumienie i wyobraźnię, czy piosenkarz, który budzi beztroską zabawę, aktor grający w sztukach Szekspira i Słowackiego, czy aktor serialu pt. „Czarne chmury”, sportowiec umiejący nadać piłce odpowiedni kierunek, czy naukowiec umiejący nadać swojej pracy cechy oryginalności? No kto? Kto umie odpowiedzieć na to pytanie? Czytelnicy „Kuriera Polskiego”.

VI plebiscyt popularności, w którym nagrodą jest Złoty Gwóźdź i Srebrny, organizowany przez „Kurier Polski”, przyniósł następujące wyniki: Złoty Gwóźdź otrzymał Ryszard Szurkowski, a zdobywcami Srebrnego Gwoździa zostali — Maryla Rodowicz, Włodzimierz Lubański, Jan Tomaszewski i Urszula Sipińska. Są to osobistości rzeczywiście bardzo znane, ale ile w tym ich zasług, a ile zasług „gatunku”, w

którym występują? Proszę zauważyć, że nie ma w tym zestawie ani jednego aktora dramatycznego (w przyszłym roku pewne szanse daje Olbrychskiemu, gdy wejdzie na ekrany telewizyjne „Potop”), nie ma pisarza, malarza, kompozytora, muzyka, nie mówiąc już o naukowcu czy polityku, działaczu...

Kolarz, piosenkarz, piłkarz, piosenkarka... zestaw dość śmieszny, choć w swoim „gatunku” osoby te są dość sympatyczne. Co poza tym taki plebiscyt ma przynieść? Czy ma on wykreować nam bohaterów dnia dzisiejszego? Czy może to mają być wzorce postępowania dla naszej młodzieży? A może jest to tylko zabawa czytelników? Jeżeli przy tym zostaniemy, to zabawa jest zajęciem poza ważniejszym działaniem i nie może sama przez się być jeszcze nagradzana. Wszak za grę w klasy, za skakanke, za grę w dwa ognie uczeń nie otrzymuje promocji do następnej klasy, wszak nie dlatego cenimy młodego człowieka, że umie tańczyć sambę czy be-bop. Popularność piosenek wystarczająco „odbija” się w sprzedaży płyt, w tłumach, które ich słuchają na koncertach. Popularność sportowców wiąże się ze sprzedażą biletów na mecze, w których występują. To powinno wystarczyć. Nie wystarcza. Muszą być jeszcze „gwoździe”. Co tymi gwoździami przybijamy? Naszą beztroskę i naszą zabawę. Bo nie przypuszczam, by taki werdykt czytelników był protestem przeciw ponuractwu. Nagroda za zabawę jest ponurą rzeczą. Wtedy przegrana w meczu jest klęską narodową, a każdy, najbardziej bzdurny tekst piosenki, manifestem „pokolenia”. Chęć punktowania zabawy wynika z jej niedosytu. Kto się dobrze ubawił, nie szuka już większej nagrody.

BERNARD

MIGOTANIE

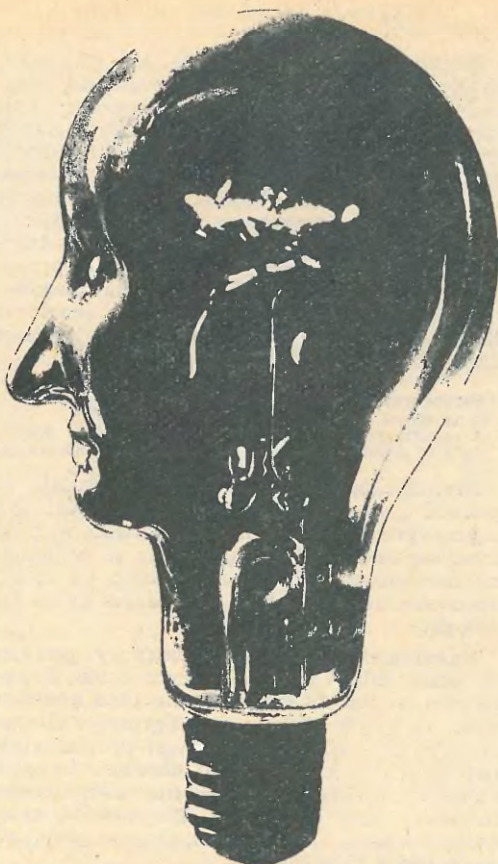
W opisie zjawisk kultury przyjmujemy często postawę ludzi roztropnych, optymistycznie roztropnych, za jedyną monetę uznających wagę zdroworozsądkowych opinii i na wzór jednego z pierwszych encyklopedystów polskich, przesławnego X. Chmielowskiego, wołamy: „Kultura nasza — każdy widzi, jaka jest”. I to nam wystarcza. Pytając jaka jest gdańska kultura nie można traktować jej w oderwaniu od zjawisk, które stanowią o obliczu kultury kraju.

Nie najlepiej bywało z kulturą gdańską po roku 1960, gdy traktowano ją instrumentalnie, a jej instytucje zaliczano do sfery działalności usługowej. Nie istniał żaden nawet dziennik zjawisk kultury, który mógłby być spożytkowany jako źródło wiadomości do szerzonych powszechnie zdroworozsądkowych opinii, nie mówiąc już o programie rozwoju instytucji, a zgoła nie wspominając o tworzeniu odpowiedniego klimatu społecznego, w którym kultura miałaby być tym czynnikiem, który służy pełnemu i wszechstronnemu kształtowaniu osobowości ludzkich.

Z wszystkich sfer, które atrakcyjnością proponowanych sugestii obejmowała kultura, a to sfery politycznej, społecznej i gospodarczej — najwyraźniej widziało się sferę polityczną, w której kultura miałaby być równorzędnym, czy nie naczelnym czynnikiem kształtowania ideologii. Uwagę umykało znaczenie kultury w sferze społecznej, jako czynnika integrującego społeczeństwo. Pomijano zupełnie znaczenie kultury w reintegracji rodziny, w coraz bardziej urbanizującym się krajoznaczu, a w sferze gospodarczej marginalne zainteresowanie przejawiano znaczeniem kultury w rozwijaniu twórczej aktywności społeczeństwa. W kulturze, z której wyeliminowano a priori współzależność i komplementarność tych sfer oddziaływania, nie mogła się zrealizować marksistowska zasada jedności produkcji, bytu i wychowania.

Tymczasem istniały potężne siły dezintegrujące społeczeństwo. Przeżywalismy stan masowych migracji, stan urbanizacji, który w dalszym ciągu dynamizuje społeczeństwo, sprawiając jednocześnie, że przerywają się naturalne, rustykalne jeszcze często wzory współzycia społecznego i partnerstwa w kulturze.

Decydowanie o wartościach kultury pozostawiono opłakanym amatorom, czyli administracji. Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji wystąpiły sytuacje stressowe, sytuacje, w których wbrew wszelkim oczekiwaniom zaczęły powstawać trudne do odrobienia strefy dziur w kulturze. Szczególnym jest to, że jednym, czy nie najpotężniejszym z czynników wytwarzających kulturalną próżnię stały się domy kultury, lansujące stereotyp uczestniczenia w kulturze, którego standard i skala wyobraźni przeniesione zostały ze skompromitowanych współcześnie czasów narodzin naszego mieszczaństwa, z dziewiętnastowiecznego modelu społecznikowstwa, jako sposobu uczestniczenia w życiu społecznym. Model tej kultury był, wbrew intencjom administracji, modelem kultury podzielniej; statystyka zjawisk kultury organizowanej była nadrzędna do rzeczywistej kultury społeczeństwa. Tym gorzej dla społeczeństwa.



KULTURA

gdańska
jaka
jest



Niejako równolegle, wbrew mniej czy bardziej umiejętnie lansowanemu modelowi życia godnego, zaczęły wytwarzać się wzory życia kulturalnego tak otwartego, że aż porównywalnego. Rodzące się kategorie wyboru sprowadzały się do tego, że wybierano pomiędzy koncertem w katedrze oliwskiej, a Gdańską Kapelą Podwórkową; pomiędzy K. Kulką, a cyrkiem „Gdańsk”; pomiędzy A. Boniuszko, a trzeciorzędnym magikiem Adorno. Żadna z postaw, żaden z modeli aktywności kulturalnej nie był naganny; wszystko mieściło się dobrze w haśle kultury otwartej, która stawiała się już kulturą masową, kulturą homogenizowaną. Niebanalna była w tym względzie rola telewizji, dzięki której uczestniczenie w kulturze okazało się niezwykle łatwe, gdyż to, co dalekie, co wymagało do tej pory pewnego wysiłku, pewnego przystosowania się, przychodziło wprost do domu mówiąc: „Bierz mnie”. Nie mówiąc natomiast: „Wybierz ze mnie to, co uważasz za wska-

KULTURA

zane. Wybierz ze mnie to, co pozwoli tobie zobaczyć w sobie człowieka”. Telewizja homogenizuje kulturę jeszcze intensywniej, niż praktyczna zgoda na formułkę kultury otwartej, nie dlatego bynajmniej, aby była dynamiczna, aby przełamwała gust, lecz dlatego tylko, że ma łatwość przedarcia się przez betonowe ściany naszych mrówkowców w intymny świat dorosłych ludzi w papciach.

Najpopularniejszymi instytucjami kultury stały się „Podwieczorek przy mikrofonie”, „Zgaduj-Zgadula” — przysparzająca swoim laureatom złudnego uczucia opanowania jakiejś wiedzy, czy zgoła ogłupiające, chłopomańskie imprezy w rodzaju „Wesołego autobusu”. Instytucje te zostały ukształtowane przez najpotężniejszy środek publicznego przekazu, jakim jest radio i telewizja pod dzielną batutą Prezesów. Pałeczka dyrygenta sobie, a kultura sobie, zupełnie jak w słynnym happeningu Kantora, dyrygującego morzem. Happening T. Kantora zawierał w sobie moment niespodzianki, moment zaskoczenia, gdy działalność kulturotwórcza „Podwieczorków” i „Wesołych autobusów” sprowadza się do tego, aby jak najszybciej zawieść swoich biernych uczestników w krainę stereotypu i pozorującego głębią artystycznego przeżycia, banału.

Sylwetka „Neptuna” pojawiła się na ekranach gdańskich telewizorów w grudniu 1958 r. Jakże to niedawno, a wydaje się być wiecznością. Stało się to za sprawą społecznego komitetu, gdyż zgodnie z centralnym planem rozwoju telewizji w Polsce, „groziła” ona Gdańskowi dopiero w 1967 roku! Nie można pytać o to, co byłoby, gdyby...

Program telewizji w swoich wybitnych i najwybitniejszych przedsięwzięciach przyczynił się niepomniernie do wzrostu poziomu cywilizacyjnego ludności, szkoda jedynie, że inicjatyw wybitnych jest w tym względzie zbyt mało i że zbyt mały jest w nich udział regionalnej, gdańskiej redakcji TV. Rola takich inicjatyw, jak poniedziałkowy teatr telewizji staje się znacząca wtedy, gdy uprzątni się, jakie są możliwości tradycyjnego kontaktu ze sztuką teatralną w Trójmieście. Obszar ten zamieszkiwany obecnie przez 660 tysięcy mieszkańców dysponuje zaledwie 3664 miejscami, podczas gdy 580 tysięcy mieszkańców Krakowa ma tych miejsc 6 tysięcy, a 700 tysięcy Łódzian około 6,5 tysiąca. Na jedno teatralne krzesło w Trójmieście przypada 240 widzów!!!

Element statystyki

Docenając znaczenie statystyki, wynikające ze zgoła pozytywistycznej tendencji do rozpoznania rzeczywistości w rzeczywistości,

nie można jednocześnie zapominać o tym, że ma ona przedziwną własność unieruchamiania w wybranym momencie czasu, najczęściej momentem tym jest 31 grudnia danego roku, dynamicznych zjawisk społecznych.

Niestety, nie ma w obecnej chwili doskonalszego sposobu oglądu rzeczywistości minionej i nie istnieje sposób na wyeliminowanie niedoskonałości statystyki zasadzającej się na tym, że nie jest ona w stanie objąć porządkiem liczb rodzących się zjawisk, które wbrew wszelkim oczekiwaniom i prognozom zakładającym kształtowanie nadchodzącej rzeczywistości, mogą się na prognozy „obrazić” — tworząc rzeczywistość rewolucyjnego zaskoczenia. Takie zjawiska znane są kulturze, że przypominę tylko prognozy telewizyjne dla Polski, aby zatrzęsć się w czasie niezbyt od obecnych lat odległym. Statystyce musi więc towarzyszyć elastyczność podejmowania decyzji, elastyczność wyborów, a nie dogmatyzm w realizowaniu sposobów dojścia do prognozowanej rzeczywistości, gdyż może się ona okazać rzeczywistością ubogą w stosunku do już wytworzonych potrzeb. A w ubogiej rzeczywistości następuje karlenie postaw ludzkich, twórczość przemienia się w kontynuację, postawę „być” eliminuje postawę „mieć”.

Jaka jest statystyczna rzeczywistość Wybrzeża, wg. „Rocznika Statystycznego”?

Wybrzeże należy do ośrodków najbardziej w kraju zurbanizowanych; w 1972 r. 70,2 proc. spośród ponad 1,5 mln. osiedlonych w woj. gdańskim mieszkało w miastach. Prawie 81 proc. mieszkańców Wybrzeża utrzymywało się z pozarolniczych źródeł utrzymania. Średnia krajowa ludności miejskiej wynosi 53,1 proc. Wysokie zatrudnienie poza rolnictwem świadczy o tym, że mniej niż w innych regionach kraju czasu wolnego mają czynne zawodowo kobiety. W skali kraju czasem wolnym nie dysponowało 16 proc. pracujących kobiet, w skali województwa gdańskiego procent ten będzie znacznie większy. Znacznie więcej kobiet w liczbach bezwzględnych, niż w jakimkolwiek innym regionie kraju, nie dysponuje na Wybrzeżu czasem wolnym. Jakże wypływają stąd wnioski co do wychowania rodzinnego i kształtowania związków rodzinnych? Jakże są nasze rodziny? Jakże wnioski wynikać będą dla wybrzeżowej kultury z nowej jakości, jaką tworzyć będzie systematycznie powiększany czas wolny?

W Gdańskim występuje dosyć wysoki w skali kraju odsetek osób z wykształceniem wyższym od średniego. Wnosząc wśród dorosłej ludności miejskiej 7,7 jest wyższy niż w Łódzkiem i Wrocławskim. Wyższa jest ilość telewizorów i odbiorników radiowych, wnosząc odpowiednio 186,3 i 186,7 na tysiąc mieszkańców, gdy w skali kraju wskazywali te mają wartość 157 i 175. Średniokrotnie, od 1960 do 1972 r., wzrosła ilość samochodów osobowych, osiągając w grudniu ostatniego roku 38.689 sztuk. Na tysiąc ludności przypada obecnie 66,1 abonentów telefonicznych. Spadła liczba kin ze 156 w 1965 r. do 119 w r. 1972. Podwyższył się przeciętny wiek statków eksploatowanych przez naszych armatorów, co nie znaczy, aby malała efektywność pracy stoczniovców Gdańska i Gdyni. Podwyższył się nakład „Głosu Wybrzeża”, „Wieczoru Wybrzeża” i „Liter” po obniżeniu nakładu w 1971 r., gwałtownie spadł w 1972 r. nakład „Tygodnika Morskiego”, niewielkie oscylacje wykazuje nakład „Dziennika Bałtyckiego”.

Podnosi się poziom naszego życia, który do 1990 r. ma wzrosnąć dwa i pół raza w porównaniu z rokiem 1971. W bliższej perspektywie, bo w 1975 r. dochody ludności woj. gdańskiego mają osiągnąć 42 mld. złotych.

Pozostając przy r. 1972 można zwrócić uwagę na to, że średnie rozchody miesięczne na jedną osobę wynosiły w Gdańsku 1414 złotych, z czego na kulturę, oświatę, sport, turystykę i wypoczynek wydano łącznie 91 zł. Prawie tyle, ile na mięso (90 zł), a mniej niż na nabiał i jaja (94 zł).

Wybrzeże odwrócone od morza

Kultura polska odwracała się na przestrzeni wieków od morza. „Nawigacja morską” stanowiła o wiele większy fenomen kulturowy i społeczny niż samotny rajd konny przez łęgi i pustkowia Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Oknem Polski był Gdańsk, ale nie było nim morze. Jedynie dawny Gdańsk nie odwracał się plecami od morza, a wręcz przeciwnie. Morze, kultura ludzi uprawiających morze, wkraczała na przedproża mieszkańskich kamienic, na targowiska. Kasper Miaskowski, poeta przełomu XVI i XVII w. w utworach „Na Komisję Szczecińską” pisał pocziwie:

*Bezpieczniej Polak w polu z kopytą poskoczy
I na ziemi do szabli bardziej on ochoczy,
A maszt, żagiel i krzywą kotew niech ci mają
Co nad stynnym Neptunem od pieluch mieszkają.*

Nieliczni gdańszczanie 1945 r. mieszkali od pieluch „na stynnym Neptunem”. Nauczym się nowych rzemiosel, nowych zawodów, nauczmy się budować statki, budują je wspaniale, ale wciąż nam jeszcze daleko do żywej obecności kultury morza w naszym życiu ładowym.

Kalendarzowa koncepcja kultury panująca przez długi czas w naszym życiu kulturalnym, wciąż jeszcze widziana jako konieczność, zaciążyła srogo i nad uprawą kulturalną morza, znajdując dla jego problematyki najczęściej i jedynie „Dni Morza”. Instytucjonalną formą kształtowania świadomości morskiej stały się Kluby Marynistów, zrzeszające często ludzi autentycznych pasji, ale mniejszych talentów.

Tymczasem morze, a w szczególności Morze Bałtyckie, będące niczym innym jak formą międzynarodowego „jeziora”, stało się znaczącym instrumentem różnorodnych działań politycznych, w tym także międzynarodowych działań kulturalnych, owocujących np. „Tygodniami Bałtyku” w Rostocku. W basenie Morza Bałtyckiego zaczęło kształtować się myślenie kategoriami już nie partykularnych interesów poszczególnych narodów i państw, lecz kategoriami całej ludzkości. Zadnemu z mórz nie przydano, jak Bałtykowi, miana „Morza Pokoju”.

Jedną z pierwszych inicjatyw traktujących Morze Bałtyckie jako czynnik integrujący kraje nadbałtyckie była przedwojenna działalność Instytutu Bałtyckiego. Wydawane w Gdyni czasopismo „Baltic and Scandinavian Countries” było pionierem problematyki bałtyckiej i skandynawskiej. Wcześniej powiedzieliśmy „Skandynawia przychodzi”, aby dopiero po wojnie usłyszeć: „Polen kommer” — „Polska przychodzi” do Szwecji, do Skandynawii. Owszem, przychodzimy wzajem do siebie z techniką i technologią, z tym co może być spożytkowane także w kulturze konsumpcyjnej, ale nażbyt słabi jesteśmy jeszcze w wymianie wzajemnych dóbr kulturalnych.

Wyda się zresztą, że jesteśmy na tym polu znacznie bardziej dynamiczni od swoich zamorskich, północnych sąsiadów. Co zresztą koresponduje jak najściślej z ogólnymi celami naszej polityki kulturalnej, wspierającej naszą politykę zagraniczną. Świadectwem wspomnianej dynamiki i inicjatyw są „Tygodnie Polskie” organizowane nie tylko w morskich miastach Skandynawii, były nimi Gdańskie Spotkania Literackie, są Biennale Fotografiki Krajów Nadbałtyckich. Do tych faktów należą także międzynarodowe plenery artystyczne czy, aby nie pozostać tylko na gruncie przymorskim — wydawana przez Wydawnictwo Poznańskie seria dzieł pisarzy skandynawskich. Niestety, nie tylko w ostatnim przypadku, naszym wysiłkom nie towarzyszy komplementarna praktyka strony skandynawskiej. Współuczestniczenie w kulturze wymaga współpartnerstwa wszystkich stron. Być może, że powstający w Szwecji Instytut Kultury Polskiej stanie się czynni-

kiem dynamizującym i informującym środowiska kulturalne krajów skandynawskich. Zadna miłość nie może być miłością bezinteresowną, łączy się ona zawsze z pielęgnacją uczuć tym bardziej, gdy uprawiać ją trzeba ponad zimnymi, co tu ukrywać, czy sztormowymi falami morza. Z amatorskiego rozpoznania, z którego korzystać trzeba wtedy, gdy nieznane są dane sprawdzalne wynika, że największą popularnością spośród sztuk pięknych cieszą się w Skandynawii polska plastyka i muzyka.

Nasza choroba — fajerwerki?

Jedną z cech uprawiania kultury jest towarzyszący jej snobizm i „fajerwerkowatość”, przy czym to ostatnie łączy się ściśle z epoką kalendarzowej koncepcji kultury. Skoro odrzucamy ten kalendarz na rzecz ciągłego uprawiania kultury, godzi się i zrezygnować z kulturalnych fajerwerków, gdyż nie są one w stanie wyczerpać lub tylko zaspokoić minimum potrzeb człowieka.

W tym miejscu dotykamy zagadnienia integracji kultury Wybrzeża z kulturą powstającą w innych regionach, której karykaturalną postacią jest część przynajmniej imprez tzw. „Sopockiego Lata”. Mało ambitne, organizowane, rynkowe, nie mające ambicji kształtowania kultury wykorzystania czasu wolnego, a jedynie pozwalające na miłe, najczęściej niezobowiązujące do niczego sposoby „zabicia czasu”. Rzeczywistość „Sopockiego Lata” jest rzeczywistością wartości pozornych, a jedyną wartośćą rzeczywistą jest zmodyfikowane, a obowiązujące prawo Greshama — Kopernika o „gorszej kulturze wypierającej lepszą”. Tworzy się w ten sposób specyficzna sub-kultura, kultura „Sopockowa”; lecz wszystko co błyskotliwe, łatwe i przyjemne kończy się wraz z sezonem. Mieszkańcom Sopotu pozostaje jedynie nauka kulturalnego jedzenia cukierków, zakupionych w znakomicie zaopatrzonym sklepie „E. Wedel”. Na ośłode.

Morze szumi, uspokaja rozdygotane w sezonie nerwy, można spokojnie ułożyć się do snu. Chwała „WAIA” za to i sława?

Wymiana dóbr kulturalnych pomiędzy regionami jest koniecznością, jeżeli kultura — rozumiana jako harmonijne upowszechnianie — nie ma ugrzęznąć w sferze małych, lokalnych, regionalnych wartości. Małych, regionalnych wybitności. Szansą dla gdańskiej kultury jest tylko kultura o wymiarze ponad lokalnym, ogólnopolska, sprzymierzona z dziedzictwem przeszłości, o którym mówił Leleweł, że jest przeciwnie „materialnej cywilizacji, o jaką zachodnie strony gonia”, a także z dziedzictwem samorodnej kultury Kaszub, Kociewia i Powiśla.

Pozorną siłą kulturotwórczą są środowiska twórcze Wybrzeża. Pozorna dlatego, że wewnątrz środowisk nastąpiły procesy dezintegracji i atomizacji. Traci sens operowanie pojęciami: „środowisko plastyczne”, „środowisko literatów” czy „środowisko architektów”. Środowiska nie znaczą. Znaczą jedynie, wraz z pozytywnymi i ujemnymi sensami takiego wyróżniania: S. Fleszarowa-Muskat, J. Jarzynówna-Sobczak, R. Ostrowska, K. Bereźnicki, S. Hebanowski, S. Horno-Popławski, K. Kulka i kilkunastu (?) może jeszcze innych.

Tu środowisko, tam środowisko...

Tylko w Sopocie mieszka 180 plastyków, ale nie są oni widoczni bardziej niż w Kartuzach, gdzie nie mieszka bodajże ani jeden. Na Wybrzeżu mieszka około 600 plastyków, ale byłoby ułudą, wręcz grubym nieporozumieniem pisać o środowisku plastyków. Środowisko istnieje tylko w momencie wyborów do władz Okręgu, na których zresztą obecny jest co 6 plastyk, a przez pozostałe miesiące i lata istnieją grupy nacisku i plastycznej chałtury, i oczywiście — nieliczni w skali zbiorowości, artyści-plastycy. Znacznie dobitniej o sile środowiska mówią finansowe sprawozdania Pracowni Sztuk Pla-

stycznych; niestety — nie mówią one nic, lub najczęściej nic o skali talentów. Jest smutną prawidłowością, jeżeli prawidłowość może być smutna, że trudniej współcześnie na mamotę zamienić talenty, niż sprawność — jeżeli jest ona sprawnością organizowania i umiejętnością załatwiania sobie zleceń. Gdańska PSP żyje z plastyki, nie plastyce gdańskiej nie dając — nie tworząc m. in. warunków, w których mogłoby się ukształtować rzeczywiste środowisko plastyczne. Nie tworzą środowiska rozwalające się pawilony BWA w Sopocie, nie tworzy środowiska Sień Gdańska; nie ma klimatu dla środowisk. No i dobrze?!

Powstaje dylemat. W Trójmieście mieszka około 1500 członków związków i stowarzyszeń twórczych, z których większość związana jest z instytucjami kultury takimi, jak teatry, wydawnictwa, opera. Powstaje pytanie, w jakim sensie ich aktywność świadczy za tymi instytucjami, a w jakim sensie jest przez te instytucje kanalizowana w systemie biurokratycznych nadzórności i podrzędności służbowych. Jeżeli systemem wartości dominującym w ocenie działalności członków stowarzyszeń twórczych jest rzeczywiście system służbowych, instytucjonalnych hierarchii jestem pełen niepokoju o wartość stowarzyszeń twórczych w procesie kształtowania i tworzenia gdańskiej kultury. Niepokoju ten jest tym bardziej uzasadniony, że zjawiskom kultury gdańskiej nie towarzyszy krytyka, jeżeli już nie ustalająca, to przynajmniej orientująca w skali wartości dokonanych twórczych.

„Bim-Bom”. „Bim-Bom” —
straszak duchy „Zaka”

Instytucja teatru kojarzy się z pojęciem tzw. wyższej kultury. przeciwstawianej potocznie kulturze masowej. Tworząc model kultury powszechnej, pojęcie jako „kulturalna uprawa” człowieka ideowego i moralnego, której program powinien być programem realnym, umożliwiającym „świadome sterowanie procesami kształtowania się potrzeb wyższego rzędu”. nie można jako naturalnej danej nam dychotomii, traktować techniki i kultury.

Niebagatelne znaczenie oprócz instytucji kultury mogą mieć w tworzeniu symbiozy techniki z kulturą instytucje spontaniczne, będące z jednej strony wyrazem określonych potrzeb różnych grup, a z drugiej ambicji kształtowania nowych, w porównaniu z zastanymi, form uczestnictwa w kulturze. Interesującym przyczynkiem do tego zagadnienia jest proces kształtowania się obok teatru, jako instytucji, formy eksperymentalnych i awangardowych teatrzyków, wywierających często wpływ na zinstytucjonalizowany teatr.

Do przeszłości należy prekursorska i opiekuńcza zarazem rola KSW „Zak”, z którym związane były także, znaczące nie tylko dla studentkiego życia kulturalnego teatrzyki, jak: „Bim-Bom”, „To-Tu”, „Co To”, „Galeria”. Teatrzyki dały w ciągu pierwszych pięciu lat istnienia „Zaka” (od 1957 roku) ponad dwieście dziewięćdziesiąt spektakli, które obejrzało 52 tysiące widzów, a przez sale „Zaka” przewinęło się około dwóch milionów uczestników różnych imprez. Tak było w przeszłości. Obecnie „Zak” stoi jeszcze wspomnieniami pięknej przeszłości i rachitycznymi „Spotkaniami Jesiennymi”. „Róża” już nie jest „Czerwona”.

Racionalna fantastyka

„Kongresy Judymów i Siłaczek” spełniły swoją rolę, nadszedł czas, aby działania fantastyków, nie liczących się z układami społecznymi, zastąpić działaniami racjonalistów, którym układy owe będą sprzyjać.

Trójmiasto, specyficzny w polskich układach urbanistycznych, miejski twór linearny, zamieszkiwany jest obecnie przez ponad 600 tysięcy ludności. Według prognoz obszar ten będzie za-

-tu ponad 700 tysięcy mieszkańców.

Wybrzeże, stanowiąc drugi co do wielkości najbardziej zurbanizowany region w kraju, przy czym proces urbanizacji jest i będzie w tym regionie bardzo dynamiczny, że wspomnę o takich czynnikach urbanizujących, jak budowany Port Północny, Rafineria czy Elektrownia w Żarnowcu, jest jednocześnie regionem niezwykle atrakcyjnym turystycznie dla reszty Polski. Stanie się nim i dla Europy, nie tylko dlatego, że leży na szlaku Północ-Południe, a przede wszystkim ze względu na centrum Gdańska — Stare Miasto.

Myśląc o koncepcjach kultury, o jej modelu, trzeba pamiętać nie tylko o działaniach instytucjonalnych, ale o działaniach sprzymierzonych z klimatem postaw ludzkich, którego nie można rozdzielić od miejsca, w którym ludziami przyszło żyć. Problem ten staje się szczególnie wyraźny wtedy, gdy myśli się o tym, aby Starówka Gdańska stała się rzeczywistym salonem Gdańska, a nie jego „saloonem”, jak pisał w przeszłości B. Holub. Zbyt mało jeszcze uczyniono, aby na Starówce ulokowane zostały centra kultury i kulturalnego działania, aby mieli tam swój, nie azyl, lecz miejsce twórczego działania malarze i rzeźbiarze. Gdyby to się stało, może zostałaby uczyniony pierwszy krok w tym kierunku, aby powstało w Gdańsku rzeczywiste środowisko plastyczne. Swoistym paradoksem jest to, biorąc pod uwagę, że kultura to także dziedzictwo przeszłości, iż „Dom Książki”, dobijający się od lat należącego na Starówce lokalu dla antykwarium, traktowany jest na równi ze sprzedawcami pietruski i towarów łokciowych.

Kultura gdańska jest i powinna być kulturą różnorodnościową, tworzoną z perspektywą polską i z perspektywą tej szansy, jaką daje Morze Bałtyckie, szansy dzisiaj jeszcze nie wykorzystanej. Oczywiście, w koncepcji tej jest i miejsce na to, aby każde z miast Trójmiasta kształtowało swój specyficzny model kultury, byleby w sumie składały się one w koherentny, a nie wewnętrznie sprzeczny model kultury wybrzeżowej.

Pewne działania podjęte w tej dziedzinie są bezsporne. Należą do nich: Biennale Fotografiki Krajów Nadbałtyckich, Festiwal Sztuk Plastycznych, Biennale Exlibrisu w Malborku (spotykamy się w tym miejscu ze swoistym paradoksem, że impreza ta odbija się najgłośniejszym echem w Europie, że wspomnę tylko o artykułach w specjalistycznych pismach, jak: „A Arte do Exlibris”, „L'Ex-libris Français”, „Nordisk Exlibris Tidsskrift”), Ogólnopolski Festiwal Młodych Muzyków, Festiwal Piosenki, Biennale Form Przerzennych czy Kongresy Marzycieli w Elblągu. Imprezy te stanowią różnorodny i znaczący, chociaż daleko niekompletny, system faktów kulturalnych, na którym powinno wspierać się bogactwo propozycji

uczestniczenia w tworzeniu faktów kulturalnych codzienności.

Optymistyczne jest to, że instytucjami kultury zawiadują wybitni twórcy, że coraz częściej otwierają się zielone światła dla ludzi z inicjatywą. To przecież fenomeny nie tylko w skali lokalnej, że w Gdańsku niezwykle ważną dziedziną ochrony zabytków i kulturą muzyczną zawiadują młodzi, czy wręcz bardzo młodzi ludzie. Ci, którzy w przeszłości, w innym klimacie społecznym, mogliby co najwyżej przypisać sobie do działań w studenckim ruchu twórczym.

* * *

Tradycja i współczesny potencjał gospodarczy i kulturalny Wybrzeża predysponują ten ośrodek do rangi pierwszorzędowego centrum kultury, którego działania będą świadectwem naszej żywej obecności w krajach skandynawskich, a z drugiej — będą współkształtowały oblicze kultury ogólnopolskiej. Skoro jest prawdą, że współczesna kultura, to także sfera techniki i decydowania w jakościach proponowanych przez masowe środki przekazu, nie do pominięcia jest stworzenie w Gdańsku samodzielnego centrum filmowego i radiowo-telewizyjnego. To ostatnie wychodzi już ze sfer projektów w sferę rzeczywistości: jakież to skok jakościowy i ilościowy od chwili, gdy Telewizja Gdańska nadała w czerwcu 1960 roku swój pierwszy program, reportaż ze Stoczni Gdańskiej — „Płyn przez morza i oceany”, do 600 godzin własnego programu (w tym ponad 300 artystycznego) w chwili wybudowania nowego centrum radiowo-telewizyjnego.

Prognozy, w tym także prognozy kultury, są nader niedoskonałym narzędziem programowania przyszłości, stanowiąc jedynie przedłużenie tendencji współcześnie zauważalnych w bliższą czy bardziej odległą przyszłość. Prognoza to jeszcze mniej niż program, ale nie mając prognozy nie można jednocześnie sterować wyobraźnią społeczną, a kierunek kształtowania tej wyobraźni powinien być taki, aby współbrzmiał z nadzrędną potrzebą spełniania się człowieka pełnego, a więc ideowego i moralnego.

Potrzeba ta wnikać z dialektycznej relacji pomiędzy czynnikami materialnymi i kulturowymi, tworzonymi i wytwarzanymi przez człowieka, który ma być substancją niepodzielną, społeczną i aktywną.

Realizowanie tej zasady uatrakcyjniło i na nowo zdefiniowało kryterium „opłacalności” kultury, co znajduje swój wyraz w podjętych już na ziemi gdańskiej działaniach, gdzie budowie nowych obiektów przemysłowych towarzyszy podjęcie prac nad budową i odbudową zaniedbanej bazy dla kultury. Najważniejsze jest teraz, aby materialna baza kultury nie podwyższała wskaźników statystyki, lecz aby służyła tym, którym służyć powinna — czyli ludziom.

Kultura gdańska — jaka jest? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Jan Bożychowski patrzy jednostronnie, przesadnie pomniejsza lub pomija twórcze wartości kultury powstałe na przestrzeni lat, takie jak rozwój twórczości w regionie: zawodowej (np. w teatrze, malarstwie, balecie), amatorskiej i ludowej, rozwój podkultur generacyjnych, kultury pracy, wykształcenia i wypoczynku oraz struktur sprzyjających integracji. Całą strefę przeobrażeń świadomości ludzkiej i dynamikę przeobrażeń kulturowych gdańskiego regionu zurbanizowanego.

Do tematów tych wkrótce powrócimy na łamach „Liter”, rozpatrując działania kulturalne w szerokiej perspektywie rozwoju gospodarczego i społecznego Wybrzeża.

EKSLIBRIS PORTRETOWY W ZBIORACH BIBLIOTEKI GDAŃSKIEJ PAN

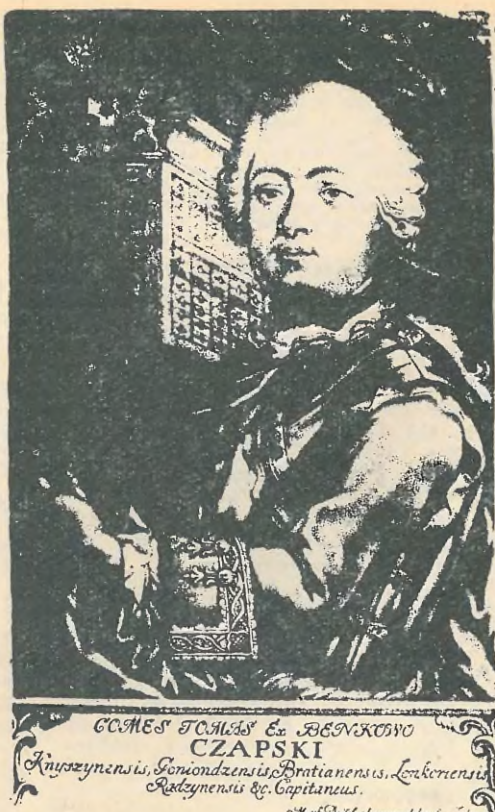
Najwcześniejszy znany ekslibris — w postaci jasnoniebieskiej fajansowej tabliczki — pochodzi z Egiptu, z biblioteki faraona Amenhotepa III (1400 lat p.n.e.). W Europie ekslibris znany był już w XIII wieku, a w XVI dotarł do Polski. W XVII wieku pojawia się w Polsce ekslibris z wizerunkiem właściciela książek. W końcu XVIII i na początku XIX wieku powstają pierwsze kolekcje. Z początkiem XX wieku intensywniej, niż w stuleciach wcześniejszych, rozwija się moda na ekslibris portretowy. Obejmuje on nie tylko portret właściciela książek, lecz często osoby szczególnie mu bliskiej. W przeciwieństwie do portretu w grafice dużych form, ekslibris portretowy przybiera coraz inne, ciekawsze cechy. Staje się często ciekawym studium psychologicznym, dziełem, na które składa się umiejętność artysty i osobowość właściciela.

Biblioteka Gdańska Polskiej Akademii Nauk posiada jedną z większych w Polsce kolekcji ekslibrisów. Zbiór liczy ok. 11 000 jednostek. Interesującą całość stanowią ekslibrisy heraldyczne patrzyjusz gdańskich oraz trzy znaki biblioteki z XV—XVIII wieku. Do tej grupy należą także liczne znaki donacyjnej księgozbioru ofiarowanego przez partykulusza gdańskiego, Gottlieba Engelke, bibliotece szkolnej.

Ekslibris portretowy w kolekcji Biblioteki Gdańskiej jest reprezentowany przez wiele interesujących rycin badających dziełami artystów różnych narodowości. Cześć z nich znalazła się na wystawie otwartej w dniu 1 lutego br. w hallu biblioteki. Wystawa będzie czynna do maja tego roku. Oto kilka uwag o eksponowanych tam obiektach.

Spśród ekslibrisów polskich najstarszym znakiem portretowym jest ekslibris Tomasza Czapskiego, wykonany w delikatnym stylu rokoka przez gdańskiego artystę Mateusza Deischa. Jest to jeden z najwspanialszych ekslibrisów w skali europejskiej. Starosta Tomasz Czapski herbu Leliwa (1711—1784) był bibliofilem i znawcą sztuki. Ekslibris, który na jego polecenie wykonał

Ryt. Mateusz Deisch. Akwatinta XVIII wiek.



gdański artysta, charakteryzuje oryginalność ujęcia tematu.

Inne eksponaty polskiego ekslibrisu portretowego pochodzą z XX wieku. Okres secesji, przypadający na przełom XIX i XX wieku, nie jest tu w ogóle reprezentowany. Natomiast z lat międzywojennych zachowało się wiele rycin o dużej wartości artystycznej.

W kolekcji biblioteki znajduje się kilka portretów wykonanych przez Adama Póttawskiego. Artysta, drukarz i grafik, twórca polskiej czcionki drukarskiej, tzw. antyki polskiej, autor wielokrotnie nagradzanych ekslibrisów, talent swój poświęcił sztuce związanej z książką. Na uwagę zasługuje ekslibris Karola Slenkerta, utrzymany w tonacji kolorystycznej brązu, z portretem uskrzydłonej, nagiej Nike z czarną maseczką na oczach. Drugi tego samego rylca, to ekslibris Książnicy Miejskiej im. M. Kopernika w Toruniu z portretem sławnego astronoma.

Stanisław Jakubowski, zaprzyniony w sztuce ludową, czerpie tematy do swych prac graficznych ze świata prasłowiańskiej mitologii. Ekslibris własny z portretem postaci mitologicznej reprezentuje dojrzały, jasno sprecyzowany styl twórczości.

Ekslibris tragicznie zmarłego w powstaniu warszawskim Tadeusza Cieślewskiego syna przedstawia znak książkowy Zygmunta Kordiasza z głową Madonny. Artysta tworzył swe piękne ekslibrisy posługując się techniką drzeworytu, formalnie nawiązując do drzeworytu ilustracyjnego z XIX wieku.

Ekslibris Michała Walickiego, wykonany techniką barwnej litografii, ukazuje portret stylizowany na wzór głów apostołów z gotyckiego ołtarza Wita Stwosza.

Zwraca na siebie uwagę rów-

nież ekslibris Ignacego Józefa Paderewskiego, drzeworyt wykonany przez Stanisława Zgajńskiego.

Warto jeszcze wspomnieć o licznych ekslibrisach portretowych rytu Alfreda Birkenmajera, w których artysta ukazuje fantastyczne, nico śmieszne, karykatu-ralne głowy lub wykonane tą samą techniką portrety pełne skupienia i powagi.

Niebanalny w ujęciu jest portret Mikołaja Kopernika na ekslibrisie E. P. (Edmunda Puzdrowskiego), wykonany przez Ryszarda Stryja. Artysta posługuje się techniką cynkorytu w połączeniu z tintą.

Wyjątkowo bogatą kolekcję typów i technik artystycznych ukazują liczne ekslibrisy portretowe estońskiego grafika Ewalda Okasa. Okas jest przedstawicielem realizmu. Ekslibrisy jego obejmują całą kolekcję portretów własnych, rodziny, przyjaciół. Modele potraktowane często z ironią, satyrą, ukazują różne śmieszności charakteru, co jest zresztą naturalną cechą ekslibrisu portretowego.

Grafikę czechosłowacka reprezentują doskonałe w kompozycji i wykonaniu ekslibrisy rytu Wojciecha Cinybulka, znanego w Polsce z sukcesów odniesionych na Międzynarodowym Biennale Ekslibrisu w Malborku, a za granicą z uczestnictwem w wielu wystawach. Portrety jego rylca charakteryzuje szeroki wachlarz technik wykonania i wyjątkowa elegancja.

Zupełnie inny styl ukazują znaki książkowe wykonane techniką akwaforty przez czeskiego artystę Stibora Stastnego. Stastny traktuje swoje modele jak figurki z bajek, jest bardzo jednolity w swoim stylu. Wydaje się że grozi mu szablonowość.

Głęboką indywidualnością i realizmem trącącym nutką pesy-

Ryt. Tadeusz Cieślewski-Syn. Drzeworyt.



mizmu odznaczają się portreciki ekslibrisowe wykonane przez węgierskiego grafika Antala Fery.

Ekslibrisy niemieckich artystów reprezentują szczególnie różnorodny styl. Nie wszystkie jednak posiadają większą wartość artystyczną. Wiele ekslibrisów pochodzących z okresu secesji, wykonanych techniką cynkografii — to produkty odznaczające się taną dekoracyjnością formy, przeładowane symboliką, płytkie w treści. Bardzo wysoką wartość artystyczną prezentuje ekslibris portretowy Henri Ainrichasona z Lipska, rylca Maxa Klingera. Ta ciekawa akwaforta, to całe studium psychologiczne mężczyzny w średnim wieku, pełnego nieprzecietnej energii i wyrazu. Klinger jako artysta jest wysoko oceniany na arenie międzynarodowej, a słowniki biograficzne artystów poświęcają jego twórczości wiele miejsca. Ekslibris został wykonany w 1900 roku.

Warto wspomnieć o drzeworycie holenderskiego artysty J. Battermana, odbiegającym od realizmu, ciekawym w kolorystyce i na wskroś współczesnym w ujęciu.

Sztukę południowoeuropejską reprezentują ekslibrisy hiszpańskiego artysty Julia Fernandez Saez oraz Włocha Tranquilla Maragoni.

Grafika współczesna przedstawia obraz niezwykle skomplikowany. W wielu krajach tradycje realizmu są nadal żywe. Rozwija się w dalszym ciągu nurt postimpresjonistycznego koloryzmu, prymitywizmu i wielu innych form przekazu artystycznego.

W grafice małych form, którą reprezentuje ekslibris, wszystkie te nurty znajdują swoje odbicie. Jednakże w dziedzinie ekslibrisu portretowego nadal przeważa realizm.

MKL

MIESIĘCZNIK KULTURALNY „LITERY“

L I T E R A T U R A

Wokół marynistyki toczą się nie od dziś spory. Z drugiej strony, również nie od dziś, obserwuje się duże zainteresowanie czytelników literaturą tym mianem określaną. Ostatnio Wydawnictwo Morskie wydało antologię polskiej noweli morskiej „Głosy morza”, opracowaną przez Jerzego Mazurczyka. Z tej okazji redakcja „Liter” przeprowadziła rozmowę z doc. dr hab. Janem T u c z y ń s k i m, gdańskim naukowcem podejmującym m.in. te problemy, autorem pracy „Marynistyka”, mającej się ukazać na wiosnę nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

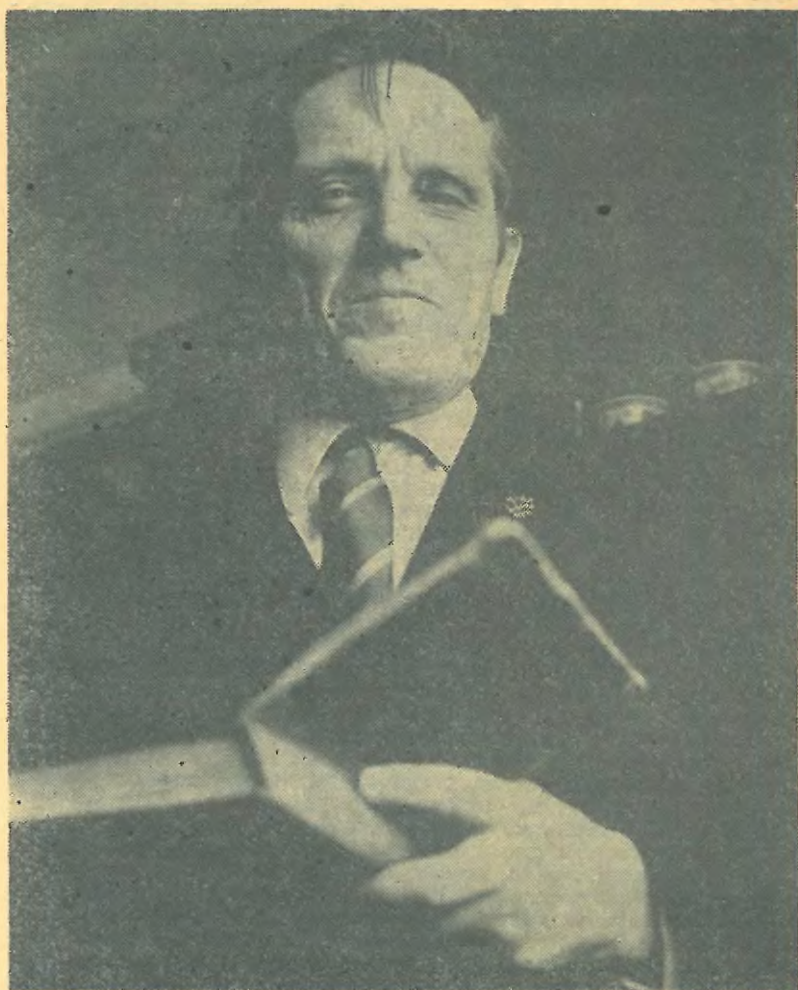
— Może antologia „Głosy morza” będzie punktem wyjścia dla naszej rozmowy. Dokonany przez autora wybór jest przecież jakąś wizją marynistyki...

— Jest to szósta antologia tego typu. Pierwszą było Pniewskiego „Morze i Pomorze w pieśni”, wydane w 1931 roku. W 1937 roku Jasiński wydał swoją antologię „Morze w poezji”. Każda z nich przedstawia swój własny odrębny model. Pniewskiego — odzwierciedla historyczny, pomorsko-bałtycki nurt, dla którego znamienne jest nazwisko Żeromskiego i jego podejście do spraw morza. Jasińskiego — dokumentuje zwrot ku nurtowi uniwersalnemu, umownie mówiąc „conradowskiemu”.

Po wojnie Janusz Stępowski wydał „Morze” — wybór poezji i prozy. Antologia ta, wydana tuż po wojnie, spełniała swe zadanie. Dokonana według modelu batalistycznego, przedstawia walkę o polskie wybrzeże — zarówno w sensie dosłownym, czynu wojennego, jak i o odbudowę portów.

W 1960 roku Eugenia Kochanowska wydaje świetną antologię „Księga morza”. Niestety, tylko powieloną, na prawach rękopisu. Można ją taktować jako syntezę wszystkich poprzednich. Jej układ oparty jest na systemie gatunkowym, a to już jest nowość. Tym bardziej godna odnotowania, że w istocie marynistyka zaczyna dobijać się do odrębnego gatunku. Tym bardziej szkoda, że antologia ta nie została wydana.

Antologia Leszka Proroka „Poeci i morze” mniej zajmuje się tradycjami nurtu narodowego. Jej autor kładzie nacisk na marynistykę reprezentującą sztukę dla sztuki.



GŁOS O MARYNISTYCE

Antologię opracowaną przez Kotarskiego możemy w tych rozważaniach pominąć, ponieważ grupuje ona teksty staropolskie.

Każda z tych antologii odzwierciedla pewien etap kształtowania się świadomości marynistycznej.

Tytuł obecnej antologii (wydanej w 1973 roku!) jest nawrotem do animistycznych tendencji. Ta metafora jest archaiczna i zupełnie nie przystaje do tendencji rozwojowych marynistyki współczesnej. Animistyczna personifikacja była typowa dla marynistyki okresu niewoli, czy międzywojennego. Kojarzy się bezpośrednio z hasłem „człowiek w służbie morza”, z czym znowu autor tak stanowczo rozprawia się we wstępie. Po drugie ten symbol animistyczny nic nie mówi o zawartości antologii i nie jest hasłem charakteryzującym jej ideowy profil. Ten wstęp jest w ogóle wprost unikalnym przykładem nieodpowiedzialności, dyktantyzmu i zarazem arbitralności sądu.

„Nie jesteśmy «narodem morskim», tak jak to chcieliby widzieć entuzjaści spod opaczego i przebrzmiałego znaku «naród w służbie morza». Nie jesteśmy «narodem morskim», bo morze zawsze będzie

tylko jakąś czątką życia kraju, a nie wyznacznikiem historii i wszelkich poczynañ”.

„...obecność w świadomości społecznej — jest podstawą wyróżnienia marynistyki jako nurtu w literaturze, nurtu określonego wyłącznie przez temat, żadne bowiem inne wyróżniki (np. formalne) nie mają tu zastosowania”.

Cytatów takich można by przytoczyć wiele. W dalszej części tego wstępu mamy do czynienia z mieszaniną: historii, psychologii, socjologii, historii literatury, estetyki, teorii literatury... Za to brak określenia modelu antologii, opisu typologii gatunków nowelistycznych, które są przedmiotem wyboru antologicznego.

Autor pisze, że kryterium artystyczne było dla niego zasadnicze. „Prawda artystyczna narzuciła taki, a nie inny obraz Polaka w

kontakcie z morzem". Kryterium tak niedookreślone jak „prawda artystyczna” tłumaczy widać tak dowolny i przypadkowy wybór, z jakim mamy tu do czynienia.

— Antologie tego typu ukazują się dość rzadko. Tym bardziej dla wielu czytelników, którzy po tę książkę sięgną, ten wybór — firmowany przez Wydawnictwo Morskie, a więc w pewnym sensie specjalistyczne — będzie reprezentatywny. To jakby oficjalne „kanonizowanie” pisarza na marynistę. W „Głosach morza” znalazło się wiele tekstów słabych, wiele niepotrzebnych, niektóre skandaliczne, jak „Synygi” Stanisława Broszkiewicza, gdzie możemy przeczytać: „A łódź to ta niebieska kreseczka rozedrgana w powietrzu jak batuta w palcach skacowanego dyrygenta”. A nie jest to jeszcze cytaty najcenniejszy z tych, które by mogły zilustrować stosowane przez wydawnictwo kryteria artystyczne. Wydaje się jednak, że gorszym złem jest niezastępowane pominięcie autorów.

— Wybór jest zupełnie dowolny i przypadkowy. Zabrakło w nim Rychlińskiego, Centkiewicza, Strumph Wojtkiewicza, M. Zydlera, Schabowskiego, Bądkowskiego, A. Necla, Fenikowskiego, B. Dzimicza, Fleszarowej-Muskat i innych pisarzy współczesnych, a poza tym noweli Tadeusza Micińskiego „Nad Bałtykiem”. W antologii zatarto profil historyczny i marynarski, a uwypuklono literackość, marynistykę papierową.

W tym wyborze i układzie tekstów antologia nie daje żadnego obrazu rozwoju marynistyki, ani też nie odzwierciedla jej istotnych wartości ideowych i artystycznych. Przeciwnie, jakby celowo zatarte jest to wszystko albo utopione w chaotycznej mieszance tekstów różnogatunkowych, o niezmiernym zróżnicowaniu artystycznym. Zniknęło tu zupełnie narodowe, specyficzne piętno marynistyki polskiej, jej nowe drogi rozwoju ideowego i artystycznego. Zdepresjonowano prozę marynarską na rzecz li tylko znaczących w literaturze nazwisk, takich jak: Kuncewiczowa, Iwaszkiewicz, Szaniawski, Nałkowska, Parandowski, A. Rudnicki, Jastrun, Różewicz. Tymczasem dziś mamy cały zastęp pisarzy marynistów, którzy piszą tylko w tematyce morskiej i wielu pisarzy, którzy co najmniej kilka dzieł napisali dla marynistyki — ci winni mieć pierwszeństwo. Bo chodzi o samorodną prozę marynarską, a nie o przeżuwanie konwencji i literackości z piętnem kosmopolityzmu.

— Panie docencie, czy uważa Pan, że dokonania współczesnej nam polskiej literatury podejmującej temat morski, są na tyle znaczące, że można mówić o „marynistyce”? Czy termin ten ma swoją naukową wagę, czy też w istocie jest tylko „hasłem wywoławczym”?

— W marynistyce polskiej możemy wyróżnić dwa modele: uniwersalny i narodowy. Ten pierwszy — to wzorzec conradowski. Typowym przykładem nurtu narodowego, twórczości rdzennie polskiej jest Borchardt. W wypadku jego książki „Znaczący Kapitan” możemy mówić o pewnym gatunku, którego cechą charakterystyczną jest monolog kapitański. Na odrębność tego gatunku składa się zarówno strona językowa, stylistyczna, jak i ideowa.

Kluczem do rozwiązania problemu gatunków marynistycznych jest uzasadnienie osobowości człowieka morza i określenie sposobów jego literackiej motywacji. A jest on ukształtowany warunkami swojej pracy — na statku w środowisku zamkniętym, dynamicznym, na morzu zmieniającym osobowość człowieka. Materiały zebrane przez Instytut Medycyny Morskiej, Instytut Psychologii Zawodów Marynarskich potwierdzają tezę, że praca na statku morskim stwarza specyficzne warunki, zmieniające nie tylko stronę somatyczną człowieka, lecz również jego osobowość. Mówi się tu głównie o wyłączeniu z rodziny, z życia towarzyskiego. Ale sięgnąłbym głębiej: do wpływu wizji oceanu, przestrzeni i czasu. Człowiek wychowany i żyjący w mieście-maszynie, którego staje się częścią, nie może nie doznać wstrząsu w obliczu ogromu i pierwotności oceanu. To są doświadczenia, o których warto pamiętać, a których nie można zbanalizować, bo oddziaływują przeżnię na wyobraźnię człowieka.

— Mamy literaturę o morzu, gdzie jest ono nie tylko tłem, ale i punktem odniesienia. W tej literaturze morze nie tylko wymaga odwagi i umiejętności przystosowania do surowych warunków, ale i bezkompromisowej moralności. Stwarza system wartości. Karol Borchardt powiedział: (wywiad w „Literach” 1970, nr 7): „Niebezpieczeństwo na morzu jest najlepszym czynnikiem wychowawczym. Morze kształtuje osobowość ludzi — i robi to bezbłędnie, bo na morzu nie ma kary i nagrody, są tylko konsekwencje”. Przykładowo chciałabym wskazać książkę norweskiego pisarza Johana Bojera „Ostatni Wiking”. Oczywiście motyw moralności bezkompromisowej i jej konieczności odnajdziemy w twórczości Stanisława Salińskiego... Czy jednak współcześnie tworzona literatura polska o morzu podejmuje te problemy? Książka Czesława Adamowicza o znanym tytule „Morze sprzyja odważnym” powstała na podstawie dziennika prowadzonego przez autora w czasie wojny.

— Na polską marynistykę w dużym stopniu oddziałał Conrad i tradycje romantyczne. One w zasadniczej mierze ukształtowały wizję morza, okrętu, marynarza. Stąd nasz narodowy model marynistyki ma odniesienie do najwyższych wartości kulturowych. Odnosi się to w tym samym stopniu do twórczości najnowszej.

Marynarz polski, to nie jest człowiek jadący tylko po zarobek, czy przygody. Spełnia służbę szczególnego znaczenia, wypełnia swój obowiązek wobec ideałów. Historia wychowania morskiego i cała



Fot. Zbigniew Kosycarz

nasza marynistyka, od Żeromskiego począwszy, zmierza w kierunku przekształcenia osobowości lądowej na morską, wykształcenia marynarza polskiego jako człowieka o wysokich wartościach moralnych. Wzorcem klasycznym może tu być kapitan Stankiewicz, bohater książki Borcharda „Znaczący Kapitan”, osobowość kreowana i wywiedziona z sienkiewiczowskiej tradycji rycerza bez skazy. Możemy obserwować, jak kresowa epika Sienkiewicza przesuwa się swoimi koncepcjami i wzorcami na marynistykę. Marynistyka bowiem nie jest oderwana od naszej kultury — stanowi z nią organiczną jedność, spójnię i ciągłość.

Kreacje rycerzy morza, można odnaleźć już u Rychlińskiego, u Fiedlera w „Dziękuję ci, kapitanie”, u Romanowskiego w „Torpedzie w celu”. Jest to cała galeria postaci reprezentujących wartości moralne, patriotyzm, honor rycerski, znakomite znanstwo swego zawodu. Wspomnienia marynarzy, to cała literatura rozległa i cenna, nie tylko ze względów dokumentarnych. Ukazuje ona kształtowanie się cech marynarza polskiego, który zadziwił świat swoim heroizmem i postawą. W literaturze tej mamy jednocześnie do czynienia ze świadomą kreacją osobowości. Oto kapitan (marynarz), znawca zawodu, budowniczy Polski na morzu i obrońca tego morza. Człowiek ten opowiada historię, której jest zarazem bohaterem i twórcą. Reprezentatywna dla tego nurtu książka „Znaczący Kapitan” jest wielkim dziełem i można ją oceniać także jako podręcznik wiedzy o polskich statkach i marynarzach, o pracy, obowiązkach i godności zawodu marynarza. To jest specyficzny gatunek, który się zrodził na gruncie marynistyki polskiej. Oto nowy nurt, gdzie nastąpiła idealna symbioza tego, co uniwersalne i tego, co narodowe.

— Panie docencie, ten wzorzec rozbiła Lech Bądkowski w „Wesoło w tropikach”. Bohaterem tej książki (która zresztą wywołała protesty środowiska marynarskiego) jakże daleko do legendarnego już kapitana Stankiewicza.

— Ta twórczość rozwinęła się w sporze o marynistykę, o dwa jej modele. Pierwszy, który nazwijmy „rozwojowym” reprezentowany przez Miazgowskiego, Rychlińskiego dążył do aktualizacji naszych tradycji, do zrozumienia i uwzględnienia nowych procesów i ich skutków: mechanizacji, automatyzacji... Drugi nurt, reprezentowany przez marynistów szczecińskich, upominał się o tzw. demitologizację marynistyki. Uważali oni, że to rozbrajanie mitów jest sprawą konieczną.

Doszli na początku sporu do tego, że morze stało się stawem, a okręt tramwajem.

Stąd propozycje powieściowe Bądkowskiego, Szumańskiej, Fleszarowej. Później ta polaryzacja prądów uległa złagodzeniu. Stąd pod koniec lat sześćdziesiątych te dwa nurty zaczęły się do siebie zbliżać, jak dwa konary wychodzące z jednego pnia. Dyskusja ta była bardzo celowa, była świadectwem poszukiwania morskiej prawdy utworu. Oczywiście, niektórzy z tych pisarzy operowali materiałem niekompletnym, wrywkowym. Trzeba też pamiętać o tym, że powieści te miały charakter polemiczny.

— Wspominał Pan o gatunku. Czy w istocie istnieją tu wyróżniki formalne? Jakże są cechy charakterystyczne „monologu kapitańskiego”, czy „gawędy marynarskiej”?

— Niewątpliwie możemy tu posługiwać się tymi nazwami. Rozpatrując genezę problemu trzeba cofnąć się do okresu międzywojennego. Wtedy już pewne głosy domagały się marynistyki odzwierciedlającej psychologię marynarzy, autentyczne przeżycie morza i realia pracy. Ten nurt był produktem dojrzenia świadomości marynistycznej na gruncie rozwoju bazy gospodarki morskiej. O taką literaturę wołali marynarze, których przybywało.

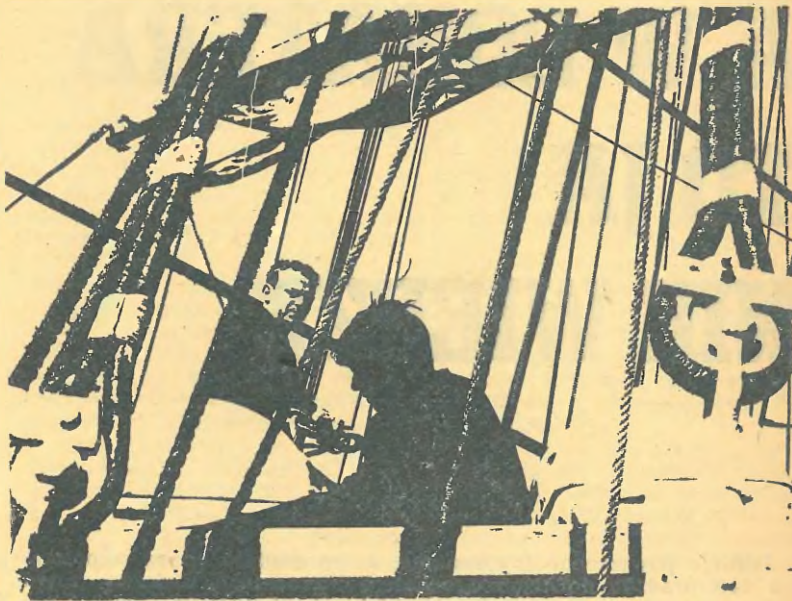
Tendencje te ścierały się z marynistyką papierową, plażową. To była walka z literackością marynistyki, z jej odległą od życia konwencjonalnością. Melville w „Moby Dicku” stworzył postać człowieka żyjącego z morzem na poufale-intymnej stopie, jak rolnik z ziemią. U Conrada ten model jest rozdwojony: romantyczny i pozytywistyczny. Pamiętajmy o realiach: jako pisarz i marynarz był rozdarty między żaglowcem (który uważał za ideał okrętu), a parowcem (za którym przemawiały względy praktyczne). Wszelako Conrad przewycięża te sprzeczności, jeśli przyjmuje „sailor's mentality” w modelu osobowości marynarskiej: „Ten, który kocha morze, kocha także rutynę na statkach”.

Jednak ten conradowski model jest już dziś niewystarczający. Niektórzy humaniści uważają, że jest on sztucznym konstruktem i że dziś w ogóle nie ma sensu mówić o człowieku morza. Jest jakoby tylko kapitan-administrator i jego pomocnicy. A przecież zmiany konstrukcji statku i różnice statusu zawodowego (które rzeczywiście mają miejsce), należą raczej do różnicy stopnia, nie zasady. Zasady teorii okrętu przetrwały tysiąclecia. Niezmienna pozostaje również przestrzeń oceanu. I te czynniki oddziaływają na osobowość marynarza, na wyobraźnię i wizję literacką — hermetyczny mikrokosmos okrętu, to nie fabryka.

Dlatego właśnie proza marynarska jest najbardziej uwrażliwiona na te czynniki środowiskowe. U nas długo oceniano marynistykę według kryterium tematycznego. Rychliński w esej „Treść morską” pisał, że nie temat, ale treść jest wyróżnikiem marynistyki. Przyjmijmy, że „treść” nie jest tożsama z „tematem” — chodzi o sposób ujęcia. Przyjmijmy też, że „temat” jest najogólniejszym, dokładnie określonym układem treściowych elementów dzieła literackiego. Temat ma przecież w marynistyce szczególne znaczenie, ponieważ angażuje ogromnie aktualną problematykę społeczną, zawodową, organizuje język i styl wypowiedzi, spełnia wielorakie funkcje strukturalne. Nie chcę tu zatrzymywać się dłużej nad problemami, które rozpatruję w mojej książce („Marynistyka”), tutaj chcę tylko zwrócić uwagę na problem odbiorcy dzieła.

Otóż w utworze, który określiłem jako monolog kapitański, czy gawędę marynarską odbiorca nie jest niewiadomą, przeciwnie istnieje on wewnątrz dzieła i jako założony odbiorca tego dzieła. Stąd utwór marynistyczny jest informacją skierowaną do tego właśnie czytelnika, a zarazem jest sterowany przez wyobrażenia odbiorców

o wymogach tego gatunku. Przykładem Borchardt, Romanowski, Wasilewski, Cieszewicz i inni. Zatrzymajmy się jeszcze na problemie narracji. Bohater-autor (Borchardt), który jest jednocześnie kapitanem żeglugi wielkiej, przeszedł przez wszystkie stopnie morską wtajemniczenia. A więc „morska prawda” utworu jest w oczach czytelnika poświadczona autobiografią narratora.



Fot. Stanisław Ossowski

Również język, obrazowanie tych utworów, wywiedzione są ze środowiska pracy. Przykładem Romanowskiego „Torpeda w celu”, gdzie urywane, krótkie zdania-sygnały oddają zautomatyzowane warunki pracy na okręcie podwodnym, gdzie — zwłaszcza w akcji bojowej — o życiu decyduje precyzja komunikatu, sprawność rozkazu, czy meldunku.

A powieść rybacka — powstała tak nagle, jak zawód i cały specyficzny świat, który rozwijał się pod koniec lat pięćdziesiątych. Nasze tradycje literackie są tu bardzo skromne. Necel, to jest inna kategoria. Możemy tu rozpatrywać twórczość Znamierowskiego, Jarosławskiego, ale dopiero Jerzy Pachlowski i Lesław Furmaga („Rzeźba bez brzegu”) pozwalają nam mówić o cechach gatunkowych. Szczególnie Furmaga: jego powieść proponuje całokształtowy model gatunku, którego istota polega na jednorodności języka, stylu, psychologii postaci i kompozycji — ukonstytuowanych i ukształtowanych przez środowisko pracy na ługotrawlerze.

Nasza marynistyka dąży do samookreślenia. Stwarza własne rozwiązania ideowe i artystyczne. Świadczy to o jej rozwoju — i dużych możliwościach.

Rozmawiała Ewa Moskalówna

KOCIEWSKA SZTUKA LUDOWA

Region Kociewia należy do najmniej zbadanych w zakresie kultury materialnej i duchowej. O ile Kaszubami czy Dolnym Powiślem interesowało się wielu badaczy, etnografów i lingwistów, to Kociewie traktowano nieco po macoszemu.

W połowie ubiegłego wieku częstokroć badania tego regionu przeprowadzali m. in. F. Ceynowa, St. Kujot, R. Frydrychowicz, J. Łęgowski, a w początkach naszego wieku K. Nitsch, F. Lorentz, zaś w latach międzywojennych B. Stelmachowski i B. Sychta. Mimo to do dzisiaj nie mamy pełnej monografii tego niewątpliwie ciekawego od strony etnograficznej i lingwistycz-

nej regionu. Po wojnie penetrowali Kociewie m. in. W. Błaszowski i R. Kukier oraz W. Kirstein (pieśni ludowe). Do najciekawszych prac należy bez wątpienia monografia Wł. Łęgi „Okolice Świecia”, która obejmuje całość kultury ludowej południowego krańca Kociewia.

Od dawna czekaliśmy na pełne syntetyczne opracowanie sztuki ludowej tego regionu. Z tym większym zainteresowaniem przyjęliśmy pracę Longina Malickiego „Kociewska sztuka ludowa”. Autor, były kustosz Działu Etnograficznego Muzeum Pomorskiego w Gdańsku, oparł się na materiałach własnych, uzyskanych podczas wieloletnich penetracji terenowych, na wspomnianej pracy Wł. Łęgi oraz innych. W szerokim stopniu wykorzystał zbiory Działu Etnograficznego Muzeum Pomorskiego oraz kolekcjonowane w powiatach: starogardzkim, kościerskim, tczewskim i świeckim bogate zbiory sztuki ludowej.

„Sztuka ludowa Kociewia” jest pierwszą pracą ujmującą całość problematyki kociewskiej sztuki ludowej. Dr Longin Malicki przedstawił nam wszechstronny, choć nie

wyczerpujący obraz twórczości ludowej na Kociewiu. Trudnością tego typu przedsięwzięcie jest to, że współcześnie nastąpił prawie całkowity zanik tradycji kociewskiej sztuki ludowej. Stąd też jej wartości można śledzić na muzealnych okazach architektury, sprzętu domowego, rzeźby, malarstwa itp. Z tego też względu niektóre rozdziały książki, traktujące o strojach ludowych, zdobnictwie obrzędowym, rzeźbie czy hafcie ujmują zagadnienia bardzo ogólnie. Trzeba by dalszych systematycznych badań całego regionu, chociaż zadanie pełniejszego przedstawienia wszelkich przejawów kultury materialnej jest coraz trudniejsze, a może wręcz już niemożliwe. Wiele szczegółów związanych z twórczością ludową żyje tylko we wspomnieniach najstarszych ludzi i z trudem da się je zrekonstruować. Ponadto w rejonach sąsiednich z Powiślem, a przede wszystkim z Kaszubami, w wielu dziedzinach twórczości widać wpływ tych bardziej preżnych w tym zakresie regionów. Znalazło to odzwierciedlenie również w książce. Na szczególne podkreślenie zasługuje strona edytorska książki. Tu-

ta należy się słowa uznania wydawcy, czyli Muzeum Narodowemu w Gdańsku. Pióro i okładka ładna obwoluta, wysokiej klasy papier i co najważniejsze — streszczenia w językach: angielskim — Betty Przybylskiej, niemieckim — Marii Roppel, francuskim — Zofii Linowskiej i rosyjskim — Jerzego Godwoda podnoszą wydatnie wartość wydawnictwa. Praca zawiera ponadto 170 ilustracji, w tym 9 w kolorze, przedstawiających głównie architekturę, sprzęt domowy, wyroby garncarskie, plecionki, instrumenty muzyczne, wyroby z metalu, rekwizyty obrzędowe oraz rzeźby.

Otrzymałszy pozycję niezwykle cenna, pozwalająca zorientować się w najważniejszych aspektach ludowej twórczości artystycznej na Kociewiu.

TADEUSZ GLEINERT

*) Longin Malicki. Kociewska sztuka ludowa. Zespół Wydawniczy Gdańsk 1973, str. 115 + 62 ilustracje, cena 65 zł. Muzeum Narodowe w Gdańsku,

A W BOHATERA TO JA NIE WIERZE

Istnieje powszechne przekonanie, że to dopiero epoka współczesna doprowadziła do kryzysu bohatera literackiego. Ciekawy jestem, na czym opierają się ci, którzy twierdzą, że dawniej, tzn. przed drugą wojną światową, albo w początkowym XIX wieku, każdy czy prawie każdy czytelnik literatury miał swego bohatera. Sądy te nie są udowodnione! Ich głosiciele dowodzą swego najczęściej na tej podstawie, że przeczytali entuzjastyczne opinie krytyków literackich, którzy bądź sami zwierzali się z wpływu danej książki na ich wyobraźnię, uczucia, wolę itp., bądź relacjonowali entuzjastyczne przyjęcie książki przez anonimowego czytelnika.

Zapomina się jednak, że równocześnie w tym samym czasie ukazywały się recenzje złośliwe i bardzo złośliwe, dotyczące tych samych książek i ich bohaterów. (Porównaj na przykład echa, jakie wywołało „Ogniem i mieczem” — od apologii Tarnowskiego, poprzez umiarkowane recenzje Kraszewskiego i Jeża, do ataku ze strony Prusa). Czy rzeczywiście entuzjazm dla bohaterów Trylogii był wówczas kolosalny i statystycznie odpowiadał legendom tworzonej przez hagiografów? Z chwilą, gdy nie badano opinii czytelnika, który nie chciał lub nie mógł zabierać głosu, trudno uogólniać, jeśli się oczywiście nie chce popełnić błędu.

Cóż my rzeczywiście wiemy o wpływie naszej literatury romantycznej na odbiorcę (przeciętnego odbiorcę)? Że Stefan Żeromski przeczytał z emocją, a nawet egzaltacją Mickiewicza — to jest w świetle „Syzyfowych prac” i „Dzienników” pewne, ale nie mamy żadnej gwarancji, że sugestywne lekcje języka polskiego miały na prawdę miejsce w szkole kieleckiej i że Marcinków Borowiczów, zafascynowanych lekturą Mickiewicza, było aż tak wielu.

Przykładem, jak pisarze w szlachetnej zresztą intencji fałszują prawdę przyziemną i przypadkową, jest chyba Sienkiewiczowski „Latarnik”. Naprawdę Skawiński wzruszył się książką Kaczkowskiego „Murdello”, ale ponieważ spadkobiercy idei romantycznej miłości ojczyzny i tęsknoty za nią wydawało się, że jeśli można wzruszać się na obczyźnie, to tylko arcydziełem poetyckim, a nie zwyczajną powieścią, bezceremonialnie w hołdzie dla Mickiewicza zmienili fakty i... stało się.

Legenda, legenda, legenda! Kto na przykład w latach niewoli odwoływał się do „Kordiana” Słowackiego? Czy dramat ten rzeczywiście był znany polskiemu społeczeństwu? Jego prapremiera miała miejsce, z racji cenzury, dopiero w 1899 r. Ilu widzów przeczytało tajemnie książkę do momentu, kiedy stała się ona obowiązkową lekturą szkolną?

Wydaje mi się, że bohaterzy literaccy rosną dzięki mitom i dzięki okolicznościom. O naszej przeszłości historycznej czy kulturalnej nie tylko się uczymy, lecz w równym stopniu dowiadujemy się o niej za pośrednictwem wiedzy, którą określilibym jako wiedzę potoczną, ale podniesioną do potęgi, wszechobecna. Trudno sobie wyobrazić, aby któraś matka (jeśli nie matka, to babka, ojciec, przedszkole, telewizja, książka), nie opowiedziała dziecku bajki o Czerwonym Kapurku, o Kocie w butach, o Jasiu i Małgosi. Skutek: nie ma dziecka, które by tych bajek nie znało. Podobnie z pewnymi faktami historycznymi: 8-letnia dziewczynka śpiewa piosenki o Chrobrym, o Koperniku, o Kościuszcze, wie o Chopinie i Konopnickiej, o książkach Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy” i „Panu Wołodyjowie-

skim”, a wkrótce dowie się o Grunwaldzie i Matejce. Te nazwy i nazwiska urosną w jej wyobraźni, bo weszły w skład tradycji narodowej, bo stały się powszechnym, stereotypowym wzorcem albo nawet symbolem. Przecież — powiedzmy sobie szczerze — nasza wiedza o geniuszach i ich wiekopomnych dziełach, o faktach historycznych, o zdarzeniach z przeszłości, o królach i panach jest wiedzą powierzchowną, mityczną, bardzo ogólnikową. Sprowadza się mniej więcej do kilku dat, jakiegoś terminu naukowego czy banalnego zwrotu „Kopernik, astronom z XVI wieku, wybitny, polski uczony, mieszkał w Toruniu — pienniki toruńskie, odkrył, że ziemia obraca się dookoła słońca, a nie słońce wokół ziemi, ponadto namalował go Matejko na tle wieży fromborskiego zamku. Kościół długo nie chciał uznać teorii Kopernika. Jesteśmy dumni itd...”

Na tej samej zasadzie przyjmujemy bohaterów literackich, którzy weszli do powszechnego obiegu i stali się monetą naszych i powtórzonych myśli. A tak naprawdę, po cichutku, czytelnik albo nie ma swego bohatera, albo pieści w swej pamięci postacie, które wedle historyków literatury na pieczęcie nie zasługują, lecz stały mu się bliskie. Wstydy się ich jednak i o tym nikomu nie mówić.

Zresztą, jeżeli co roku ukazuje się kilkaset nowych tytułów powieści i opowiadań, to trudno wymagać, ażeby odbiorca beletrystyki myślał pod strychulec i wybierał tę samą dziesiątkę lub piętkę bohaterów. Czytelnice miłości ogarniają znacznie więcej postaci fikcyjnych, aniżeli przywykło się sądzić. Inaczej z krytykami, którzy powoli terroryzują opinię i po prostu każą nam wierzyć w cudze gusty.

Mówiliśmy dotychczas o okresach stabilizacji społecznej czy politycznej, ale pamiętajmy też, że wzorce potrzebne są w momentach napięć i decyzji, w chwilach, gdy wali się historia, gdy „dzieje się dzieje”. Bohaterów rewolucyjnych szukali rewolucyoniści, patriotów — Polacy podczas drugiej wojny światowej, apostołów szukają wszyscy ideowcy. Imię Stalina, wzniesione do legendy, odbiło się jakoś w świadomości tych, którzy ginęli w obronie Związku Radzieckiego, albo budowali zapory wodne nad Donem. Nie przeceniamy siły literatury. Władza ona sumieniami ludzkimi w sposób ograniczony, poza tym jest tak złożona, wielotytułowa, wielowątkowa, wielopostaciowa, że tylko program szkolny może dokonać jej integracji (uproszczonej i fałszywej) i tylko mit może uwznioślić i uowoczyć pewne postawy.

Judym od początku był postacią literacką nieudaną, denerwował już w roku 1900 pierwszych czytelników „Ludzi bezdomnych”, ale stał się uogólnieniem postaw obywatelskich i zyskał aprobatę jako ofiara obsesji społecznej. Chociaż skrzywdził Joasię, odniósł moralne zwycięstwo i wszedł do codziennego myślenia na bardzo długo (porównaj „Kongresy Judymów i Siłaczek”, organizowane w Gdańsku od kilku lat).

W dalszym ciągu polemiki z rutyną w myśleniu o bohaterze przekazuje kilka kolejnych spostrzeżeń. Pierwsze z nich zatytułowałbym **oczywistością twierdzeń**.

Na lekcjach polonistów chcąc nie chcąc podkreślają pewne cechy utworu, analizując pewne zagadnienia i pod tym względem z myślenia czynią stereotyp. Np. „Przedwiośnie”, to powieść inteligenta zatruwonego rewolucją, albo „Pan Tadeusz”, to obraz społeczeństwa szlacheckiego, które odchodzi z przeszłości, a „Matka”, to dowód ewolucji świadomości społecznej robotnika.

Identycznie z bohaterem literackim. Charakteryzując Zbyszka z Bogdańca powiemy, że jest młody, odważny i bezinteresowny; Kmicią, że krwawo zmazał popełnione winy, Szczukę z „Popiołu i diamentu” — że konsekwentnie wierzy swej racji i służy jej bez kompromisów. Jeśli młodzież wypełnia ankietę w odniesieniu do bohatera literackiego, chce czy nie chce, powtórzy oczywistości. A zatem jaka one będą miały wartość jako materiał do badań?

Po wtóre: z oczywistością twierdzeń łączy się **wyznania szlachetne bez pokrycia**. Mówi się, że powinniśmy „naśladować”, że „sa wzorem dla nas”, że „to dzięki nim”, że „pierwszy przykład”, ale to „że”, jest wyłącznie retoryczne. A zatem?

Po trzecie: **niepowtarzalność sytuacji**. Każdy z bohaterów jest indywidualnością określona w czasie i w przestrzeni, w środowisku i w związkach rodzinnych. Czy można więc te konkretne postacie powtarzać we własnym życiu?

Po czwarte: **modele pewnych postaw, wzorce**, np. wzorec Antygony, wzorec Konradów, wzorec Ostrowskich, wzorec Judymów. Znowu wątpliwości identyczne jak w punkcie trzecim, z tym że istnienie powtarzalności zbiorowa pewnych postaw. Np. w czasie II wojny odżyły postawy romantyczne. Innymi słowy czas, w których żyjemy, narzucają nam pewne postawy, a inne dyskredytują. Stąd ustawiczna tęsknota chłopców za postawą żołnierza, bohatera, gieroja, postawa, która dziś może wyładować się w... „Klubie Pancernych” lub poedywnkach na drewniane miecze.

Po piąte: **ideał to wyjątek, często przypadek** (mówimy o mimowolnym bohaterstwie). Życie większości z nas jest szare, niebohaterskie, pozbawione przypadków. Stąd pytanie, czy może w nim funkcjonować wzorec — model. Czy w ogóle da się kogoś naśladować? Prędzej „tęsknić za naśladowaniem” i tylko w tym aspekcie da się odczytywać wpływ literatury pięknej na odbiorcę.

Sumując nie woląmy naiwnie: „Dawniej to były bohaterzy, społeczeństwo ich kochało i naśladowało i nie miało kłopotów z publicystami żądającymi właśnie bohaterów”.

To dawniej wymaga ponownego przebadania i wniosku, gdyż słogany o przeszłości nie wystarczą.

Je sème à tout vent — rozsiewam wiedzę na skrzydłach wiatru — głosi emblemat z dziewczyną roznoszącą owoc dmuchawca na cztery strony świata. Ten znak firmowy zdobi każdą książkę paryskiego Larousse'a słynącego ze znakomitych encyklopedii, słowników, dzieł lingwistycznych, pedagogicznych. Ale ta specjalność nie wyklucza uniwersalizmu, którym legitymuje się to wydawnictwo. Od przeszło 120 lat uczy „wszystkiego wszystkich”, a robi to coraz atrakcyjniej i nowocześniej. Wszystkiego — bo prawie nie ma takiej dziedziny życia (z wyjątkiem współczesnej literatury pięknej), nauki czy techniki, której by Larousse w swej działalności edytorskiej nie popularyzował. Wszystkich — bo każdy może znaleźć wśród publikacji larusowskich coś odpowiedniego dla siebie pod względem tematyki, zainteresowań i ceny. Obok luksusowych wydawnictw typu albumowego, Larousse wydaje popularne książki kieszonkowe, tzw. livres de poche. W tekst, wzbogacony różnorodnymi formami typograficznymi, coraz śmielej wdziera się ikonografia traktowana nie tylko jako ozdoba, ale jako niezbędne uzupełnienie słowa pisanego. A słowo pisane staje się coraz celniejsze, bardziej zwarte, bardziej syntetyczne. Chodzi bowiem o to, by książka nie była „nudną piłą”, nad którą się zasypia, ale narzędziem, które jak gdyby wciąga czytelnika w wir wiedzy, budzi chęć jej pogłębienia.

Zanotujmy jako ciekawostkę, że obok wizualnych także słuchowe elementy zaczynają w działalności edytorskiej Larousse'a dochodzić do głosu. Wyrazem tego — „Słownik dźwiękowy” (Dictionnaire sonore), który odtwarza śpiew ptaków, głosy sławnych mówców, mężów stanu itp. Słownik ten, wydany przez Larousse'a w kooperacji z Pathé Marconim, obejmuje 40 płyt i 1000 dźwięcznych haseł.

Larousse wydaje książki w ok. 20 językach, ma filie w 30 krajach na wszystkich kontynentach, posiada własną drukarnię, własne

Kazimierz Tomaszewski

LAROUSSE

Składa się z 15 tys. pozycji — 700 map geograficznych, historycznych, ekonomicznych i innych, z 4000 rysunków, schematów, wykresów itp., z 10 000 zdjęć prawie wyłącznie kolorowych. „Wielka Encyklopedia” jest dziełem tysiąca autorów, nie licząc zespołu redakcyjnego wydawnictwa. Autorzy rekrutują się spośród najlepszych specjalistów nie tylko z Francji, ale i z całego świata. Wśród autorów jest kilku Polaków. Hasło — dossier Polska opracowali naukowcy polscy. Żadna dziedzina wiedzy nie jest pominięta, jednakże zastosowano selekcję pod kątem potrzeb współczesnego człowieka. Wyselekcjonowano 8 tys. haseł „wyjściowych”, powiązanych z 400 tysiącami problemów. W prezentacji materiałów zachowano układ alfabetyczny, ale wprowadzono kapitalną innowację, która umożliwiła podanie informacji w sposób pełny, kompleksowy, syntetyczny. Tą innowacją jest article — dossier, czyli hasło z dokumentacją. Innymi słowy article-dossier jest jak gdyby kompleksem zagadnień związanych z danym tematem, nazwą, nazwiskiem czy pojęciem. Oprócz ogólnego oświetlenia istoty rzeczy w danym hasle, mamy tu dokumentację uzupełniającą w formie szeregu artykułów, notatek, wykresów, plansz, zdjęć obrazujących różne aspekty zagadnienia. A wszystko to jest wyodrębnione i zróżnicowane typograficznie tak, że bez trudu i szybko można zorientować się w temacie i znaleźć to, czego się szuka. Na końcu każdego article-dossier są odnośniki do innych haseł oraz bibliografia międzynarodowa. W ten sposób hasło-dossier nie tylko doraźnie zaspokaja głód wiedzy, ale i daje możliwość jej pogłębienia przez wskazanie dodatkowych źródeł informacji. Co więcej — pobudza do refleksji, do samokształcenia, odgrywa rolę katalizatora, zaczyna fermentującego.

Zdając sobie sprawę z faktu, że wiedza szybko się starzeje, autorzy „Wielkiej Encyklopedii” nie ograniczyli się do przedstawienia jej stanu obecnego, ale wskazywali kierunki, w jakich zmierza ewolucja specjalistów, roztoczyli wizję świata jutra. W tomach, które się ukazały — a wyszło z druku już 26 tomów miesięcznych — można znaleźć ciekawe informacje, charakterystyki i opinie o wielkich



ROZSIEWAJĄCY WIEDZĘ

księgarnie, własny kolportaż. Rocznie zużywa ok. 6 ton papieru. Co czwarta książka trafia do czytelników za granicą. 75 proc. książek drukuje się systemem komputerowym.

120 lat temu założył to wydawnictwo syn kowala-kołodzieja, nauczyciel ludowy, Piotr Larousse.

Impuls do tego zamierzenia dał niski poziom ówczesnych podręczników oraz ówczesne metody nauczania, oparte niemal wyłącznie na pamięciowym wkuwaniu. Ale Larousse zrozumiął, że aby zmienić metody nauczania i podręczniki, trzeba jeszcze samemu uczyć się. Zapewniwszy sobie pomoc rodziców, zrezygnował z posady nauczyciela w miasteczku Toucy, pojechał do Paryża i tam wynajmując mansardę na V piętrze wytrwale dokształcał się, chodząc na bezpłatne kursy Sorbony i Collège de France, szperał po bibliotekach. A potem zaczął pisać podręczniki.

Własne wydawnictwo założył wraz ze swym kolegą po fachu, Augustynem Boyer. Oprócz podręczników, encyklopedii, słowników wydawano też wtedy czasopisma pt. „Szkoła normalna” i „Współzawodnictwo”. Warto wiedzieć, że Piotr Larousse był świetnym polemistą walczącym o obowiązkowe, bezpłatne nauczanie. Piotr Larousse przeszedł do historii jako wielki encyklopedysta, filozof, gramatyk, publicysta i literat.

Nie sposób wymienić wszystkich ważniejszych dzieł wydanych przez Larousse'a. Ograniczamy się więc do krótkiego omówienia niektórych nowości.

A więc najpierw parę słów o „Wielkiej Encyklopedii” (La grande Encyclopédie, Librairie Larousse, Paris 1971 — 1975). W świecie encyklopedycznym to dzieło zajmuje pozycję wyjątkową przede wszystkim dlatego, że w dobie obecnej, kiedy grozi nam zasklepienie się w wąskich specjalizacjach, autorom „Wielkiej Encyklopedii” udało się połączyć kulturę ogólną z wiedzą specjalistyczną udało się znaleźć klucz do właściwego wyselekcjonowania i nowoczesnego stylu przekazywania informacji, która z wszystkich stron nas dzisiaj zalewa.

Wielka Encyklopedia Larousse'a wydawana jest w dwóch wersjach: 60-tomowej, popularnej, miesięcznej oraz 20-tomowej, kwartalnej. Regularnie co miesiąc i co kwartał ukazują się na rynku kolejne tomy obydwoj edycji. Tomy miesięczne mają po 200 stron, kwartalne po 600. Całość obejmuje 12 500 stron formatu 23 × 30 cm. Materiał ikonograficzny w sumie zajmuje ok. 40 proc. powierzchni.

Polakach. O Koperniku, Szopenie, Marii Curie-Skłodowskiej i innych.

Gdy się bierze do ręki poszczególne tomy „Wielkiej Encyklopedii” i gdy się je wertuje i wgłębia w treść, ma się wrażenie, że to są dzieła sztuki, sztuki w wielu tego słowa znaczeniach. Ale w rzeczywistości nie jest to nic innego, jak nowoczesne narzędzie pracy, samokształcenia, doskonalenia zawodowego i ogólnego.

Inną nowością jest wydana w kolekcji „Odkryjmy Francję” (Découvrons la France) ciągła encyklopedia pt. „La France”. Jest to dzieło zbiorowe, opracowane pod redakcją Rogera Brunet, profesora Uniwersytetu w Reims, przy współpracy dwóch historyków, 40 geografów, 3 socjologów, 350 ankieterów, 14 redaktorów, 10 kartografów, 8 plastyków, 112 fotografów, 25 dokumentalistów.

Całość dzieła obejmuje 7 tomów (formatu 23 × 30 cm), z których każdy ma 320 stron. Wydaje się też „Francję” w 22 tomach. Jest to wersja miesięczna, bardziej popularna.

Dzieło to po kolei „odkrywa” wszystkie regiony Francji, ukazując jej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Tradycje, folklor, piękno krajobrazu, turystyka, styl życia, ewolucja i przyszłość ekonomiczna, modernizacja, problemy poszczególnych regionów — oto w telegraficznym skrócie osnowa tej „Francji”, która urzeka doskonałością formy plastyczno-graficznej i pasjonującą treścią. Oby i u nas poczęto naśladować ten styl „odkrywania” Polski!

Nowa kolekcja „Opanowanie świata” (Maîtrise du monde) wydana przez Larousse'a i Paris Match pod redakcją Raymonda Cartier, poświęcona jest morzu (2 tomy), ziemi (2 tomy) i kosmosowi (1 tom).

W pierwszym tomie tej trylogii, zatytułowanym „Człowiek i morze” (L'homme et la mer) dziennikarze Stéphane Groueff i Raymond Cartier w formie barwnych reportaży opartych o współpracę z naukowcami, przedstawili historię walk człowieka z morzem o wydarzenie mu jego tajemnic, od najdawniejszych do najnowszych czasów. Jest to fascynująca opowieść o ekspedycjach morskich — w niektórych z nich autorzy brali udział — o przedsięwzięciach już zrealizowanych i projektowanych, o nieprzebranych skarbach oceanów, o niewykorzystanych możliwościach, a także o... destruktywnej działalności człowieka wobec morza. Pierwszy tom książki „Człowiek i morze” (format 23 × 29 cm, 396 stron, przeszło 400 kolorowych

ilustracji) odpowiada na pytanie, co wiemy i czego nie wiemy o morzu. Tom drugi będzie mówił o roli morza w historii człowieka.

Toczą się rozmowy na temat przetłumaczenia tego dzieła na język polski.

Ostatnio ukazał się drugi tom poświęcony morzu. Tytuł tej książki brzmi: „Przygody marynarskie” (L'Aventure de la marine”, Jean-Pierre Cartier).

Jakże mało wiemy o sobie! A jaka gałąź nauki, jeśli nie biologia, bardziej bezpośrednio nas dotyczy. Nauka, która może zmienić lub zniszczyć kształt świata, doprowadzić do przemiany człowieka przez człowieka! Ten temat jest przedmiotem dwutomowego dzieła typu albumowego (23 x 30 cm, 384 strony), bogato ilustrowanego pt. „Człowiek” („L'homme”). Autorami tej książki są: Jean Rostand, członek Akademii Francuskiej, biolog i pisarz oraz dr Andrée Tétry, popularyzatorka nauk przyrodniczych. Tom pierwszy mówi o naszej ewolucji rozwojowej, o różnorodności ludzkiego gatunku, o narodzinach i cyklu życiowym człowieka. Treścią tomu drugiego są anomalie rozwojowe, genetyka, przeszczerpy, przeludnienie, przyszłość biologiczna człowieka, dylematy: człowiek i cywilizacji, biologia i prawo.

Ileż tu pasjonujących problemów, które człowiek będzie musiał rozwiązać! Wystarczy wymienić iście hamletowskie pytanie: selekcja naturalna czy świadoma? Czy będziemy przeszczepiać mózgi?

Nie sposób w krótkiej relacji przedstawić wszystkie aktualne i perspektywiczne zagadnienia moralne, obyczajowe, społeczne, prawne, a nawet polityczne problemy poruszone w tej encyklopedii o człowieku. Trzeba to dzieło przeczytać, może zajmie się jego przetłumaczeniem ktoś z naszych wydawnictw?

Wyszły już z druku trzy pierwsze tomy 6-tomowego „Wielkiego Larousse'a” języka francuskiego (Grand Larousse de la langue française), pod redakcją Louis Guilberta, René Lagane'a, Georges Nio-bey'a. Całość obejmuje ponad 70 tys. haseł, 5 tys. stron formatu 21 x 27 cm.

„Grand Larousse de la langue française”, to nie tylko kompletny słownik języka francuskiego, lecz również alfabetyczna encyklopedia gramatyki i lingwistyki oraz traktat leksykologiczny.

W dziedzinie literatury warto zasygnalizować nową kolekcję wydawniczą „tematy i teksty” (thèmes et textes), zaadresowaną głównie do uczniów wyższych klas licealnych i studentów. Ukazało się już 25 pozycji w formie książeczek kieszonkowych. Do nowości należą m. in. książki pt. „Balzac” (P. Barbéris), „Don Juan de Molière” (R. Horville), „Les Pensées de Pascal” (M. MR. le Guern). Z kolekcji „L” (Littérature), przeznaczonej dla profesorów i studentów, ukazały się m. in. takie pozycje, jak „L'Etranger d'Albert Camus” (Brian T. Fitch), „Introduction à la textologie” R. Laufer.

Z dzieł technicznych wypada choć wymienić 10-tomową „Międzynarodową Encyklopedię Nauki i Techniki” (Encyclopédie Internationale des Sciences et des Techniques), dzieło zbiorowe pod redakcją prof. Sorbony P. Auger i prof. Uniwersytetu w Zagrzebiu D. Grmex, obejmujące 80 dyscyplin, publikowane pod auspicjami Komitetu Propagowania Idei Naukowych i Praktycznego Stosowania Techniki. Przewodniczącym tego Komitetu jest prof. Andrzej Lichnerowicz z Akademii Nauk. W kolekcji „Życie czynne” (Vie active) Larousse wydał książkę „Samochód” (L'Auto), pióra D. Merlina. Książka ta zdobyła „Grand Prix” Automobilklubu Francji w roku 1972. Dużym powodzeniem cieszy się książka „Wszystko o fotografii” (Toute la photographie) R. Bouillot, wydana przez Larousse'a i wydawnictwo Paul Montel.

* * *

Nie tak dawno prasa zagraniczna i krajowa rozpisywała się na temat rewelacyjnych prognoz amerykańskiego Instytutu Hudsona, dotyczących niedalekiej przyszłości Francji. Za 8 lat Francja krocząca milowymi krokami do mocarstwa ekonomicznego, ma pod tym względem zająć razem z Japonią drugie miejsce po USA, dystansując NRF i Anglię. Niezależnie od tego, czy te oparte na dokładnych analizach i racjonalnych przesłankach prognozy (ogromny



wzrost wydajności pracy, stosowanie najnowszej techniki) są słuszne, jest rzeczą bezsporną, że rośnie wciąż prestiż i znaczenie Francji.

Jak wiadomo, nasza partia i rząd opowiadają się za zacieśnieniem współpracy i więzów z Francją. Czy jednak konsekwentnie i wyścążając szybko wciela się w życie podjęte uchwały? Trzeba sobie uświadomić, że jeśli są jeszcze opóźnienia w tej czy innej dziedzinie współpracy — a są na pewno — to przyczyny tkwią m. in. w zbyt małej wciąż jeszcze znajomości wśród naszego społeczeństwa języka francuskiego. Trzeba więc intensyfikować i rozszerzać nauczanie tego pięknego języka i w znacznie szerszej mierze ułatwiać korzystanie z takich źródeł wiedzy jak Larousse.

MORZE JAK KOSMICZNY ŻAGIEL

„I gdyby wszystkie żagle”) to już bodajże czwarty tom wierszy Zbigniewa Jankowskiego, który mam przyjemność zarekomendować czytelnikom. Przyjemność, a nie obowiązkiem, jako że nie będąc krytykiem status quo, mogę spośród różnorodnych propozycji wybierać te, które wydają mi się znaczące, albo przynajmniej odmienne w wszechogarniającym nas stereotypie i standardzie poezjowania. W tej osobowości samoswojej propozycji Jankowskiego znajduję możliwość omówienia tego tomu, który powinien być mi obcy z

tego chociażby względu, że obcy jest wyznawanej przeze mnie poetyce.

Zbigniew Jankowski staje się znaczącym w Polsce poetą-marynistą, lecz nie poetą antologię motywów morskich, najczęściej mających wiele wspólnego ze stereotypem wyobrażeń o morzu, a poetą świadomie traktującym morze jako jeden z żywiołów poddanych władzy ludzkiej i człowieczej wyobraźni, a rodzących nieznane ludziom lądu konflikty moralne. Postawa Jankowskiego, realizująca się w innym — to prawda, języku jest zbież-

na z postawą Saint-Exupéry'ego, który opanował dla naszej wyobraźni żywioł powietrza. Zresztą jest Jankowski chyba zafascynowany tą osobowością pilota-poety, pomimo iż w tomie jego wierszy nie ma żadnej personalistycznej wskazówki świadczącej o tym zafascynowaniu. Istnieje w nim natomiast wskazówki — metafory, jak ta chociażby, pierwsza z brzegu: „Morze jak kosmiczny żagiel”.

Morze Jankowskiego nie jest strefą azylu, strefą ucieczki od obowiązków — to przestrzeń, w której sprawdza się człowiek heroiczny, człowiek aktywny i świadomy tego, że „morze jest urealnioną metafizyką”.

Ten tom wierszy mógł napisać jedynie człowiek morza, nieważ-

ne jest tutaj to, że Jankowski był nim jedynie. Ważna jest odkrywcza siła poetyckich obrazów, którymi na nowo wprowadza Jankowski morze w obszar naszej wyobraźni. Wydaje się, że gdyby Jankowski pływał na liniowcach to obraz jego morza nie byłby tak sugestywny i przejmujący; dobrze, że jego morskim „ładem” były pokłady kutrów.

Zgłaszam najpoważniejszą kandydaturę do nagrody im. Mariusza Żaruskiego. Jest nią książka „I gdyby wszystkie żagle” Zbigniewa Jankowskiego. (E. P.)

*) Zbigniew Jankowski, I gdyby wszystkie żagle. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, s. 54, cena 10 zł.

OSTATNIE NAMASZCZENIE

Nie wiem nawet jak, a już wczesna szara godzina spadała na kuchnię i na izbę moją. Tak to w zamyśleniu bywa, że ci się godziny same na kłębek mawiną, a i ciebie razem w kłębek omotają i zatulą. Ledwie z zamyślenia tego ocknąm się, patrzę w głąb, ku izbie prawie ciemnej, patrzę w okienko kuchni, w którym tylko blask różowy przez szarówkę nieba prześwituje i koniec jesiennego zachodu znaczy, aż tu nagle krzyk wielki słyszę w sieni i łoskot jakiś. Auu, auu — krzyczy ktoś w sieni wielkim głosem, wielkim ale ciekim, Ula chyba krzyczy, zrywam się ze stołka, co się stało, lecę do drzwi, otwieram, w sieni ciemno i coś białego z drabiny na górę, na strych wiodącej zwala się na ziemię, koło nóg moich tarza się i auu, auu, krzyczy. Ula, wołam ze strachem, Ula, co tobie, ty spadłaś z drabinki, Ula — i do światła przy drzwiach próbuję trafić niepewną ręką i ani rusz nie trafiaam, a białe kłębi się na podłodze, krzycząc już przestało, tylko jęczy. — Ula, potlułaś się, co to było — gadam uspokajająco, ale bez tchu. Nareszcie do tego światła trafiaam i przekręcam kontakt, a tak ostro, że mnie szczypnęło, ręką targnęło aż do łokcia; bo tam nieraz coś tak targa, izolacja stara, a Klemuś nie ma czasu naprawić. No i jak się za bardzo śpieszysz, to zawsze cię targnie. Światło się przychylnie rozjaśnia i cisza naraz. I faktycznie. Ula siedzi na podłodze, ciężko oddycha, pęk bielizny przed nią porzucony, oko błędne wywalilo na mnie, patrzy, dyszy, milczy. — Uleńka, stało się co tobie, powiedz? — i próbuję podnieść Ulę, ale gdzie tam, za ciężką i nic nie pomaga. — Nie zламаłaś sobie czego, macam Ulę, za ręce ciągnę, po rękach klepię, pocieszam i choć słowo chcę z tej Uli wydobyć. — Jezus, Jezus — zajęczy wrzeszcze Ula i podnosi się, ale najpierw na czterech, na czworakach znaczy staje, a że gruba jest Ula, to i w tym wszystkim śmiać się chce człowiekowi, bo taka już durna ludzka natura, że z przypadku cudzego śmieje się, choć i nie chce, a jeszcze jak z grubym ten przypadek trafi się, to nie ma rady. Więc śmiech hamuję, rzucam się pomagać.

Podnosi się Ula wrzeszcze, oko zbierało ku górze, ku czarnej cześci strychu przewraca, Jezus, jęczy, pokazało się mnie, tam, tam pokazało się — i jak mnie nie ścisnie za szyję, prawie że dusi i znów krzyk podnosi. Siłą odrywam Ulę od mojej szyi, no no, uspokój się Ula, co ty, tam nic nie ma, mówię, czego ty, ale i mój głos nie za pewny, bo zawsze co strachu narobiła to narobiła. — Nie bój się, przecie ja tu jestem, chodź do kuchni. I prawie że siłą pcham Ulę za próg kucharki mojej, drzwi za sobą zamykam jedną ręką, a drugą zapalam światło i kuchnia z szarówki wyłania się wesoła i bezpieczna. — No siadaj — pcham Ulę na ławkę, a ona miękko leje się przez ręce, no, siadaj, już dobrze, patrz, tu spokój, cisza, o ciemku to tak nieraz coś człowiekowi przywidzi się, po co ty o ciemku na tę górę lażesz? — Po łachy — jęczy Ula, ale już ciszej, już nie tak dziko, już nosem pociąga normalnie. — Czekaj, zaraz tobie dam kieliszek wódki, jeszcze jakaś reszka stoi w butelce. Otwieram szafkę, nalewam Uli, nalewam i sobie, bo akurat na tyle starcza.

Ula kieliszek wychyla zgrabnym ruchem, bez wzdargania żadnego, a i oko już przytomne ma, tylko trzeba przyznać bardzo błada. — No widzisz, mówię, spokój, nic nie ma. I sama kieliszek mój wypijam i znowu tak jakby śmiać się mnie chce, więc na gwałt twarz poważną utrzymać staram się, bo te rzeczy same w sobie wcale śmieszne nie są, każdy może wystraszyć się, a już Ula specjalnie ma do straszków szczęście. Nie każdy widzi — jak to mówi Agnieszka. A Ula widać widzi, nie pierwszy raz krzyku narobiła, wierzyć nie wierzysz, poznać po niej, że jakieś przeżycie miała. Rozglądam się po kuchni, ot, widzisz Ula, Pujki nigdzie tu nie ma, pewnie na Pujkę na górę nastąpiła. Ula gwałtownie głową potrząsa, na drzwi niepewnie patrzy, a siedzi na tej ławce jak na wpół omdlała, tylko patrzeć, a spadnie. Ale głosem nad podziw mocnym zaprzecza. — Nie, to nie była Pujka. Gęby jakiejś ja dotknęłam, jak bieliznę zdejmowałam — i wstrząsa się Ula, twarz w ręce chowa. — Gęby? A może to belka nagrzana od słonuszka była? Albo jakie majtki na sznurze nylonowe? — Majka, nie — z mocą woła Ula i już w oku błysk ma swój, zwyczajny. — Gęba ludzka to była, o tak, blisko, jakby rękę wyciągnęła — i Ula pac mnie po twarzy, ilustrację złączą, jak to było. No, no, mówię, szkoda, że tej wódki więcej nie ma. Ale widzisz, kochana, ja tu siedzę tyle godzin sama, bywa, że i śpię sama w starym budynku, jak Leonkowie wyjadą, i nic. I cóżby tu raptem miało pokazywać się, nic tu nie ma. — A ta kobieta, co na białym dniu przez oborę do starego budynku szła? — przypomina Ula.

A prawda. Kobieta wysoka, całą na czarno, Ula na spozimku widziała. Brała z szafasu drewna, naraz obejrzała się czegoś, patrzy: idzie przez podwórce obca jakaś, jakby nic, przeszła, a Ula znów do swoich drewek obróciła się, aż ją nagle coś tknęło: kto to był? I rzuciła Ula drewna, na oborę wybiegła, popatrzyła w stronę starego budynku, a ta czarna wysoka prosto w dzwierzę wchodzi. Podleciała Ula bliżej, ale już w lęku dziwnym, przecie budynek zatchły, ciocia i wujek do miasta wyjechali. I fakt, drzwi na kłódkę były

zamknięte i jeszcze kamieniem przywalone, a przecie na własne oczy widziała, jak ta baba drzwi otworzyła i prosto do starego budynku weszła.

— Ale dzisiaj to nie była ta baba — szepce Ula. — To był chłop. Gęba taka szorstka, niegolona.

Milczymy chwilę. A ja już jakbym wiedziała, do czego Ula zmierzła. I dlatego właśnie nie daję się pociągnąć dalej w tę rozmowę.

— No dobrze — mówię — Jak było, tak było. Chodź, bieliznę w sieni pobieramy. — Jezus, ja mam strach — jęczy Ula. — Czego, przecie jestem z tobą, chcesz, to sama przyniosę. — Nie — chwytam mnie Ula za rękę. — Ja z tobą pójdę, razem.

Wychodzimy do sieni, światło pali się, zwyczajnie, spokoj. Ula za kłódkę drzwi otwartych trzyma, gotowa uciekać, a ja zbieram prześcieradła i śpiochy z podłogi. — No to co — mówię — pójdziesz sama do domu, czy odprowadzić ciebie? — Chodź ty ze mną, Majka — chwytam mnie Ula za rękę i ku górze popatruje, w czeluść strychu. No to idziemy.

Pod nowy budynek przez szarówkę jesienną doprowadzam Ulę z jej bielizną, a wieczór zapada cichy, bez wiatru, w łagodnym chłodku, prawie jak wiosną. — Nie pójdziesz do nas, Majka? — pyta Ula i wciąż ręką moją nie puszcza. — Wiesz co — teraz nie. Później przyjdę. — A nie boisz ty się, Majka? — Nie — mówię. Więc Ula jak wicher wskakuje w drzwi domu, Klemuś — woła na męża od progu i znika i już choć nie słyszę, to jakbym słyszała jej opowieść wielką od początku raz, drugi i trzeci wygłaszaną w gronie rodzinnym, pośród dzieci, Klemusia, Agnieszki i Trudzi.

Pomalutku wracam do starej chałupy. Czy tak naprawdę zupełnie nie boję się, to nie wiem. Ale raz, że ja nie z tych widzających, a dwa, że tak najwyżej przez pół Uli wierzę. A nade wszystko mnie ta gęba niegolona tknęła i strach wypiera, a złość wzbudza. Bo już tak dorozumiewam się, że Ula tatka naszego miała na myśli.

Dawno już Ula o tatku tych rzeczy nie opowiadała, ale przez ładnych parę lat po jego śmierci (a to już kilkanaście minęło przecie), co i rusz go widziała. I zawsze w strachu wielkim, zawsze szum narobiła. Pewnie, że zmarłego spotkać, to musi być dziwna sprawa, jeśli takie spotkanie może się przydarzyć, czego nie wiem. Ale bać się tatka? I czego? Że go słyszała, jak szurał nogami po izbie i pod oknami, jak szukał czegoś pod okapem dachu stromeego, gdzie szachy, znaczy wędki zawsze leża, że raz na strychu na łóżku siedział lub koło drewek pokazał się, za szopą? Mój Boże, toż to samo on robił za życia, dreptał, szurał, pod okapem swój skarb — cygarety chował i wciąż te drewna rąbał, bo nie mógł siedzieć bezczynnie, choć już mu było dobrze ponad osiemdziesiąt. Ale żeby przyszedł straszny kogo, i to jeszcze swoich, żeby o ciemku gębę komu podsuwał niegoloną? Nasz tatek?

Dużo dobrych wspomnień mam o tatku z Wygody, ale to jedno najwięcej lubię, więc i teraz, o płotek wsparta jesiennym wieczorem, przywodzę je — z rozmysłem, dla uspokojenia — zawsze świeże i piękne bardzo, jak tamten lipcowy dzień.

A dzień był ze słonuzkiem od samego rana, nie upalny, pamiętam, bo po deszczach przyszedł, na świat umyty, na Wygodę jeszcze tym deszczem pachnącą nastał ten lipcowy dzień. Spaliśmy jeszcze w starej chałupie my, przyjezdni, gdy naraz otworzyłam oko na donośny głos Agnieszki, a razem z tym głosem i obrazem srogiej Agnieszki w dzwierzach otwartych uderzyło mnie słońce rozlane po izbie.

— Wychodziła mnie wszyscy raus z budynku, bo ksiądz idzie do tatka z ostatnim sakramentem — zakrzyczała Agnieszka w moje drzwi, a potem w drugie i trzecie, gdzie spali inni. — Ale zaro!

A kiedy zaspani, w szlafrokach i piżamach, wylegliśmy do sieni, objaśniła nas krótko:

— Wieta wy, że tatek je głuchy. To jak on się bandze spowiadał, bandze ryczoł, a i ksiądz może do niego zarzyczeć. A słuchać tego nieładnie by było.

— Agnieszko, to już tak źle z tatkiem, że sprowadziłaś księdza?

— Tak znów źle to jeszcze nie je — rzekła Agnieszka. — Ale ksiądz jeden przyjechał dzisiaj do Wygody na wywczasy, to trzeba skorzystać, nasza parafia daleko. A tatek już długo nie pożyje, wa widzieli, co się z nim wyrabio.

Od pewnego czasu tatek nasz co i raz miał takie chwile pomieszania, że jakby nie wiedział, co robić, gdzie iść; to przysiadł, to wstawał, niby w podróż jaką zbierał się, cygarety swoje w gazetę pakując i gruby waciak na plecy naciągając. W tych chwilach mowa tatka też robiła się niewyraźna, bełkotliwa, choć tak to zawsze ładnie mówił. A i słabość wielką ogarnęła go raz i drugi, że nawet za dnia na łóżko powalił się; wczoraj też tak na niego naszło przed

wieczorem, nawet do wieczery nie wstał, może doktora sprowadzi-
my, Agnieszka, mówiliśmy. Ale tam, dochtora, na co tatku dochtora,
starość, to je ta cała jego chorość.

— No wychodziła, ale chutko, bo kśadz może już zaro iść —
i Agnieszka brzytwę namydloną rzuciła do miednicy w sieni i mied-
nicę na wieś wyniosła.

Posmutnieli, zbieraliśmy się pomalutku, aż tu nagle z izby Agni-
szynej krzyki wielkie dochodzić zaczynają, a nawet szamotanina.

— Koszula mnie czysto obleczie — wrzeszczy Agnieszka. — Ale
już.

— Jo nie chca tej koszuli — protestuje tatek głośno i wyraźnie. —
Cóż ty, głupio, śmiertelno koszula mnie dajesz?

— Kśadz zaro idze z ostatnim sakramentem, czujeta wy? Jakże
to, w tych starych lumpach kśędza wa przyjmietą?

— Jo nie chca kśędza. Jo ani myśla umierac — mocnym głosem
woła tatek.

— Marija, Jozef, tatku, toż jo wam umierac nie każa, tylko wa
do spowiedzi świętej przystąpta w czystym obleczeniu, jak sę na-
leży. Kiedy wa byli ostatni raz u spowiedzi? No? Kiedy?

Zatrute strzały Agnieszki musiały poskutkować, bo tatek umilkł,
coś już tylko mrucał. Gdy wychodziliśmy gromadnie przez sieni
na wieś już jedynie słabe, protestujące postękiwanie goniło nas aż
na obore. Raz jeszcze tatek zawrzasnął: — Gromnicy nie pal! —
potem ucichło wszystko.

Oparliśmy się na skraju wiśniowego sadku, w trawce wilgotnej,
pod drzewkami ocieżyłymi od owocu jeszcze zielonego. Już dziś tak
dobrze nie pamiętam, kto tam był z naszych, ale na pewno Tomasz
był i Alina, ci dwoje byli, i jeszcze chyba Wiesław i Dorota w kwie-
cystym szlafroku, i młody Lis, który zaraz otworzył angielską po-
wieść, a nie były to czasy, w których byle młodziak angielskie po-
wieści czytywał, o, nie, wręcz przeciwnie, powiedziałabym. Stoimy
sobie tak, rozziwiani, w tych szlafrokach swoich i piżamach, nie-
spokojni jednak i w niepewności dużej, jak to właściwie jest z tym

tatkiem naszym, stoimy pod słonuzkiem już grzejącym miłe, w
ręczym powiewie, co ciągnie od połyskującej zatoki i bunt w nas
powoli wzbiiera. — Ja bym jednak uważał, że trzeba sprowadzić
doktora — oświadcza Tomasz i papierosami częstuje. Zapalmy.

I niepewność coraz większa, bo rzeczywiście, jakże tak zostawić
tatką na łaskę opatrności wątpliwej? — Po prostu nikt nie ma od-
wagi przeciwstawić się sile zobobonu — tak jakoś orzeka młody Lis
znad angielskiej powieści. — Nie zobobonu, a obyczaju — pykając
fajkę odpowie Wiesław. — I to nie jest kwestia odwagi, młody
człowieku. — Jak tylko ta ceremonia się skończy, idę do leśnego

telefonować po lekarza — odgraża się Alina. — Masz rację, idzie-
my razem. Tak sobie rozprawiając mądrze stoimy pod wisienkami
w negliżu porannym, aż tu naraz dzyń, dzyń, dzwoneczek zadzwo-
nił i to blisko zupełnie. Patrzymy — Agnieszka w czystej bluzce i w
bukсах lepszych przed sień wybiega, a stęgną od wrót wiodącą
wstępują dwa kłopy: Marynczyn Wojtek i Julczyn Reniek, Wojtek
dzwoneczkiem pobraćkuje, głośno i ważnie, a z tyłu niespiesznie,
fioletem, stuły świecać ksiądz idzie, młodziutki ksiądz, za to kroczy

uroczyście bardzo. Przystanął na chwilę ksiądz przed budynkiem,
popatrzył na Agnieszkę, Agnieszka przyklekła na kamieniach, a te-
raz ksiądz żdziebko odwrócił się i w naszą stronę ukosem ku wi-
sienkom spogląda. I my wszyscy w szlafrokach naszych i piżamach,
papierosy śpiesznie i wstydliwie rzucając, wszyscy jak jeden — nie-
wierzący, agnostycy i sceptycy — buch na kolana w trawkę wil-
gotną. A Marynczyn Wojtek dzwoni co sił. Ksiądz głowę pochylił
niziułko, żeby nią w belkę nad sienią nie buchnąć i wszedł, za nim
Agnieszka, a Wojtek jeszcze raz zadzwonił ostro, wesolo i odeszli
z Refekiem skromnie do wórt, przy wrotach przystanął, dzwonek
sobie wyrwywają, w nosach dębują.

Wstajemy z kolan, otrzepując nogawki piżam zmoczone, niby nic,
niby to za nowym papierosem rozglądając się, wisienki macając na
gałęzi, może gdzie jaka dojrzała. Ale żadna rozmowa między nami
jakoś nie nawiązuje się, młody Lis tylko coś mruczy, rozrzuconą
powieść angielską z trawki wyluskuje. Ciszą, pszczoły brzęczą w
mleczach i ostróżkach, które w chwastach fioletem błyskają jak ta
księża stuła. No tak.

I gdy tak sobie między drzewkami spacerujemy, ale każdy jakoś
osobno, niby myślami zajęci swoimi, już ksiądz wychodzi z chału-
py z Agnieszką, dziarskim teraz i młodzieńczym krokiem szybko
idzie ksiądz, a Agnieszka za wrota, go odprowadza. Jak tak, to i my
wracamy, ale też osobno, ktoś tam jeszcze na Kąt poszedł, ktoś do
kładki. Wracam ja do izby mojej, pokręciłam się i idę do kuchni
wodę nastawić, a i do tatka zajrzeć, jak mu tam po tych ostatnich
sakramentach. A tu patrzcie — kto do kuchni wkracza? Nasz tatek.
Wygolony czystułko jak nigdy, gładziutki, zaraz młodszy, włosy
jeszcze wilgotne, ulizane, ale w koszuli tej samej co wczoraj i w
bukсах swoich roboczych i w butach wielkich, gumowych, w któ-
rych wprost tonie jego drobna osoba.

— To wy wstaliście, tatku? — wołam zdumiona bardzo. Tatek
uśmiecha się, choć pewnie nie słyszy i na wszelki wypadek kiwa
głową. — Tatku, nie wolno wstawać, przecież chorzy jesteście! —
krzyczę mu w ucho. A tatek kręci znów głową, że nie, namyśla się
chwilę, cały w zmarszczkach tego namysłu i podnosi na mnie oczy
dobrotliwe i chytre zarazem. — Wczoraj jo był żdziebko lichy — po-
wiada. — Ale dzisiaj jo jezdem mocny.

I do kąta tatek kieruje się, gdzie toporek stoi, toporzysko cięż-
kie, i sekata dłonią tatek rękojeść zrecznie ujmuję, tak że jedność
już stanowią drewnianą, i toporek lekko pod pachę wsadziwszy
szur-szur — na wieś szura.

A gdy południowe słońko prosto stało nad Wygodą i żarem paliło,
po tamtej stronie zatoki młodziutki ksiądz w kąpielowych spodni-
kach sztywno jak drut wyciągnięty na pomoście w ciszy opalał się,
a po tej stronie zatoki, za szopą, w stuk-huku wielkim tatek
karce klimował i rąbał, czasem tylko na chwilę dłuższą przestając
i oczy od słońca ręką ochroniwszy, na drugą stronę, tam gdzie na-
gość bielila się na pomoście, pilnie popatrując.

Na drugi miesiąc tatek zmarł.

(Fragment przygotowanej do druku powieści)

EUGENIA KOBYLIŃSKA- MASIEJEWSKA

26 lutego zmarła w
Gdańsku Eugenia Kobyl-
ńska-Masiejewska.

Autorka popularnych
książek urodziła się w 1894
roku w Wilnie. Debiuto-
wała w 1929 roku powie-
ścią „Utopiona lalka —
erotyk nadmorski”. Naste-
pnie — do wybuchu woj-
ny — wydała: „Druskien-
niki” (wiersze), „Błękitne
piłki” (wiersze), „Jesienna
miłość” (wiersze), „W cie-
niu modrzewia” (wiersze),
„Kłopoty pani Niuski”
(powieść), „Świat w szko-
le” (pamiętnik), „Złote
schody” (powieść), „Opo-
wieści świątkowe” (wier-
sze), „Pamiętnik nauczy-
cielki” (pamiętnik), „Nie-
spodzianki małżeństwa”
(powieść), „Moja matka”
(wiersze), „Rysiek z Bel-
montu” (powieść), „Szare
kamienie śpiewają” (wier-
sze), „Wielki tydzień” (po-
wieść).

W 1938 roku otrzymała
Srebrny Wawrzyn Polskiej
Akademii Literatury. W
rok później Srebrny Krzyż
Zasługi za pracę w szkol-
nictwie.

Po wojnie wydała: „Jak
i b odkryła Nowy Ład”
(powieść), „Mama i Dzi-
dzia” (bajka), „Bursztyno-
we piosenki” (wiersze),
„Córki chcą inaczej” (po-
wieść), „Kłopoty z praba-
bką” (powieść). Jej powie-
ści dla młodzieży (i o
niej), zwłaszcza „Córki
chcą inaczej” i „Kłopoty
z prababką”, poruszające
problemy wychowania,
zmian w obyczajowości,
konfliktu pokoleń były
kilkakrotnie wznawiane i
zyskały sobie ogromną po-
czytność.

Eugenia Kobylńska-Ma-
siejewska związała się tuż
po wyzwoleniu z gdańskim
środowiskiem literackim.
Po wojnie odznaczona zo-
stała Złotym Krzyżem Za-
sługi. Przyznano jej też
honorowe odznaki: „Za
Zasługi dla Gdańska” i
„Zasłużonym Ziemi Gdań-
skiej”. (EHM)

Teatr „Miniatura” nagrodzony

W III Telewizyjnym Fe-
stiwalu Widowisk Lalko-
wych, który trwał od 28
grudnia 1973 r. do 5 stycz-
nia br. pierwszą nagrodę
jury, za najlepszy spek-
takl, Festiwalu, otrzymała
gdańska „Miniatura” za
„Iłię Muromacz” W. Kur-
dumowa. (res)

Wspomnienia Tucholan

Borowiackie Towarzy-
stwo Kultury w Tucholi
ogłosiło, wspólnie z PDK
w Tucholi, konkurs na
„Wspomnienia Tucholan”.
Nagrodzone prace mają
się ukazać w okoliczno-
ściowym wydawnictwie.
Bliższe informacje w Po-
wiatowym Domu Kultury
w Tucholi. (RES)

Współpraca teatrów

Teatr im. W. Horzycy w
Toruniu utrzymuje od lat
bliskie stosunki z Jicho-
ceskim Stowami w Bu-
dziejowicach. Toruński
scenograf, Antoni Tośa,
przygotowuje w Budziej-
owicach scenografię do
„Peryklesa” Szekspira.
(res)

Wizyta rektorów

Z wizytą w Toruniu
przebywali reprezentanci
Amerykańskiego Towar-
zystwa Stanowych Uni-
wersytetów i Uczelni Wyż-
szych (AASCU): Paul Best,
profesor Wydziału nauk
politycznych, stanowej
wyższej uczelni południo-
wego Connecticut; Lee
Dreyfus, rektor uniwersy-
tetu Wisconsin Stevens
Point; Samuel D. Marble,
rektor stanowej wyższej
uczelni Saginow Valley
Michigan; Charles B. Wil-
lard, rektor wyższej szko-
ły Rhode Island i Gregory
Wolfe, rektor stanowego
uniwersytetu Portland-
-Oregon. (res)

Konkurs na powieść

lub tom opowiadań o te-
matyce związanej z regio-
nem Pomorza Szczecińskie-
go ogłoszono, dla upamięt-
nienia trzydziestolecia Pol-
ski Ludowej, w Szczecinie.
Termin nadsyłania prac do
30 września 1974 r. Regu-
lamin konkursu otrzyma-
ć można w Szczecińskim To-
warzystwie Kultury, Szczę-
cin, Zamek. (res)

Sprawą, która bodaj najbardziej zdumiewa licznych komentatorów pisma „Playboy” jest jednak nie osobiwa, wypracowana przez to pismo definicja „chłopca”, ani też nie szczególna koncepcja seksu jako towaru konsumpcyjnego, służącego zabawie, ale stosunek „Playboya” do kultury.

Wyraz „kultura” można tu oczywiście — a nawet trzeba, rozpatrując tak skomplikowane, dwuznaczne, a przy tym bardzo znaczące zjawisko, jakim w cywilizacji współczesnej jest „Playboy” — rozumieć w sposób dość rożnorodny. Przede wszystkim więc można go rozumieć w sposób bardzo szeroki, jako pewien model życia, proponowanego przez Hefnera i jego pismo i wówczas owa „kultura Playboya” — niczym archeologiczne kultury brązu, naczyń glinianych lub kamienia łupanego — przeplatać się będzie z innymi, egzystującymi wokół niej kulturami, stanowiąc to, co w niezbyt przesadzonych definicjach dziennikarskich określane jest jako „imperium Hefnera”. W skład tego imperium, obok drukowanych corocznie stu milionów egzemplarzy pisma (nie licząc trzech edycji zagranicznych i afiliowanych z „Playboyem” wydawnictw nieperiodycznych wchodzi 17 klubów „Playboya”, pięć hoteli, cztery kasyna, wytwórnia filmowa i wytwórnia płyt, nie licząc prywatnych posiadłości Hefnera, złożonych z jego domów, willi i samolotu odrzutowego.

Jest to sieć instytucji, których nadrzędną ideą jest nie tylko propagowanie — co dokonuje się głównie za pośrednictwem pisma — ale także realizowanie określonego modelu życia, a raczej modelu użycia. Tu znowu jednak, co trzeba sobie powiedzieć dość wyraźnie, owa sieć rozrywek, których dostarczają kluby hotele „Playboya”, jest bardzo odległa od najskromniejszych nawet wyobrażeń o przybytkach rozpusty. Są to raczej miejsca relaksu i odpoczynku, nawiązujące do tradycji starożytnych „gimnazjów”, gdzie można odpoczywać, jeść, zażywać ćwiczeń fizycznych, wszystko to — jak podkreśla Hefner — bez mieszania się z tłumem, który uosabia dlań zagrożenie współczesnej cywilizacji. O ile zwłaszcza hotele „Playboya” są „gimnazjami”, o tyle kluby, obsługiwane przez słynne „bunnies” — „Króliczki” są, jak ktoś słusznie zauważył, realizacją czegoś w rodzaju „Disneylandu” dla dorosłych.

Tendencją do tworzenia wydzielonych, a przy tym kompletnych zespołów, mających realizować możliwie wszystkie potrzeby człowieka w myśl jednej, określonej z góry koncepcji, wydaje się być ideą drażącą od dość już dawna cywilizację amerykańską. Być może kołaczę się w tym — zaszczerpiona tej protestanczkiej w swoich korzeniach społeczności — idea raju, wydzielonego ogrodu, gdzie szczęśliwość wyczera z każdego krzewu, a wszystkie tęsknoty znajdują natychmiastowe zaspokojenie, być może również jest to naturalna tendencja wielkich fortun, że dąży do wydzielania się z otoczenia i tworzenia czegoś w rodzaju państwa w państwie. Być może wreszcie wypowiada się w tym, tak silnie atakowany zwłaszcza przez obecnych kontestatorów, represyjny charakter z pozoru liberalnego współczesnego społeczeństwa kapitalistycznego. Tak czy owak faktem jest jednak, że już modelowy kapitalista amerykański, Henry Ford, rozbudowawszy swoją fabrykę samochodów, zamarzył, aby robotnicy jego fabryki nie tylko jeździli samochodami Forda, ale także mieszkali w osiedlach Forda, zaopatrywali się w sklepach Forda i korzystali z urządzeń rekreacyjnych, dostarczonych im przez Forda. Walt Disney, w momencie, kiedy jego sukces sięgnął szczytu, postanowił powtórzyć to samo, chociaż na nieco inny sposób. Jego Disneyland, kraina, w której bohaterką i królową jest Myszka Miki, jest największym na świecie miejscem dziecięcej zabawy, gdzie, w założeniu przynajmniej, znaleźć ma się wszystko, co wywołać ma dziecięce szczęście i

radość a co równocześnie uformowane jest wyłącznie przez Disneya. Podobną ambicją zdaje się być ożywiany także „Playboy”, przy czym ów związek „Playboylandu” z „Disneylandem” jest znacznie bliższy, niż można sądzić na pierwszy rzut oka.

Aby się o tym przekonać wystarczy przyjrzeć się symbolice, zawartej w postaci „Króliczka” — dziewczyny będącej hostessą w klubie „Playboya”. Jest to, oczywiście, piękność, ubrana w kusy kostiumik, eksponujący biust i pośladki, a surowy regulamin „Króliczków” przewiduje, że jeśli któraś z tych części ciała zaczyna ujawniać braki, „Króliczek” rozstać się musi ze swoją posadą. Równocześnie jednak dziewczyna ta, będąca ucieleśnieniem „zabawki erotycznej”,



K.T. TOEPLITZ

KULTURA PLAYBOYA

przybrana jest w infantylne rekwizyty — królicze uszy na głowie i króliczy ogonek na siedzeniu. Pokolenie bywalców klubów „Playboya”, wychowane w Disneylandzie, znajduje tu znaną symbolikę animalistyczną, wyobrażenia dokonane musi minimalnego wysiłku, przenosząc się do obrazu Mickey Mouse na postaci Hefnerowskich „bunnies”. Znow więc łatwość akceptacji, skrzętne usuwanie progów, mogących dzielić świat cnót akceptowanych od z pozoru dwuznacznego świata „Playboya”, wydaje się tu regułą przestrzeganą bardzo surowo.

„Króliczki”, zatrudnione w klubach „Playboya”, obowiązują ścisły regulamin, do którego należy również stanowczy zakaz wszelkich zbliżeń z klientami. Atmosfera ma tu być wesoła, ale sterylna moralnie, tak, aby do klubu „Playboya” mógł wejść każdy A-

merykanin i każdy szacowny businessman bez obawy, że ktokolwiek pomówi go o rozwiązłość. Cały przy tym regulamin „bunnies” — dokument całkowicie kuriozalny — sformułowany jest w infantylnym języku, gdzie nakazem moralnym, którego należy przestrzegać, jest „niesplamienie ogonka” — tak jak w innych instytucjach mówi się o „niesplamieniu munduru”.

Prasa światowa w roku 1973 kolportowała dość szeroko aferę trzech „bunnies” z jednego z klubów „Playboya”, które, niesłusznie ich zdaniem, wydalone z pracy z powodu przekroczenia limitu wieku protestowały, że ani nie „splamiły ogonków”, ani też ich biusty nie straciły jędrności, a na udach nie pojawiły się fałdy tłuszczu. Przy okazji rozżalone „bunnies” odsłoniły nieco kulis ich codziennej, ciężkiej pracy. Okazało się więc, że zajęcie „Króliczka” jest bardzo słabo płatne, obejmuje kilkanaście godzin na dobę, a w dodatku regulowane jest przez rygorystyczny system punktacji, gdzie osiągnięcie kilku punktów karnych (za spóźnienie, niedokładność stroju, brak uśmiechu itp.) powoduje znaczne kary finansowe. Tak więc imperium rozrywki i relaksu jawi się tutaj jako normalna, oparta na wyjątkowo surowej dyscyplinie firma kapitalistyczna, profitująca na eksploatacji swoich pracowników. Jednakże — jak twierdziła jedna ze zbuntowanych „bunnies” w wywiadzie dla „Paris Match” — legenda klubów „Playboya” jest tak ugruntowana, a przekonanie, że stąd właśnie wiodą drogi do kariery „cover girl” lub gwiazdy filmowej tak silne, że na miejsce każdej zwolnionej z pracy lub zbuntowanej dziewczyny Hefner liczyć może na setki następnych.

Nasuwa się pytanie, czy cała ta niewiarygodna „kultura Playboya” nie jest przypadkiem u samych swych źródeł realizacją dość w końcu infantylnego marzenia erotycznego dorosłego chłopca? Wiele przesłanek wskazuje na to, że tak jest w istocie. Trzeba bowiem pamiętać, że społeczeństwo amerykańskie, przez długie lata — w gruncie rzeczy od początków anglosaskiego osadnictwa na nowym kontynencie — wychowane w duchu kwakerskiej pruderii jest społeczeństwem, w którym sny erotyczne należały do wyjątkowo wstydliwych, a wykroczenia przeciwko przyjętym regułom moralnym przemieniały się wyjątkowo szybko, znacznie szybciej niż w krajach Europy, w ponure i desperackie zbrodnie, gwałtowne i okrutne eksplozje występku seksualnego. Powszechna natomiast, przeciętna etyka seksualna Ameryki wywalała się spod ciśnienia konwencji bardzo powoli. Hefner więc raz jeszcze ułamał w powszechny sen swojej klienteli, którego symbolem jest dziewczyna o wielkim biuście i aerodynamicznych kształtach, ale równocześnie przybrana w króliczy ogonek, niczym niewinna zabawka z dzieciennego pokoju lub z Disneylandu właśnie.

Potwierdzeniem infantylnego w istocie charakteru owego świata pokus erotycznych, czy też quasi-erotycznych, którego dostarcza „Playboy”, będzie także dokładniejsze przestudiowanie działu dowcipów towarzyskich, albo dowcipów rysunkowych drukowanych w tym piśmie. Są to żarty w większości żenująco naiwne. John Dempsey, jeden z czołowych rysowników „Playboya”, w wydany przez firmę albumie rysunkowym większość miejsca poświęca takim tematom, jak np. noc poślubna, wizyty wytwornych dam u lekarzy, plaże nudystów, zbiorowe „sex-parties” lub niezwykle rozmiary biustów. W rubryce dowcipów, nadsyłanych przez czytelników, przeważają idee sztubackie, zmierzające najkrótszą drogą do nie zawsze wyszukanej pointy. Infantylizm splata się tu z dość niskim progiem pikanterii.



II

Tym bardziej więc zastanawiającym jest, że to samo pismo wprawia w podziw swoich komentatorów tym, co uchodzi za najbardziej wyszukany i nieoczekiwany pomysł Hefnera, a mianowicie faktem, że obok świata reklam, „bunnies” i płaskich żartów na tematy seksualne, na łamach „Playboya” egzystuje podawany z szacunkiem autentyczny świat kultury i wielkich idei współczesności. Jest bowiem faktem, że nie ma wielkiego, liczącego się w cywilizacji zachodniej nazwiska z kręgu kultury, literatury, filozofii a nawet ekonomii, które by nie pojawiło się na łamach „Playboya”, bądź to poprzez teksty, bądź też dzięki obszernym, obejmującym nieraz kilkanaście stron wywiadam. Drukowali więc tu lub rozmawiali z „Playboyem” zarówno Jean-Paul Sartre, jak Ke-

nneth Galbraith, pastor Martin Luther King i przywódca żydowskich ekstremistów Meir Kahane, Tennessee Williams i Joe Frazier, słynny mistrz bokszerski wszechwag. „Playboy” stał się dzięki tym rozmowom, a także dzięki drukowanym na łamach pisma esejom, trybuną dla pisarzy, reformatorów społecznych, naukowców, znakomitości ze wszystkich dziedzin. Stał się w sposób najbardziej nieoczekiwany trybuną kultury w węższym znaczeniu tego słowa, a więc światła wartości umysłowych i artystycznych, właściwych naszej epoce.

Nie sposób oczywiście na tym miejscu analizować tych materiałów, opracowanych solidnie, obiektywnie, zajmująco. Należy jednak zadać sobie pytanie, w jaki sposób i po co pismo to pokusiło się o tak nieoczekiwany i niecodzienny model?

Odpowiedź na pierwszą część tego pytania jest stosunkowo łatwa. Niewątpliwie środkiem, dzięki któremu udało się „Playboyowi” zapewnić sobie tak szacowne grono współpracowników, są ogromne zasoby finan-

sowe tego pisma, które założone przed dwudziestoma laty, w roku 1954 z kapitałem 10 000 dolarów (z czego 600 dolarów stanowiło majątek osobisty Hefnera) oceniane jest dzisiaj na 200 milionów dolarów. Drugim czynnikiem, sprzyjającym temu sukcesowi, wydaje się pewien głębszy, bardziej zasadniczy proces, zachodzący w wielu, zwłaszcza związanych z literaturą i piśmiennictwem środowiskach intelektualnych. Otóż ludzie tych środowisk, nawet wybitni i otoczeni sławą, zdają się jednak odczuwać coś w rodzaju wyobcowania, zwłaszcza w obliczu gwałtownej ofensywy kultury typu „pop”, kultury środków masowego przekazu, nastawionych na rynek młodzieżowy. W sytuacji, kiedy gwiazdami pierwszej wielkości stają się piosenkarze i zespoły „big-beatowe”, kiedy szczytów sięga popularność prezenterów telewizyjnych i kiedy, co ważniejsze, ludzie ci zamują się nie tylko bawieniem publiczności, ale także — na przykład przez teksty piosenkarskie — starają się kształtować świat pojęć, postaw

moralnych i przeżyć poetyckich wielomilionowej młodzieżowej widowni, sytuacja pisarza zaczyna być sytuacją chwiejną, a w umyśle jego rodzi się myśl o odrzuceniu i degradacji. Stąd zwłaszcza dla tych, dla których rola przywódcza nie jest sprawą obojętną, jak np. dla Satre'a, oferta ze strony „Playboya” może się wydać całkiem kuszącą. Jest to, jak sądzę, w odczuciu wielu ludzi kultury, cierpiących na odosobnienie i zamknięcie w coraz węższym kręgu profesjonalistów, rodzaj zaproszenia do świata szerokiego, nowoczesnego, dynamicznego i zabarwionego na młodzieżowo. Jest to więc pokusa, której trudno się oprzeć.

Dla Hefnera jednak i dla ludzi z jego kręgu sprawa jest bardziej złożona. Z jednej więc strony kryje się w tym, jako najbardziej oczywista, myśl o nobilitacji pisma, a więc ta sama myśl, która tak lub inaczej przyświeca wszystkim jego poczynaniom. Tej samej idei służy zresztą, założona przez jego właściciela, „Fundacja Playboya”, która, operując znacznym majątkiem ma na celu, niczym słynne fundacje Forda lub Rockefellera, popieranie badań naukowych i poszukiwań społecznych. „Fundacja Playboya” finansowała więc badania nad reformą więziennictwa w USA, nad narkomanią, nad ustawą o przerywaniu ciąży, a po śmierci Hefnera środki fundacji przeznaczone być mają na cele charytatywne. Równocześnie jednak kryją się w tym intencje głębsze. Pisałem, że tendencją wielkich fortun, zwłaszcza w Ameryce, jest tworzenie swoistych zamkniętych światów, państw w państwie, wydzielonych, prywatnych „rajów”. Otóż „Playboy” jest szalenie typowym przykładem tej tendencji. Jego dążeniem jest podkopać swoim czytelnikom wszystko — sposób ubierania się i sposób spędzania wolnego czasu, świat uciech erotycznych i rozkosze kulinarne, a także właśnie świat przeżyć umysłowych, świat kultury. Bez tego elementu budowlą wzniesioną przez Hefnera byłaby budowlą bez zwieńczenia, byłaby imperium, które nie zdołało — że użyję klasycznej terminologii — zbudować własnej nadbudowy.

W tym jednak miejscu wyłania się pytanie ostatnie i najbardziej chyba kluczowe, a mianowicie — do jakiego stopnia to co jest w „Playboyu” kulturą stanowi obcy, przejęty skądinąd import, a do jakiego stopnia owa kultura „Playboya” wyrasta z samej istoty organizmu, który ją adaptował?

Otóż myliłby się ten, kto by przypuszczał, że „Playboy”, dopuszczając czy też zapraszając na swoje łamy najbardziej nieraz kontrowersyjnych i jaskrawych myślicieli i autorów, dokonuje względem nich swosiego aktu kurtuazji, zgadzając się jedynie na kolportowanie ich idei. W istocie idee te, mimo że podane w sposób maksymalnie obiektywny, wtopione zostają harmonijnie w większą całość, którą wyznacza imperium Hefnera, czy też kultura „Playboya” w znaczeniu szerszym. Stają się one po prostu częścią wielkiego rozrywkowego teatru, który „Playboy” rozciąga przed oczyma swoich czytelników. Podane w „Playboyu” mogą stanowić przedmiot intelektualnej konwersacji, ubarwiać towarzyskie wieczory, przydając im znamion elegancji, równocześnie jednak, właśnie przez obiektywizm relacji, a także przez pełny i świadomy elektryzm w doborze rozmówców i głoszących przez nich idei, tracą jakiejkolwiek działanie pobudzające. Kultura i idee współczesnego świata stają się w ten sposób jeszcze jednym sposobem miłego, beztróskiego i zabawnego spędzania czasu przez ludzi, których nastawieniem jest pogoń za szczęściem i zadowoleniem.

Na koniec bowiem wypadnie powiedzieć, że kto wie, czy nie największym wynalazkiem Hugha Hefnera jest stworzenie we współczesnym świecie dramatycznych konfliktów i gwałtownych napięć kultury i postawy w doskonały sposób bezkonfliktowej.

Hippiesi i głosiciele powszechnej łagodności i miłości bliźniego, realizując konsekwentnie swoje założenia, dotarli do granicy jednego z najbardziej burzliwych konfliktów, jakim w końcu lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych stał się w Ameryce ruch przeciwko wojnie w Wietnamie. Głosiciele hasła rewolucyjnych, młodzi „głoszący” o programie lewackim lub anarchizującym, stanęli w otwartym konflikcie z potęgami świata establishmentu. Podobnie eksponenci drugiej strony, wszelkiego rodzaju „jastrzębie”, płacą jednak określoną cenę za swoją postawę życiową i społeczną. I oto na tym tle „Playboy” i jego kultura jawi się jako formacja całkowicie ideowo indyferentna i doskonale wyłączona z wszelkiego dramatyzmu dziejów współczesnych. Akceptacja praw społeczeństwa konsumpcyjnego pozwala tej formacji korzystać z wszelkich zdobyczy współczesnego świata dobrobytu, z walorów kapitalizmu. Równocześnie fala wywalczanych stopniowo swobód — w tym także swobód obyczajowych i artystycznych — pozwala rozszerzać świat uciech o coraz no-

we regiony. Jest rzeczą znamionną, że nawet w tak zdawałoby się istotnej dla charakteru pisma dziedzinie, jaką jest rewolucja seksualna, „Playboy” bynajmniej nie znajduje się w „awangardzie”, a raczej jedynie stopniowo wkracza w rejony już zdobyte przez brawurą i nie wolną od ryzyka demonstrację innych. Jest rzeczą znamionną, że niedawno, na skutek znacznego zaostrożenia się ofensywy seksu w wielu innych pismach, „Playboy” zdecydował się na publikację znacznie śmielszego pisma, „Oui”, związanego z imperium Hefnera, sam jednak pozostał na pozycjach umiarkowanych i mieszczących się w granicach bezkonfliktowych.

I oto w ten sposób ów z pozoru jaskrawy i buntowniczy świat „Playboya” jawi się nam jako dziedzina doskonałego, nieomal konformizmu. „Mocne, pełne życie w poszukiwaniu przygody” — atrakcja, obiecwana w reklamowych hasłach jako rezultat obcowania z „Playboyem”, okazuje się życiem jałowym i najbezpieczniejszym, na jakie można się zdobyć w naszej pełnej przygód epoce.

GORĄCA STREFA

Morze atramentu wylano u nas na temat tzw. literatury podróży. Jeden rejs — jedna książka. Krytycy upierali się, że po jednym rejsie nie można napisać dobrej książki, a przedstawiciele środowiska marynarskiego żartowali, że pisarz po jednorazowym pobycie w morzu zaledwie „liźnie” zejmańską powłokę cielesną zaś o duszy może mieć pojęcie jak wilk o gwiazdach. Pamiętając o regule, nie można jednak zapominać o wyjątkach.

Oto znany warszawski pisarz, Leszek Prorok, po dwóch rejsach (1962 i 1967) napisał aż trzy książki o ludziach morza: powieść „Łądy nieuniknione” (1967), zbiór opowiadań „Wielkie wody” (1969) oraz ostatnio reportaż pt. „Strefa słońca”. Nie mówię o publikacjach prasowych, wystąpieniach w radio i telewizji oraz cyklach odczytów „Niedyskrekcje arabskie” i „Mozaika afrykańska”.

Jeśli więc ktoś wątpił, czy po dwóch rejsach można napisać trzy książki, to Leszek Prorok doszczętnie rozwiał te wątpliwości. Z ogromnym zainteresowaniem czytałem reporterskie gawędy Proroka, zatytułowane „Strefa słońca”. Miałem zresztą ku temu powody. Otóż w 1967 roku na statku „Rzeszów” dzieliłem w afrykańskim rejsie kabinę razem z autorem. Mieliśmy dwie maszyny do pisania, dwie kofeiny, dwa notesy i dwa nieco różne spojrzenia na świat. Często toczyliśmy ożywione dyskusje i taki wywarły one wpływ na Proroka, że moją skromną osobę raczył umieścić nie tylko w powieści i w opowiadaniach, ale także w reportażowej relacji ze „strefy słońca”.

W jednym z rozdziałów Prorok powołuje się na tekst mojej pracy: „Dane faktyczne i daty zaczerpnięte są z pracy dyplomowej mgr. A. Sitka „Powstanie i rozwój towarzystw żeglugowych na linii zachodnioafrykańskiej”, Uniwersytet Warszawski Studium Afrykanistyczne” (s. 65). Odniosłem wrażenie, że i w kilku innych rozdziałach moja praca dyplomowa inspirowała autora do formułowania pewnych uogólnień i wniosków. Bez wątpienia dobrze to świadczy o rzetelności relacji reporterskiej, jeśli autor konfrontuje własne spostrzeżenia ze źródłami naukowymi.

Syria, Liban, Maroko, Wyspy Kanaryjskie, Gwinea, Wybrzeże Kości Słoniowej, Ghana, Nigeria, Kamerun — oto kraje publicystyczno-reportażowych podróży Proroka. W „Strefie słońca” autor za jednym zamachem wrzucił do wspólnego kotła mnóstwo informacji z dziedziny geografii, historii, socjologii etno-

grafii, doprawiając je odrobiną dziennikarskiej soli oraz szczyptą literackiego pieprzu i spozostawczości. Co z tego wyszło? Całkiem niezła zupa, którą konsumuje się z apetytem.

Trafnie wydają się dygresje Proroka dotyczące nie wykorzystanych możliwości naszego handlu zagranicznego na Bliskim Wschodzie i w Afryce Zachodniej. „Lekkocześnie, jakie w płaszczyźnie tzw. czystej kultury manifestują nieraz nasi fachowcy z dziedziny handlu zagranicznego, bywa wielce niestosowne” (s. 49). Trzeba jednak zaznaczyć, że uwagi te odnoszą się w dużej mierze do tzw. okresu minionego. Odtąd już dużo się zmieniło i chcielibyśmy wierzyć, że pracownicy handlu zagranicznego nie popełniają takich gaf, o jakich czytamy w „Strefie”.

Nie ma róży bez kolców. Jeśli poczytamy Homer zdremnął się czasem przy pisanu swych wiekopomych eposów, to i Prorokowi wolno. Czytamy więc o elektryku-smakoszu kawy, który, zażądał takich czarek pięć i wypił je od razu” (a może raczej kolejno, jedna za drugą?) oraz o tym, że „Arabowie piją tych kaw wiele, nigdy jednak na raz” (s. 22). Podobno Napoleon wykonywał kilka czynności równocześnie, ale na raz mógł pić — tak jak każdy zwykły śmiertelnik — tylko jedną kawę.

Nieco szokujące jest to, że w książce Proroka na linii zachodnioafrykańskiej pływają wyłącznie statki PZM-u. Owszem, tak było ponad cztery lata temu. Potem serwis zachodnioafrykański przejęły Polskie Linie Oceaniczne i aż prosiła się notka wyjaśniająca od wydawcy, jeśli autor, dopisując część tekstu w 1970 roku (a więc już po reorganizacji w resorcie żeglugi), przeoczył tę nieścisłość.

Z zamarkowanych wyżej potknięć i niedokładności widać wyraźnie, że plamek na książkowym słońcu Proroka jest bardzo mało — są one trudno dostrzegalne na pierwszy rzut oka, nie uzbrojonego w szkieleto filologiczne. Napisał o mnie Prorok: „Płynący również na „Rzeszowie” dziennikarz, rumiany blondynek o chłopięcym wyrazie twarzy, zeznał zgodnie z prawdą, że jest absolwentem ekonomii” (s. 182). Otóż Prorok mija się z prawdą (nikt nie jest prorokiem we własnym kraju) — nie studiowałem ekonomii, tylko filologii.

To, co napisałem, nie umniejsza bynajmniej wartości „Strefy” jako znakomitej pozycji reportażowej, mogącej zarazem uchodzić za popularne kompendium wiedzy o strefach brzegowych Afryki Zachodniej i Bliskiego Wschodu oraz za przewodnik po portach, o który wciąż kruszą kopie marynarze i publicyści.

ANDRZEJ SITEK

*) Leszek Prorok, Strefa słońca. Wydawnictwa Łódzkie, Łódź, 1973, s. 207, cena 15 zł.

Refleksje z notatnika

STEFAN MORAWSKI

S twierdzenie, że sztuka jest ustawicznie inna, wydaje się nieznośną trywialnością. Przestaje nią być jednak, jeśli uświadomimy sobie raptownie i przełomowe przemiany artystyczne ostatniego dwudziestolecia. Należy przecież rozróżnić stopnie i charakter ustawicznej zmienności sztuki, a po drugie nasuwa się kwestia, czy aby nie ma jakichś trwalszych punktów oparcia, do których winniśmy się właśnie teraz, w momencie narastającego chaosu estetycznego odwołać. Dostaję wciąż z zagranicy prozę najświeższą, której stronie przypominają zapis z partytury muzycznej, partytury z kolei podobne są do powiechni dzieła graficznego, malarstwo stało się spektaklem, spektakl wydaje się czasowo rozciągniętym utworem malarskim czy rzeźbiarskim. Pół biedy z tym, skoro już od romantyzmu mieszane są gatunki i rodzaje a teraz przyszła kolej na krzyżowanie całych dziedzin artystycznych. Kłopotów wszelako nie zbywa, gdyż zewsząd słyszy się żale nie tyle na same owe mieszaniny artystyczne, ile na to, że są całkowicie niezrozumiałe. Dziwność — oto w najlepszym przypadku opinia zaskoczonego odbiorcy. Na niejasność i obcość nowych propozycji skarżono się zawsze, ale, co znamienne, teraz są i nie bez słuszności odbiorcy dziwią się przede wszystkim temu, że coś, co wydaje im się znakiem drogowym czy beznadziejnym zbiorem rzeczy albo zabawą towarzyską etc., nazywa się po dawnemu sztuką. Podczas ostatniej mej wizyty w znanym amsterdamskim Stedelijk Museum czołowi niedysiejsi awangardyści — Mondrian, Kandinsky, Klee — wydali się „staroświeccy” w zestawieniu z wystawą piekielnych lub frywolnych maszyn Tinguely’ego, oraz tablicami z seryjnymi fotografiami i komentarzami słownymi amerykańskich zwolenników „sztuki mentalnej”. Mondrian, Klee i Kandinsky są po drugiej stronie bariery. Podobnie jak Joyce wobec „powieści” po Robbe-Grillet, Strawinsky i Schönberg wobec Cage’a itd. Być może jedynie architektura i tzw. sztuka użytkowa ocalała z tej pożogi — trzymają się bowiem zbyt silnie funkcji codziennych, muszą być na miarę potrzeb ludzkich.

Dzisiejszy popłoch estetyczny — przy niewielkim udziale snobizmu, który wielu wi-

dzom, słuchaczom i czytelnikom nakazuje przytakujące milczenie wobec propozycji szokujących — związany jest z gwałtownymi przeobrażeniami cywilizacyjnymi. Anty-sztuka z lat 50-ych była sygnałem pierwszym. Do nas dotarła najpierw anty-powieść paryska, a niedługo po tym ostatnie próby awangardy plastycznej i muzycznej. Polscy artyści stali się szybko współaktorami najnowszych tendencji. Mieliśmy zresztą coś własnego do zaofirowania: Witkacego, Grotowskiego, Kantora. Zjawisko przyspieszenia przemian artystycznych, ze wszechmiar naturalne i zdrowe, musiało wywołać zwiększony, alarmujący przedział między twórcami a publicznością. Rozlega się, jak zawsze dotąd w chwili pionierskich eksperymentów, pytanie: „Czy to jeszcze, albo w ogóle sztuka?”

Przed wielu laty na konferencji gdańskiej z okazji wystawy T. Makowskiego w Artusowym Zamku próbowałem zastanowić się, czy możliwe jest wskazanie cech wspólnych dla klasy przedmiotów zwanych artystycznymi. Następne lata zajęły mi m.in. rozmyślania nad tym, jak się pojęcie sztuki na naszych oczach przeobraża i na czym owe przeobrażenia polegają. Prezentacje artystyczne tak zbliżyły się do mass-media, że trudno było w wielu z nich doszukać się formy, ekspresji czy nawet maestrii (śladu profesjonalnego znawstwa). Elementy te (tzn. jakości zasadnicze, stanowiące dotąd o wartości dzieła artystycznego) umyślnie zaniedbano. Wydawałoby się, że nic nie pozostaje jak przystać na rezygnację z kryteriów opierających się na tradycyjnych kategoriach i całkowity chaos w ocenach. Otóż z takim właśnie nihilizmem estetycznym próbowałem walczyć, pisząc o happeningu oraz konceptualizmie, o filmach z nowojorskiego „podziemia” artystycznego, oraz quasi-powieściach paryskiej grupy Tel Quel. Żyjemy na zakręcie kulturowym — niepodobna dzisiaj mówić o sztuce tak samo jak, sięgając niedaleko, tuż po r. 1945, ale też warto zdać sobie sprawę, że operujemy wciąż odziedziczonymi kategoriami estetycznymi. Anty-sztuka ma sens tylko o tyle, póki zachowuje się sens pojęcia „sztuka”. Przedmioty czy spektakle bez formy i ekspresji pokazywane są w taki sposób, że mimo wszystko, jakieś minimum formalno-ekspresyjne, wydzielające ów zespół przedmiotów czy spektakl z życiowego otoczenia, zostaje zachowane. Odbiorcy nadal usiłują kon-

templować to co się z trudem do kontemplacji nadaje.

Trzeba w chwili jak nasza (tzn. przy ostrym bezprecedensowym zderzeniu nowych dążeń artystycznych ze starą estetyką) uzbrajać w cierpliwość i wiedzę tych, którzy w dążeniach owych dostrzegają wyłącznie prywatne przejawy ekscentrycznych czy zgoła szalonych twórców. Z drugiej zaś strony trzeba rozbrajać tych, którzy wszyskiemu na ślepo ufają i pytają uporczywie: co jest w sztuce aktualnej najważniejsze? Pytanie to sformułowane jest wysoce niefortunnie.

Aktualność sztuki jest probierzem zawodnym. Jednym z nężejszych zjawisk naszych dni jest uleganie ostatniej modzie artystycznej z inercją równą tej, jaka cechuje trzymanie się stereotypów już zeszytwniałych. Artyści zawsze — z konieczności psychologicznych i społeczno-historycznych — poddawali się presji teraźniejszości i zastanych tradycji, ale też najdzielniejsi z nich, tzn. autentyczni prawodawcy wciąż zmiennego smaku estetycznego, pozostawali w dystansie wobec kanonów dawnych i nowych. Ow dystans liczy się szczególnie dzisiaj, kiedy seryjność i masowość stały się symbolami cywilizacyjnymi. Dlatego też najwyższej cenie nie tych, co żwawo przyłączają się do najnowszych kierunków, ale tych, co je inicjują: nie tych, co po prostu połykają każdą ekstrawagancję, ale tych, którzy próbują odnaleźć w wirze współczesnych rozmaitych i skłóconych ze sobą poszukiwań artystycznych siebie samych. Czas dzisiejszy nie zawsze daje szansę, by jak to dawniej z arcy mistrzami bywało, wyrazić całą swą osobowość, ale nie wyłącza ani potrzeby, ani możliwości wypowiedzenia swego stosunku do świata i sztuki dotąd uprawianej. Awangardę tworzą więc nie „nowinkarze”, lecz artyści prezentujący owo więcej niż. Przy takim rozumieniu awangardyzmu mieszczą się w nim wszyscy samodzielni komentatorzy dzisiejszych czasów. Tych uważam za najważniejszych, bowiem to nie aktualność ich wytwarza, lecz odwrotnie — oni powodują, że określone idee stają się aktualne. Muszę dodać wszelako, że cenię szczególnie nie tylko owych artystów z własnym twórczym dystansem do nagminnego i chorobliwego nowinkarstwa. Ważnym zjawiskiem naszych dni wydaje mi się również samotna, konsekwentna wierność przyjętym założeniom twórczym, które sprawdziły się w praktyce (nie koniecznie w szerokim odbiorze). W tym

sensie odkrywczy happenery nie zostaje wcale przekreślony przez konceptualizm, tak jak happening nie przekreślił ważności co odkrywcze u ekspresyjnych abstrakcjonistów, etc.

Skoro wątpliwy jest sam status sztuki, pytają mnie często w ankietach czy wywiadach również o instytucje ze sztuką sprzężone, np. o muzea i galerie wystawowe. Czy nie są przestarzałe? Muzea należy chyba z dyskusji na ten temat wyłączyć. Z natury swojej dotyczą przeszłości to zaś, co jest problematyczne, dotyczy wyłącznie dzisiejszej i jutrzejszej roli funkcji sztuki. Klasycy pozostają nienaruszeni — dzisiaj już nikt nie wysuwa hurra-niszczycielskich haseł futuryzmu. Notabene galerie sztuki współczesnej są czymś paradoksalnym o tyle, o ile sankcjonują dane dzieło już z współczesności „przesianej”, tzn. uznanej za wartość nieprzemijającą. Co tyczy się z kolei sal wystawowych poczucie czczości nie odstępować nas ani na chwilę. Zważmy jednak, że od dotychczasowych instytucji artystycznych nie podobna uwolnić się, póki nie zostaną zmienione systemy społeczne. Formalno-rutyniarski charakter owych instytucji jest przecież wytworem określonej biurokratycznej struktury, która nb. za na szych czasów wyparła na margines typ krytyka-mitotwórcy. Można jednak, jak sądzę, w warunkach tyleż naszego ustroju, co ustrojów innych (Europa Zachodnia, USA, Japonia) spróbować innego niż dotąd kontaktu artysty z publicznością. Należałoby mianowicie obejść się bez instytucji nadrzędnych spełniających dotąd urzędową funkcję pośrednictwa, a także bez krytyków, wchodząc w bezpośrednią komitywę z określonym zespołem (grupą) odbiorców. Zamiast wernisażu — spotkania artysty z zainteresowaniami, zamiast anonimowych „ogładczy” — publiczność coraz bardziej znana, z wyłaniającymi się miłośnikami, zamiast sprzedaży reglamentowej od góry — bezpośrednie nabycie dzieła, opłacanego przez poszczególną osobę czy daną grupę (gminę). Byłby to powrót do modelu średniowiecznego, ale bez ówczesnych restrykcji (cech, patronat świecki czy duchowny).

Narzuca się zrazu refleksja, że powrót taki jest z wielorakich powodów niemożliwością, m. in. choćby z tego względu, że żyjemy — odwołując się do znanego podziału epok wg St. Simona — w erze krytycznej. Średniowiecze było erą organiczną, tzn. artysta w sytuacji analogicznej do wasala — czuł się jednak dogłębnie związany z swoim otoczeniem, tworzył z przymusu wewnętrznego, a nie zewnętrznego. Dzisiaj rozbieżność wewnątrzspołeczna jest tak zaawansowana, że o jedności kulturowo-światopoglądowej mogą marzyć jedynie prorocy, a ponadto status artysty jest m. in. dlatego tak zachwiany, gdyż nikt go naprawdę nie potrzebuje. Oba zastrzeżenia są poważne, ale do obalenia. W średniowieczu o ścisłym kontakcie artysty z odbiorcami decydował w dużej mierze niewielki zasięg populacji, dla której tworzył; do tego właśnie punktu zmierza moja propozycja na dzisiaj. Druga obiekcja wydaje mi się arbitralna. Póki nie dokona się wielu prób odwrócenia sytuacji alienacyjnej, nie wolno z góry rozstrzygać, że artyści skazani są na zagładę.

Krystyna Przybytko-Fabijańska

PIOTR POTWOROWSKI

1898-1962

Jako człowiek i jako artysta odznaczał się Potworowski niepospolitą fantazją, cenil wysoko smak przygody, intensywnego działania, smak pełni życia. Wszystko cokolwiek robił miało w sobie rozmach i było niebanalne. Nie zatrzymywał się na żadnym z osiągniętych etapów, dążąc nieustannie do celu najważniejszego, aby tworzyć sztukę „trwającą”, więc taką, której nie rozmyje czas.

Swoją drogę artystyczną rozpoczynał w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie u Józefa Pankiewicza, znakomitego kolorysty i wielbiciela sztuki francuskiej. W latach 1924 — 1933 przebywał w Paryżu z grupą „kapistów” — był to okres rzetelnych studiów, obcowania z wielką sztuką i równocześnie okres pierwszych osobistych sukcesów artystycznych. Program „kapistowski”, wysuwający na czoło zagadnienia kolorystyczne, nie był nigdy ideałem Potworowskiego i choć zachwycała go wytworna i śmiała kolorystyka Bonnarda i Matisa, podjął jednak naukę u Lëgera, mistrza konstrukcji i konkretnej formy. Już więc w latach młodości i studiów poszukiwał własnej formuły, nie godził się na koncepcje innych w przekonaniu, że nie ma programów uniwersalnych.

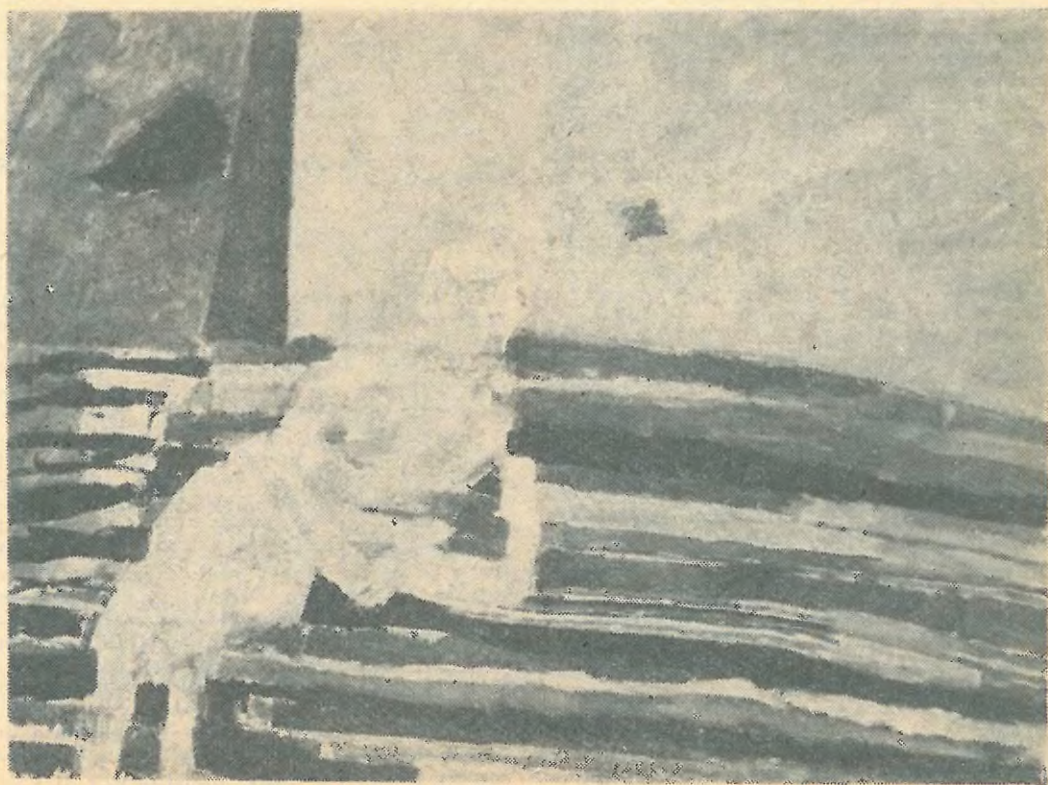
W okresie przedwojennym malował Potworowski martwe natury, wnętrza z postaciami, rzadko portrety i zupełnie sporadycznie — pejzaże. Początkowo obrazy jego cechuje pewna stylizacja i uproszczenie kształtów, spłycona perspektywa, jasny i prosty układ kompozycyjny, zimny, nieco

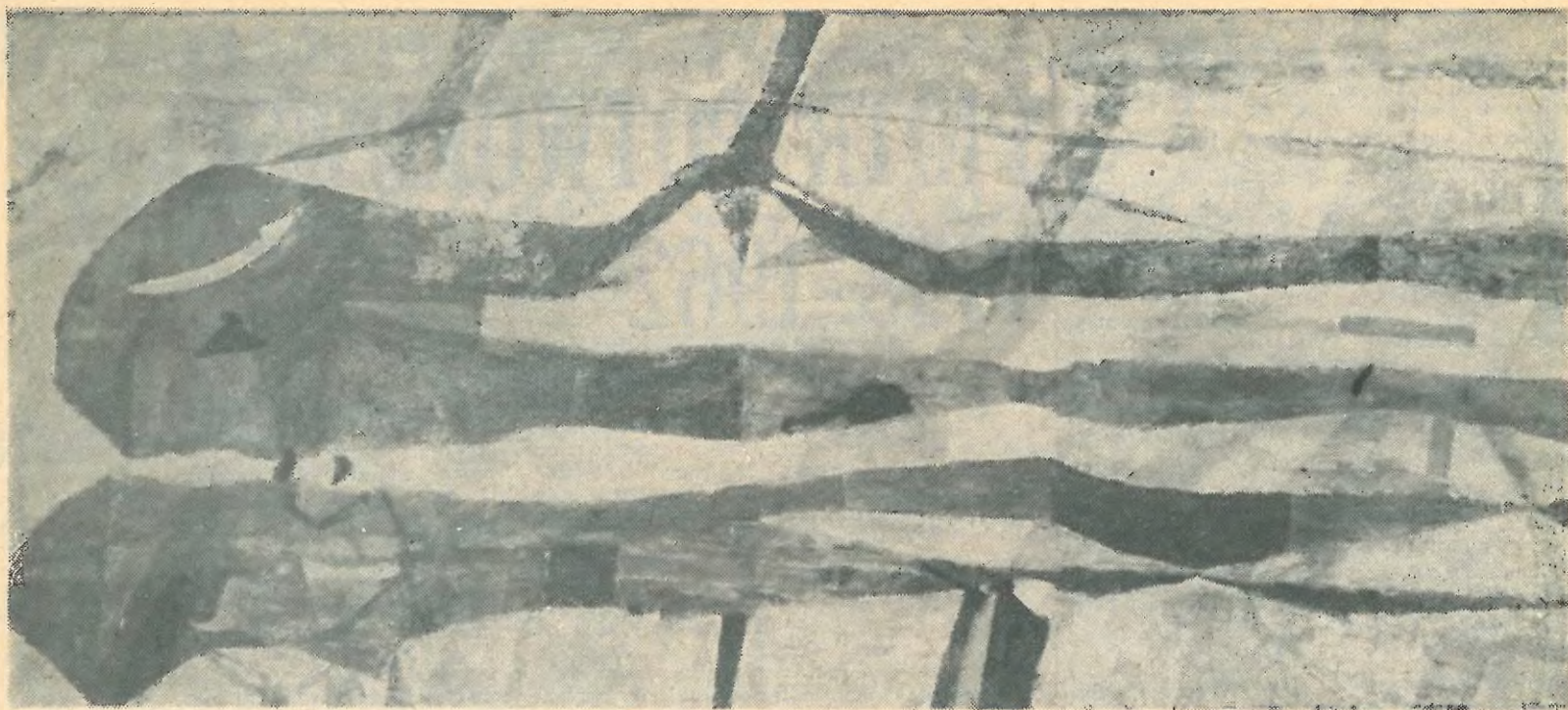
mglawicowy koloryt, gładka, wcierana faktura. Po połowie lat trzydziestych płótna stają się bardziej zróżnicowane fakturalnie, paleta znacznie się poszerza i zaczyna dochodzić do głosu nuta poetycka, która będzie cechować jego malarstwo do końca. Przedwojenne prace Potworowskiego zachowały się w znikomej ilości — kilkadziesiąt najlepszych obrazów wysłanych w 1939 r. na wystawy do Ameryki i do Krakowa przepadło bezpowrotnie.

W 1940 r. udało się Potworowskiemu przedostać do Szwecji. Mieszkał w pobliżu Sztokholmu i pracował jako drwal, nie zaniebując nawet w tych warunkach twórczości artystycznej, z tym, że malował raczej niewiele, poświęcając się przede wszystkim rzeźbie. Z początkiem 1943 r. znalazł się w Wielkiej Brytanii, gdzie po paru miesiącach pobytu w Szkocji, osiadł w Londynie.

Okres „angielski” miał dla Potworowskiego znaczenie decydujące. Tutaj osiągnął dojrzałość artystyczną w drodze przeobrażeń, dokonujących się pod wpływem problematyki w sztuce światowej, oraz w wyniku własnych przemyśleń i wewnętrznej motywacji. Jego zainteresowania przesunęły się stopniowo w kierunku zagadnień światła i atmosfery w obrazie, a więc spraw obcych tradycji kapistowskiej. Artysta wyzwalał się spod uroku sztuki francuskiej, zbliżał natomiast do malarstwa angielskiego, kształtując przy tym styl głęboko osobisty.

W malarstwie brytyjskim omawianego okresu wyróżnić można trzy główne tenden-





cje: abstrakcję czystą, surrealizm i nowoczesne malarstwo pejzażowe, formalnie pokrewne sztuce informel, ale inspirowane naturą i romantyczne w warstwie nastrojowej. Ten właśnie nurt stał się szczególnie bliski Potworowskiemu. Oczarowany osobliwym pięknem krajobrazu Kornwalii zaczyna malować pejzaże, które stają się głównym, niemal jedynym tematem jego sztuki, aż do końca pobytu w Anglii. Obrazy te mają charakter wizyjny, są malarskim odpowiednikiem rzeczywistości oglądanej przez pryzmat osobistych uczuć i tęsknot. Stąd właśnie ten właściwy im ton liryzmu, zakłócany raz po raz ostrym akcentem dramatycznym (np. „Zdarzenie — Kornwalia”).

W latach 1949 — 1958 był Potworowski profesorem w Bath Academy of Art, najbardziej awangardowej uczelni plastycznej w Anglii. Fakt powołania obcokrajowca na tak eksponowane stanowisko stanowił duże wyróżnienie i świadczył o tym, że jego pozycja w świecie artystycznym notowana była bardzo wysoko. Dla Potworowskiego był to okres pomyślny. Odbywa w tym czasie szereg podróży po Europie, zwiedza wielkie galerie, ogląda oczyma dojrzałego już człowieka najwspanialsze zabytki architektury, chłonie krajobrazy i buduje swoją filozofię sztuki nieprzemijającej, humanistycznej, niezależnej i nowoczesnej.

Latem 1958 r. Potworowski przyjeżdża, pierwszy raz po 18 latach, do Polski. Wystawę jego malarstwa przyjęto w kraju z entuzjazmem i może to zdecydowało, że wbrew pierwotnym planom nie wrócił już do Anglii. Został profesorem w dwóch uczelniach plastycznych — w Poznaniu i w Gdańsku, dzieląc czas między zajęcia z młodzieżą, a własną, intensywną pracę twórczą na polu malarstwa i scenografii. W każdej z tych dziedzin pozostawił trwały ślad swojej niepospolitej osobowości.

Sytuacja artystyczna w Polsce była dla Potworowskiego niespodzianką. Zamiast oczekiwanego prowincjonalizmu, czy stagnacji zastał życie plastyczne pulsujące najnowszymi problemami, rozwijające się z ogromną dynamiką. Ten stan rzeczy był dla niego bez wątpienia bodźcem do podjęcia nowych poszukiwań formalnych, zmierzających w kierunku dalszej syntezy obrazowania, a na-

wet rozwiązań abstrakcyjnych („Istota stojąca”, „Czarno-białe tarcze”, „Czerwono-niebieskie kwadraty” i in). Nie był to jednak jedyny nurt, jakim szło jego malarstwo, rozwijał on bowiem równoległe parę wątków formalnych i tematycznych. Kontynuował więc nadal gatunek malarstwa pejzażowego, powiązanego teraz najściślej z krajobrazem polskim. Mówią o tym już same tytuły prac: „Zielone Podhale”, „Port w Rewie”, „Statek wiślany”, „Wisła w Kazimierzu”, „Las w Sopocie”, „Drzewo zielone — Niedzica” itd. — wszystkie odznaczają się oryginalnością widzenia, trafnością interpretacji i sugestywnością przekazu. Obok tych pejzaży o cechach lirycznych uprawiał równocześnie pejzaż o charakterze bardziej abstrakcyjnym — są to zwykle kompozycje w formie owalu, zbudowane z przecięć, złamań i spotkań linii i kształtów geometrycznych, ze skupisk barwnych punktów, z kontrastów walorowych i kolorystycznych (np. „Chata na Podhalu”, „Pejzaż miejski”, „Ślad wojny” i in).

Podjeżdża również Potworowski tematykę figuralną, głównie akt kobiecy, co jest u niego prawdziwą nowością. Forma jest w tych obrazach określana lapidarnie i kształtowana światłocieniowo, kojarzona zazwyczaj z motywem barwnego pasiaka. Z folkloru zresztą wywodzi się w znacznej mierze rodowód nowych jakości w sztuce Potworowskiego ostatnich, polskich lat. Długi pobyt w środowisku kulturowo obcym sprawił, że jego reakcja na swoisty urok polskiej sztuki ludowej była szczególnie żywa. Motywy ludowe wtargnęły szeroką falą do jego dzieł malarskich, znacząc je piętnem narodowym. Pasiaki ludowe były właśnie tym wątkiem, na którym budował symfonie kolorystyczne w kompozycjach figuralnych. W pejzażach z kolei spotykamy motyw drewnianego plotu, bierwion ściągany wiejskiej chaty (np. „Chata na Podhalu”), czy wzorów ludowych tkanin w kompozycjach z pozoru abstrakcyjnych, jak choćby w „Kompozycji niebiesko-czerwonej”. Być może, że również technika collagu tak chętnie stosowana przez artystę w ostatnim okresie, posiada źródło inspiracji w budownictwie czy rzeźbie ludowej. Wśród współczesnych malarzy polskich trudno byłoby znaleźć drugiego twórcę korzystającego z zasobów folkloru w sposób równie rozległy, jawny i owocny.

W wyniku bezpośredniego obcowania z rzeczywistością polską pojawił się u Potworowskiego jeszcze inny, nieistniejący przed-

tem temat, mianowicie temat wojny. Takie obrazy jak „Ślad wojny”, „Getto warszawskie”, „Obóz koncentracyjny” — mogły powstać tylko w kraju, który przeżył koszmar hitlerowskiej okupacji.

W ostatnim roku życia kolorystyczna strona malarstwa Potworowskiego osiąga apogeum i zapowiada nowy rozdział w jego sztuce, rozdział nie dokończony. Kompozycje figuralne i pejzaże jarzą się barwami doprowadzonymi do granic świetlistości i intensywności i niosą z sobą ładunek żywiołowej radości, optymizmu, może szczęścia. „Obraz tęczy” jest w istocie tęczą zatrzymaną w obrazie, a zielone pola nad Wisłą są kwintesencją i symbolem wszystkich wiosennych zieleni.

Charakteryzując „polski” okres twórczości Potworowskiego trzeba podkreślić, że były to najbardziej aktywne lata w jego życiu. Ich rezultat artystyczny jest imponujący: ogromna ilość obrazów, praca pedagogiczna, współpraca z teatrami Poznania, Warszawy, Wrocławia i Katowic, a równocześnie bujne życie towarzyskie — jest w tym jakiś pośpiech, czy raczej eksplozja sił vitalnych i twórczych, które na ziemi ojczystej wydały najlepszy plon.

SZTUKA W PORCIE

Rok temu Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki zapoczątkowało akcję p.n. „Port w sztuce”. 4 marca podsumowano pierwszy etap tej akcji. W kinie „Watra” wyświetlono na premierowym pokazie trzy filmy: „Port północny” i „W Porcie Północnym będzie zieleni” Marcellego Matraszka oraz „Na głębsze wody” Andrzeja Piekutowskiego. W Ratuszu Staromiejskim wręczono nagrody laureatom konkursów poświęconych problematyce Portu Północnego. W konkursie na reportaże dwie drugie nagrody otrzymali: Bogusław Holub i Józef Kuśmerek, nagrody trzecie: Jerzy Surdykowski, Edmund Szczesiak i Andrzej Krzysztof Wróblewski. W konkursie fotograficznym pierwszą nagrodę otrzymał Marian Murman, druga Witold Węgrzyn, dwie trzecie nagrody Paweł Pierściński i Maksymilian Myszkowski. Złoty medal Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego za najlepszy portret otrzymał Mirosław Kubacki. W konkursie na plakat pierwszą nagrodę otrzymał Jerzy Krechowicz, drugą nagrodę oraz wyróżnienie Eustachy Lech Karłowicz, trzecią nagrodę Tadeusz Piskorski.

(ehm)

Tematyka pracy zawsze była cenną, a sztuka o pracy — o jej wartościach społeczno-moralnych. Gdańska wizyta twórców i artystów z całego kraju na budowie Portu Północnego 21 lutego 1973 r. dodała tej tematyce świeżego spojrzenia. Zapoczątkowała nowy etap spotkań artystów ze współczesnością produkcyjną kraju. Stanowi ona część wielkiej kampanii społecznej, którą obecnie kontynuują Katowice i Poznań.

W dniu 4 marca, br. w tej samej co przed rokiem sali Ratusza Staromiejskiego w Gdańsku, zebrali się laureaci rozstrzygniętych konkursów artystycznych oraz budowniczowie Portu Północnego, aby ocenić prowadzoną wspólnie kampanię kulturalną. Plejada artystów szukała na tej budowie emocjonalnej przekładni dla wielkiego skoku w nowoczesność. Stworzone możliwości techniczne i finansowe, ułatwiły powstawanie rzeczywistych więzi twórców z budowniczymi gospodarki morskiej. Rzucone wyzwanie przyjęli artyści plastycy. Grupa plastyków „a” przygotowała pokaz audiowizualny pt. „Ślad pracy” związany z ludźmi i ich pracą. Wielu artystów-plastyków uczyniło z placu budowy przedmiot swej pracy twórczej. Kazimierz Śramkiewicz, Stanisław Michałowski Zdzisław Kałedkiewicz wykonali cykle obrazów olejnych poświęconych budowie i budowniczym portu. Dziewiętnastu artystów-plastyków wzięło udział w pierwszym pokazie prac malarstwa, rzeźby i grafiki, poświęconych budowie portu. W pokazie następnym prezentowało prace już 62 autorów. Większość prac sprzedano. Zorganizowano w porcie plenery dla artystów zawodowych i studentów. Były to plenery z udziałem malarzy zagranicznych.

Uczestnicy plenerów starali się w pracach odpowiedzieć na pytanie: w jaki sposób atmosfera wielkiej budowy, a więc sytuacja dla twórcy niecodzienna, wpływa na jego dzieła, na ile przez swoją egzotykę, specyficzny romantyzm i olbrzymi rozmach techniczny, może stać się inspiracją twórczą dla plastyka.

Na terenie portu odbyła się sesja wyjazdowa Klubu Fotografiki Prasowej SDP, fotografowali port uczestnicy Biennale Fotografiki Artystycznej Krajów Bałtyckich. Wyprodukowano dwa filmy krótkometrażowe, w opracowaniu znajduje się film pełnometrażowy. Niezwykle interesujący plon przynoszą konkursy na „grafikę kwartału”, w których dominuje tematyka budowy portu. Pisarze, którzy zgłosili zamiar napisania książek o budowie portu otrzymali stypendia twórcze.

Ogłoszono i rozstrzygnięto konkursy na reportaż prasowy, telewizyjny, fotograficzny oraz na plakat. Przewodniczący jury ogłosił wyniki konkursów, dyrektor „Hydrobudowy — 4” poinformował o stanie zaawansowania prac przy budowie portu, obejrzano nakręcone filmy, wystawy plastyczne i rozpoczęła się dyskusja budowniczych portu z publicystami i artystami.

Co wywołuje największe wrażenie? Nie kamienne góry przewożone nad morze i topione w wodzie ani księżycowy, prawie 760 hektarowy, pejzaż budowy huty czy wielkie pola

rap sod o ludz kim czynnie



kich okrętów i maszyn. Rodzi się ona w ciężkich zmaganiach człowieka ze stereotypami myślowymi. Budowa „drugiej Polski” to nie tylko przyrost potencjału ekonomicznego ale także przyrost świadomości, intensyfikacja życia wewnętrznego obywateli stających do rywalizacji w świecie nowoczesnym. Postęp jako rozwój świadomości, moralna doniosłość pracy — dobrej roboty — jest nowym wyzwaniem polityki społecznej, od Bałtyku po Śląsk.

Wielkie budowle są też miejscem nieuniknionych konfliktów. Nie chodzi więc o piosenki o falochronie, o wielkich piecach ani o płodozmianie. Temat współczesny jest kontrowersyjny jak współczesność. Prowadzona kampania kulturalna musi więc zapalić „zielone światło” dla sztuki zaangażowanej. Tylko tak pojęty temat wielkich budowli znaleźć się może w płaszczyźnie aktualnej i żywotnej myśli artystycznej. Oczywiście, nie dla każdego twórcy Port Północny, huta Centrum i PGR-y są pasją równie silną i autentyczną, jak dla załóg produkcyjnych. Być może nie każdy twórca, nie zawsze i nie natychmiast potrafi sformułować wyraz artystyczny swojej współczesności. Jeżeli jednak dzięki kontaktom z klasą robotniczą spojrzy na swoje wnętrze z innej perspektywy, spotkania te i tak spełnią pożyteczną rolę. Jest to kontakt, który ożywia obie strony, podnosi temperaturę emocji i pobudza wyobraźnię. Tempo rozwoju techniki, towarzyszące mu zdumienie artystyczne — oto świat współczesnej wrażliwości modernizującej świadomości, myśl.

Głębsze uzasadnienie dla prowadzonej kampanii o jedność pracy i sztuki znajdujemy w myśl ideologicznej i politycznej zawartej w uchwale VI Zjazdu o niepodzielności spraw produkcji, bytu i wychowania. Model współczesnych zaangażowań ideowych, program rozpalania serc dla budowy „drugiej Polski”, powstać może tylko w klimacie wyższej temperatury intelektualno-ideowej, oddającej niepokój i nadzieję czasu i pokolenia, które ten program tworzy. Chodzi oto, aby otwierał perspektywę dla człowieka wielorako zaangażowanego i nieustannie się rozwijającego.

A. C.

Ewa Nawrocka

HEROIZM „TRUDNEGO
EKLEKTYZMU“

Obserwacje polityki repertuarowej Teatru „Wybrzeże” jeszcze w okresie spółki Hebanowski-Okopiński i plany repertuarowe Hebanowskiego wykazują, że teatr ma nie tylko ambicje, ale i liczy na ambicje swoich odbiorców. Repertuar jest obliczony na widza wyrobionego teatralnie, inteligentnego, myślącego. Hebanowski proponuje teatr literacki, w którym podstawę repertuaru stanowią wybitne teksty literackie dramatu polskiego i światowego, o głębokiej i skomplikowanej problematyce etycznej, moralnej, historiozoficznej i filozoficznej. Ten teatr jest pomyślany jako swoisty czynnik edukacji widza.

Jest to z konieczności repertuar eklektyczny, co nie stanowi moim zdaniem błędu, czy wady repertuaru. Trzeba jednak stwierdzić, że oczekiwania teatru względem widza nie spełniają się. Wskazuje na to frekwencja na spektaklach.

Skrajnym przykładem może być wielkie powodzenie niezmiennie od trzech lat idącego kompletami „Żołnierza królowej Madagaskaru” i bojkot „Teatru osobnego” Białoszewskiego. Nie byłoby powodu do niepokoju, gdyby nie fakt, że „Teatr osobny” jest znakomicie grany i po-

winien być widziany przez każdego tzw. kulturalnego i inteligentnego człowieka nie tylko dlatego, że jest to zjawisko samo w sobie niezwykle i fascynujące, choć jednocześnie dyskusyjne. Po prostu nie sposób już dziś nie znać Białoszewskiego, nie skorzystać ze stworzonej przez teatr okazji do jego poznania. A „Żołnierza królowej Madagaskaru” zabawna, choć nieco staroświecka farsa, w reżyserii R. Ronczewskiego, jest złym, tandetnie zrobionym przedstawieniem, którego nawet nie uratuje udana rola Leszka Ostrowskiego (Mazurkiewicz).

„Teatr osobny” to przykład skrajny — na codziennosc teatru składają się pozycje nie tak eksperymentalne, choć w równym stopniu ambitne. „Helena” Eurypidesa, „Otello” Szekspira, „Nieboska komedia” Krasińskiego, „Nieprzyjaciół” Greena, „Sen” Kruszczyńskiego, „Bracia Karamazow” według Dostojewskiego, „Potępienie doktora Fausta” Sity, a w najbliższej przyszłości „Gra snów” Strindberga, „Anioł i czart” Crommelyncka, „Opowieść zimowa” Szekspira, „Niebiańskie bliźnięta” Rymkiewicza, według Calderona. Listę tę uzupełniają pozycje komediowe: żelazna „Zemsta” Fredry i żelazny

„Dom otwarty” Bałuckiego utrzymane się na afiszu przez parę kolejnych sezonów, nowa inscenizacja „Ślubów panińskich” Fredry, „Lament” Choromańskiego, a także „ku-czciowa” „Odbudowa Błędomierza” Iwaszkiewicza w związku z XXX-leciem PRL, „Lato” Rittnera i dwie pozycje radzieckie: „Połowoczańskie sady” Leonowa i „Lubow Jarowaja” Treniewa. Repertuar ambitny i oryginalny, choć trudny.

Czy za trudny? Prawdopodobnie tak — jeśli frekwencję uważać za miarę jego akceptacji. Czy jednak teatr powinien obniżyć pułap swych ambicji? Odpowiem na to pytanie przecząco, bo tak jak Lidia Zamkow odmawiam widzowi kompetencji w sprawach artystycznego profilu teatru. Zamkow kwestionuje możliwość zaistnienia sporu między publicznością a teatrem, gdyż stają wobec siebie kompetentny i niekompetentny. I jeśli Lidia Zamkow ze względu na skrajność postawy nie do końca ma rację, to ma ją przecież przeciwko Danucie Baduszkowej, która rację istnienia swojego modelu teatru widzi w nadkompletowych przedstawieniach i spontanicznym aplauzie widowni wobec nienajwybredniejszych gagów w amatorskim wykonaniu.

Baduszkowa prawo krytyki i aprobaty złożyła w ręce swoich widzów i teatr ustawiła na płaszczyźnie handlowej, rządzi nim prawo popytu i podaży; trzeba rozumować ekonomicznie, wiedzieć co widzi kupi i to mu ofiarować, on jest miarą i celem, „klient nasz pan”. Zamkow jest nienowoczesna i anachroniczna, jest postacią heroiczną — jedyne kryterium oceny, jakie dopuszcza, to

Adam Zacharewicz

Z CZYM DO WIDZA?

Jest rzeczą oczywistą, iż Teatr „Wybrzeże” należy do czołowych scen polskich. Fakt ten potwierdzają nie tylko „wystrzałowe” realizacje, zdarzające się przecież nie co miesiąc (a nawet nie każdego sezonu), ale i przeciętny poziom spektakli. Od lat już bywa, iż widz tego teatru zastanawia się, w jaki sposób z nijakiego właściwie tworzywa potrafiąno zrobić w tym teatrze dobrą rzecz sceniczną. Zachodzi pytanie, jakimi drogami „nijakie tworzywo” trafia do szanującego się teatru? Przyczyn tego może być kilka, zwłaszcza w sytuacji, kiedy teatr jest w swojej specyficzności właściwie monopolistą. A więc jest akurat jakaś okazja, okrągła rocznica, którą trzeba uczcić, wypada zaprezentować autora związanego z regionem — chociaż nie jest on dramaturgiem wysokiego lotu — itd. itp. Czasem odnosi się wrażenie, iż placówka ta zbyt wiele chce wziąć na swe barki, a więc np. pokazać widzom klasykę polską i obcą (w tym także antyczną), po-

zycje zaliczane do arcydzieł dramatu, całe eposy sceniczne, a obok tego jakieś dzieło zapomniane, nie sprawdzone, rzadko grane. Zamierzenie to szczerze w sumie, ale powoduje też ono czasem sytuację w której — widz — przytłoczony ciężarem rzeczy pożytecznych, czy takich, które wypadają znać — poczynił się potrośze nudzić. Niezależnie od tych chwalebnych ambicji, potrzebne są jednak w repertuarze także pozycje, które się po prostu ogląda z przyjemnością, co wcale zresztą nie musi oznaczać obniżenia lotów.

Godzi się zresztą zauważyć, iż przytoczone wyżej pretensje dotyczą w znacznej mierze czasów dawniejszych, niż np. repertuaru ubiegłorocznego. W moim przekonaniu z zestawu pozycji roku 1973 jedną tylko można uznać za typową „daninę” tradycji: „Krosienka” Ignacego Krasińskiego — ramotkę, która niewielu chyba zainteresowała. Nie powiódł się też teatrowi temu zamiar ambitny, ciekawy w założeniu, miano-

wicie „Bracia Karamazow” Fiodora Dostojewskiego w inscenizacji i reżyserii Lecha Hellwig-Górczyńskiego. Spektakl wyszedł długi, zagmatwany, niezbyt udany pod względem aktorskim, chociaż wystąpił w nim pierwszy garnitur wykonawców; zbyt wiele było tu postaci „nie z tej sztuki”. Reszta premier to pozycje, które teatr zaliczyć może sobie na plus — wymienimy tu przykładowo niesamowity w nastroju, „mocno” podany „Lament” Michała Choromańskiego, „Nieboską komedię” Zygmunta Krasińskiego — spektakl trudny, ale niezwykle klarownie podany widzowi (reżyseria Marka Okopińskiego), „Otello” przygotowanego przez tegoż realizatora ze znakomitym Stanisławem Michalskim w roli tytułowej i jeszcze lepszym chyba Henrykiem Bisłą jako Jagonem, wreszcie udane (poza scenografią) „Lato” Tadeusza Rittnera.

„Teatr osobny” Mirona Białoszewskiego, stanowiący zarazem warsztat reżyserski Ryszarda Majora z PWST, miał tyłuż zwolenników, co krytyków, zarzucających spektaklowi zbytnią studenckość i uduchowienie. Te zarzuty można jednak także „odwrócić”, traktując je jako kom-

jej własne sumienie artystyczne. Jest ona heroicznym i samotnym artystą, który ma prawo odmówić widowni kompetencji, bo jest od niego o stopień lub parę wyżej i dlatego jestem za Zamkow przeciw Baduszkowej, za „Teatrem osobnym” przeciw „Żołnierzowi królowej Madagaskaru”, za polityką repertuarową Hebanowskiego przeciw oschłej obojętności widowni.

Ale to tylko pół prawdy. Druga jej połowa dotyczy wymiaru indywidualności artystycznej twórcy przedstawienia. Na tle minionych, tym paru świetnych, sezonów teatralnych znaczących nazwiskami Zamkow, Hübnera, Golińskiego, Minca ostatnie lata ujawniają stałe przesuwanie się punktu ciężkości w repertuarze ku klasyce, obejmującej szeroki zakres od antyku po wiek XX. Nie w tym rzecz, że pozycje klasyczne zdominowały repertuar proponowany przez Hebanowskiego. Wątpliwość budzi jedynie sposób realizacji klasyki, w większości tradycyjny, historyczny, muzealny i koturnowy.

Zbyt często klasyka staje się zakurzonym eksponatem muzealnym, tworem hieratycznym, nudnym i anachronicznym. Wielka klasyka maleje i szarzeje w toku realizacji. Już nie wybór repertuaru, który traci swój walor znaczeniowy, ale sposób jego realizacji decydują o obliczu teatru. Wtedy „Czapka błazeńska” Pirandella i „Bracia Karamazow”, „Otello” i „Nieboska komedia” sytuują się na tej samej płaszczyźnie — przedstawień realizowanych w sposób budzący zasadnicze wątpliwości ze względu na koncepcję reżyserską, kształt inscenizacyjny, de-

czyzje obsadowe, poziom gry aktorskiej.

Bieżący sezon i poprzednie, wskazują, że oblicze artystyczne Teatru „Wybrzeże” kształtuje w dużej mierze „młodzi-zdolni”, często początkujący, stawiający jedne z pierwszych kroków w pracy w teatrze — reżyserzy: Andrzej Rozhin z teatru studentckiego „Gong-2”, Lech Hellwig-Górzyński, Krzysztof Rościszewski, Ryszard Major i scenografowie: Piotr Durczewski, Elżbieta i Leon Barańscy, Andrzej Markowicz. Czasem cena tego nieuniknionego ryzyka jest wysoka jak np. w przypadku „Braci Karamazow” w reżyserii Lecha Hellwiga-Górzyńskiego. Poza Jerzym Kreczmarem i Zygmuntem Hübnerem nie pojawiały się na afiszach nazwiska tej klasy reżyserów, co Jerzy Jarocki, Andrzej Wajda, Konrad Swinarski, Bogdan Korzeniewski, a także Lidia Zamkow, Jerzy Goliński oraz z młodszego pokolenia Kazimierz Braun czy Jerzy Paradowski, żeby wymienić tylko tych, którzy w przeszłości mieli kontakt z Teatrem „Wybrzeże” i zapisali się w pamięci udanymi przedstawieniami.

A chciałoby się widzieć wśród reżyserów pracujących z zespołem teatru partnerów godnych indywidualności Hebanowskiego, choć o odmiennym temperamencie artystycznym i uobodabaniach. Zapowiadana współpraca z Zygmuntem Hübnerem przy okazji „Grzy snów” Strindberga i Jerzym Jarockim przygotowującym „Opowieść zimowa” Szekspira, pozwala spodziewać się niebanalnych rezultatów tym bardziej, że zespół Teatru „Wybrzeże” wydaje się wykaczać swoim

poziomem poza przeciętność. Kwestia to zarówno wyrazistych indywidualności aktorskich: Halina Winiarska, Halina Słojeńska, Stanisław Igar, Andrzej Szalawski, Henryk Bista, Krzysztof Gordon, jak i dużej liczby aktorów „niezastąpionych” w określonych typach ról, ze znakomicie opanowanym rzemiosłem aktorskim i charakterystycznym sylem gry, którzy z epizodów tworzą arcydzieła aktorskich kreacji. Na tle tej dobrej sytuacji uderza jak dotąd dotkliwy niekiedy brak młodych i bardzo młodych aktorek do ról dziewcząt „pierwszych naiwnych” czy współczesnych postaci tragicznych, a także operowanie zbyt częste i zbyt jednostronne wąską grupą aktorów. Rola Smierdialkowa w „Braciach Karamazow” w interpretacji Gordona, tak jak swego czasu rola Winiarskiej w „Domu otwartym”, potwierdzają słuszność zasady obsadzania aktora w bardzo zróżnicowanym repertuarze i urozmaiconych rolach co umożliwiła wszechstronny rozwój aktora i zapobiega zmanierowaniu.

Współpraca Teatru „Wybrzeże” ze Środowiskiem Literackim odgrywa ważną rolę w planowaniu repertuaru. Ostatnie sezony przyniosły premiery sztuk Brydaka, Goszczurnego, Legut-Misiernego, inscenizację pamiętników ludzi morza, była w planach repertuarowych sztuka Fleszarowej-Muskat, w tym sezonie jest „Okaryna” Goszczurnego. Sprawa na pierwszy rzut oka nie budzi wątpliwości — a jednak podejrzewać można pewne pójście na łatwiznę, korzystanie z rzeczy gotowych, autorów mających, jak to się teraz mówi „siłę przebicia”.

A przecież współpracę teatru ze środowiskiem literackim można by rozumieć inaczej — jako wyjście na przeciw autorom przez stawianie propozycji napisania sztuki, mobilizację gotowych już pomysłów, współz oddziałem Związku Literatów Polskich aktywowanie twórczości dramatycznej przez stawianie wysokich wymagań. Nie jest to kwestia jednego czy dwóch sezonów, ani sprawa jednej dyrekcji, raczej pewien punkt długofalowej polityki teatru.

Korektę do tych rozważań wprowadza fakt, że w Trójmieście rozpoczął stałą działalność Teatr Dramatyczny z siedzibą w Gdyni (dawny Teatr Ziemi Gdańskiej), grający też w Sali Gdańskiej, grający też w Sali Białej Ratusza Głównomińskiego w Gdańsku, w każdą niedzielę. W tym sezonie wystawia tam „Don Carlosa” Schillera, prócz tego w repertuarze są „Dzwony zwycięstwa” Goszczurnego, „Od wieczora do południa” Rozowa, „Leki poranne” Grochowiaka i „Iluzja” Corneille’a. Można by potraktować Teatr Dramatyczny jako miniaturowy wariant modelu Teatru „Wybrzeże”, na co wskazywałby profil repertuarowy, ale chyba nie warto, bo w moim przekonaniu Teatr Dramatyczny może i powinien określić się w życiu teatralnym Wybrzeża jako coś niepowtarzalnego i oryginalnego i jednocześnie konkurencyjnego wobec Teatru „Wybrzeże” z jednej, a Teatru Muzycznego z drugiej strony. To niewątpliwie heroiczne zadanie i trudne. Robić dobry teatr w kulturze masowej i „audiowizualnej” pod boki cyrku, rewii musicalu, show, operetki, Urszuli Sipińskiej... to heroizm — jednak wart podjęcia.

plement. W każdym razie „Teatr osobny” był z pewnością dla grających w nim aktorów znakomitą warsztatową, a dla widzów — przyjemną rozrywką. Wydarzeniem sezonu była w Teatrze „Wybrzeże” „Helena” Eurypidesa w nowym przekładzie Stanisława Hebanowskiego (zarazem reżysera spektaklu). „Helena” jest utworem trudnym, wielce filozoficznym, wymagającym dużej wiedzy czytelnika, czy też widza. Bardzo współczesny, klarowny przekład znacznie ułatwił percepcję sztuki, a kreacja Haliny Winiarskiej w roli tytułowej z pewnością wejdzie do kronik zespołu. Stanisław Hebanowski ma lekką rękę zarówno w doborze repertuaru, jak i w reżyserskim opracowywaniu sztuk. Kolejnym tego przykładem może być „Nieprzyjaciół” Juliana Greena. Z dość skomplikowanej filozofii katolickiego pisarza reżyser „wyciągnął” jasne, czyste przedstawienie o miłości, marzeniu. Jest bowiem „Nieprzyjaciół” sztuką o potęgę uczucia, namiętnościach, które ono wyzwała, namiętnościach wodzących... nawet do zbrodni. A że jest to utwór oparty nie tyle na akcji zewnętrznej, co przeżyciach bohatera, wymaga rzeczywiście znakomitego aktor-

stwa — i takie zresztą otrzymał, że wspomnę Teresę Lassotę, Stanisława Igar, Krzysztofa Gordona, czy Jana Twardowskiego.

Była jeszcze „Okaryna” Stanisława Goszczurnego (reż. Ryszard Ronczewski) — współczesna rzecz gdańskiego autora. Stwierdza on, iż „Bohaterów Okaryny” próżno by szukać między nami. Bohaterowie sztuki to postacie całkowicie zmyślone, powstały w wyobraźni — a jednak myślę, iż choć nie mają adresów i nie można ich wskazać palcem, to jednak żyją między nami”. Zamyśl dobry, niektóre sytuacje też — nie ustrzegł się jednak autor przed pewnymi mieliznami dramatycznymi, zwłaszcza w warstwie „metafizycznej”. W sumie jest to sztuka trochę jak muzyka — „lekka, łatwa i przyjemna”, no ale takie też są potrzebne w teatrze, „kompleksowo” obsługującego swych widzów... Odnajdujemy jeszcze (choć premiera przypada już na rok bieżący, ale praca nad sztuką trwała właśnie w siedemdziesiątym trzecim...) „Sen” Felicji Kruszkowskiej, niemal nieznaną autorki międzywojennego dwudziestolecia (kolejne to „odkrycie” Stanisława Hebanowskiego). Spektakl bardzo interesujący, z cudowną scenografią Mariana

Kołodzieja i rewelacyjną (a debiutującą na naszej scenie) Wandą Neumann w roli głównej.

Z licznych enuncjacji (przynajmniej ze strony zainteresowanych) wynika, iż Teatrowi „Wybrzeże” przybył w „dramacie” ostatnio konkurent: Teatr Ziemi Gdańskiej, który w tym roku zmienił nawet sztyl na: Teatr Dramatyczny w Gdyni. Ta zmiana ma pociągnąć za sobą także pochodne: stopniową rezygnację z występów w tzw. terenie (już zmniejszono je o jeden dzień w tygodniu), przedstawianie się na ambitniejszy repertuar (w planach — wprowadzić dalszych — znajduje się nawet „Wesele”, stanowiące ponoć problem możliwości każdego teatru). Cóż — mierzymy siły na zamiary, chociaż wydaje się, iż nie wszystkie z ubiegłorocznych realizacji potwierdzają ambicje tego teatru. Chociażby taka „Trędowata” Mniszkówny w inscenizacji i reżyserii Janusza Marca, wystawiona została przypuszczalnie raczej tylko ze względów fiskalnych... W każdym razie trudno przypuścić, aby TZG wystawiając tę sztukę liczył na sukces artystyczny. To co się udało Maciejowi (?) Prusowi w Kaliszu, niekoniecznie musi się udać Te-

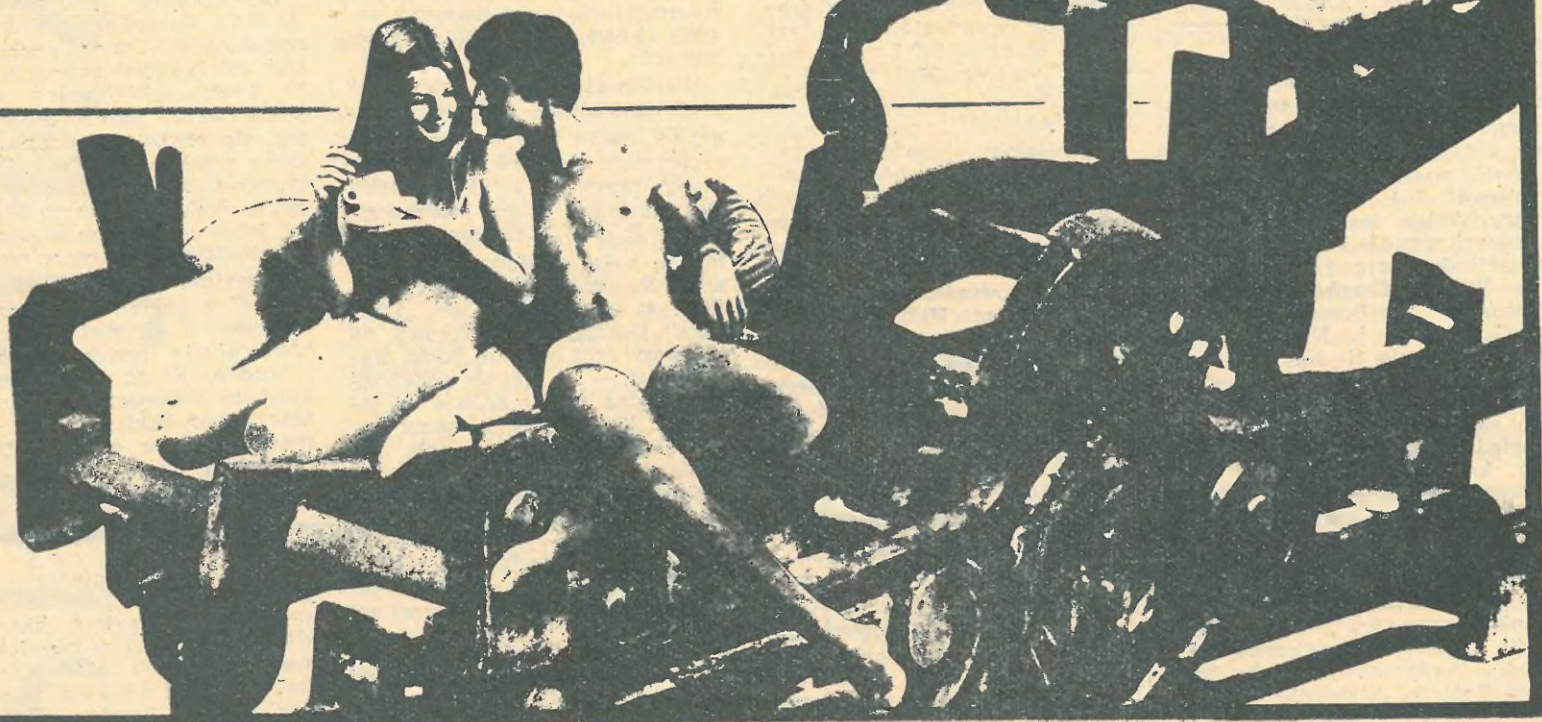
atrowi Ziemi Gdańskiej... Tym bardziej, że spektakl pełen był zgrzyw, przerysowań, aktorstwo słabe. Niedomogi w rzemiośle zawazyły także w takich spektaklach, jak „Od wieczora do południa” Wiktora Rozowa, „Don Carlos” Fryderyka Schillera. Owszem, miał ten teatr kilka pozycji zwracających uwagę: „Cudzołóstwo ukarane” Janusza Głowackiego w reżyserii Alicji Chosińskiej, „O ufnosci i kochaniu” — wypisy z Szekspira, spreparowane i podane przez Henryka Rozena, czy „Dzwony zwycięstwa” Stanisława Goszczurnego i „Trzy siostry” Antoniego Czechowa — obie w reżyserii Kazimierza Łastawieckiego.

Ciągle aktualne jest jednak pytanie, czy teatr ten nie nazbyt pochopnie rezygnuje z widza „w terenie”, nastawiając się na podobny trójmiejskiej widowni. Ta widownia ma jednak już wyrobione upodobania i nie wszystko, co jej się poda, akceptuje. Zresztą — frekwencja na widowni jest tego dość wyrazistym probierzem.

GRANICE WZROSTU

A MOŻE WZROST

GRANIC.....



Jerzy Surdykowski

Zachęcony przez doc. dr. Andrzeja Piskozuba, który w poprzednim numerze „Liter” pięknie opisał, jak to rozprzestrzenia się „filozofia granic wzrostu”, postanowiłem się przyłączyć. Przyłączyć się należy zawsze we właściwym momencie — nigdy nie za wcześnie, ale też i nie daj Boże za późno. „Surdykowski, który się do nich przyłączył” — to brzmi różnie w zależności od etapu. Należy jednak mniemać, że etap jest właściwy.

Książka prof. Meadowsa i spółki, przetłumaczona i wydana przez Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, zniknęła z księgarń jeszcze szybciej, niż ostatnia powieść pani Fleszarowej-Muskat. Z czego nie należy wyciągać wniosków niesłusznych, do jakich należałoby na przykład wniosek o wyższości twórczości prof. Meadowsa nad twórczością profesorów Secomskiego czy Pajestki — także autorów PWE. Zresztą „filozofia granic wzrostu” jest prosta i piękna — niczym sen emerytowanego nauczyciela gimnazjum humanistycznego w Galicji: świat stanowi jedną skończoną całość daną ludziom w użytkowanie. Sami decydujemy o tym, co uczynimy z jego ograniczonymi bogactwami, a przeto ze swym przyszłym losem. Po przyłączeniu, postanowiłem się zasłużyć. Jest to logiczne następstwo czynności, które powinien znać każdy przyłączający się do czego-

kolwiek w naszej skomplikowanej rzeczywistości. Udałem się więc natychmiast do mojego przyjaciela, doktora nauk technicznych, gdzie udaje się ze wszystkimi problemami o charakterze humanistycznym, a nawet ogólnoludzkim. Bowiem — jak słusznie pisze w swej ostatniej książce doc. dr Józef Bańka — żyjemy wszyscy „w świecie techniki, w którym inżynierowie muszą — pod faktyczną nieobecność humanistów — rozwiązywać niemal wszystkie problemy ludzkie.” A doc. dr hab. J. Bańka, to nie byle kto, tylko twórca nowej nauki nazwanej przezeń „eutyfroniką”. W świecie powstają podobno dwie nowe dyscypliny naukowe rocznie, a my byliśmy — od czasu powstania prakseologii — dość zapóźnieni i teraz nareszcie mamy swój wkład. A zresztą cytaty z docenta wynika z elementarnych zasad strategii przyłączania się. Jeśli ja wówczas zacytuję twórcę nowej nauki, to w roku 2000 — gdy Bańka będzie tak stary i tak zasłużony, jak dziś Kotarbiński — mogę liczyć na życzliwą wzmiankę na VII Kongresie Nauki Polskiej i wymienienie w przypisach. „Na podstawie badania ilości cytowań, można określić kryteria jakości prac naukowych” — pisze Derek J. de Solla-Price. A Derek J. to też nie byle kto, tylko amerykański naukoznawca, który wymyślił „Raport Rzymski” już w 1960 roku, kiedy to Meadows był jeszcze studentem i ani myślał, że go wydadzą w PWE.

Zapewniwszy sobie właściwe cytaty, udałem się do mego przyjaciela, doktora nauk technicznych. Potraktowany zostałem filozofią granic wzrostu o średniej mocy 50%. Jeśli amerykański farmer może sobie pędzić benzynę ze śmieci, to polski doktor nauk techni-

cznych może sobie pędzić bimber z cukru (cena cukru na giełdzie londyńskiej wzrosła ze 155 do 182 funtów za tonę — donosi „Financial Times”). Gdyby jeszcze w trakcie pędzenia udało się zastąpić cukier śmieciami, byłby to nasz polski wkład w rewolucję naukowo-techniczną i rozwiązanie trudności surowcowych. Polski farmer ma tu na pewno większe szanse, niż farmer amerykański. Związka, że choć ustępujemy Ameryce w ilości wynalazków, to zdecydowanie przewyższamy ją w ilości doktorów habilitowanych. Dlatego też bimber był habilitowany również. Habilitacja odbywa się przez dwukrotną destylację i proces starzenia przy pomocy drewna dębowego, przez co samogon habilitowany dorównuje winiakowi mieszanemu, a może nawet go przewyższa. W każdym razie przewyższa go filozofią. Tak więc konsumując filozofię granic wzrostu (idee także mogą być przedmiotami konsumpcji — patrz Gillo Dorflès „Człowiek zwielokrotniony”, PIW 1973) rozmawialiśmy jak przystało czytelnikom poważnej literatury krajowej i zagranicznej. W każdym razie czytelnikom tytułów. Czytelnictwo tytułów stanowi zdrową reakcję na niepomaganie wzrastającą liczbę przeróżnych publikacji i jako takie jest oczywistym dowodem na istnienie granic wzrostu ludzkich możliwości intelektualnych (inteligentnie czytając tytuły wie się dostatecznie dużo; wszyscy to robią, tylko nikt się nie chce przysnąć).

Tak więc zaczęliśmy od tego, że już wspomniany Derek J. dużo wcześniej stwierdził, że granice wzrostu muszą być, tylko nie nazywał tego „Raportem Rzymskim”, ale „stanem nasycenia nauki”. Wykazał mianowicie, że im bardziej nauka się rozwija, tym trudniej z niej coś wycisnąć, tym większe nakłady potrzebne są dla coraz drobniejszych odkryć. A więc i cała ta rewolucja naukowo-techniczna też by musiała powoli przyhamować. Derek J. przewidywał to za jakieś kilkadziesiąt lat, a tymczasem już dziś znam kilka naszych uczelni wyższych, które stan ów osiągnęły. Panuje tam bowiem tak permanentna niemożność połączenia z bałaganem, że choćby Ministerstwo Nauki, Techniki itd. nie wiem jak sypało dochodem narodowym, to nic się już nie da zrobić. Kontynuując, mówiliśmy bardzo inteligentnie i ze zjawstwem o wcześniejszych pracach Forrestera, o „Raporcie Mentońskim” podpisanym przez 2200 uczonych o „Raporcie Brooksa”.

Wszystkie te prace i dokumenty opublikowane i rozpowszechniane wcześniej zawierały stwierdzenia zupełnie podobne, jak rewelacje Meadowsa and co. Tylko jednego im brakło, dlatego minęły nie zauważone przez milionowe rzesze czytelników tytułów. Komputera im brakło! Ważne jest nie to, co się mówi, ale kto mówi. Gdy całkiem rozsądne wnioski głosisz jako jednostka (nawet habilitowana) czy jako zespół, nic z tego. Dopiero gdy powiesz „tak wyliczył komputer!” — powodzenie murowane. I to nie każdy komputer, bo autorytet ma dopiero IBM 370, ostatecznie Honeywell. Podobnie sprzedaje się dziś bzdury i to niektóre z dużym zyskiem. Tak więc stanęliśmy na komputerach, komputer jest bowiem jednym z najbardziej efektywnych przedmiotów charakterystycznych dla współczesnej cywilizacji konsumpcyjnej. Tak jak samochód i goła baba. Nie ma człowieka bardziej opętanego przez przedmioty, niż informatyk. W pracy myśli o najnowszym modelu komputera, w domu o najnowszym modelu samochodu. Albo odwrotnie. Mój przyjaciel, doktor nauk technicznych, myślał o Fiacie 125p, albo o Volkswagencie 1303. Są to marzenia na miarę naszego dynamicznego rozwoju, ale nie na miarę filozofii granic wzrostu. Próbowaliśmy go namówić na coś tańszego, na rower, albo ostatecznie na Syrenę 105. Do syrenki zawsze coś się znajdzie lub upędzi ze śmieci czy ze złomu, do fiata i volkswagena, już nie. „Sądźmy, że to zaniedbywanie rozwoju kultury duchowej dla rozwoju kultury materialnej w ostatnich stuleciach nie było koniecznością dziejącą, że opanowanie przyrody mogło być pojęte innymi drogami. Przybrać inne formy techniczne i ekonomiczne” — próbowałem ratować sytuację cytatem z Floriana Znamieckiego, który w swej książce „Ludzie terazniejsi i cywilizacja przyszłości” wymyślił coś w rodzaju „Raportu Rzymskiego” jeszcze wcześniej od Dereka J., bo w 1934 roku. Florian Znamiecki, to uczony polski, a w dodatku przedwojenny, więc dość sztychów, bacność, na prawo patrz!

Nie uzyskawszy jednak zrozumienia w nauce mimo argumentów pryncypialnych, a nawet przedwojennych, udałem się do praktyki. Czyli do dyrektora pewnego dużego przedsiębiorstwa — używając terminologii GUS — przemysłu elektromaszynowego. Mój przyjaciel, dyrektor naczelny, był zajęty, ponieważ myślał. Wielokrotnie bywałem odprawiany spod gabinetów pod różnymi pretekstami, a to że dyrektor na konferencji, a to na zakładzie.

Pod pretekstem myślenia nie byłem odprawiony nigdy, więc był to ewenement o znaczeniu filozoficznym. I tak też było w istocie. Mój przyjaciel myślał o tym, jakby tu zdobyć opinię człowieka dynamicznego. Opinia człowieka dynamicznego jest dziś bowiem jeszcze lepiej widziana, niż niegdyś opinia człowieka zaangażowanego. Trzeba wiedzieć, jakie opinie są dobrze widziane i jakie się aktualnie nosi do jakiego garnituru. „Złamałem przepis, ale uratowałem miliony” — powiedział niedawno dziennikarzowi pewien dyrektor naczelny i nie tylko zyskał opinię dynamicznego, ale nawet zdjęcie w „Polityce”. Dlatego należy przypuszczać, że łamanie — aby umiarkowane i dla dobra sprawy — jest dziś na czasie. Przyłącz się do łamania! — doradziłem przyjacielowi. Na przykład z poniewierającego się w twoim zakładzie złomu, czyli z tak zwanych zapasów materiałowych, zrób fotele bujane dla emerytów, co będzie miało wpływ dodatni na jakość życia. Odpowiedź mojego przyjaciela była jednak

negatywna. Przekucie zapasów na fotele jest niemożliwe, ponieważ byłyby one zbyt masywne, by pobudzała się babcia, o sierocie Marysi nie mówiąc. Po drugie, im cięższe zapasy, tym łatwiej wykonać plan. „1 procent oszczędności materiałowych w skali kraju umożliwia wzrost łącznych dochodów ludności o 2%, a płac o 3%” — podaje „Życie Gospodarcze”, rzekłem. Redaktor powinien wiedzieć, że u nas „Życie Gospodarcze” sobie, a życie gospodarce sobie — odparł mój przyjaciel. A poza tym, dlaczego ograniczono mi prawo do służbowego auta? Przeto z praktyką też nie znalazłem wspólnego języka. Będę musiał namówić premiera Jaroszewicza, albo choćby wojewodę, aby wydał specjalny przepis przeznaczony wyłącznie do łamania. Za każde złamanie przysługiwałaby opinia człowieka dynamicznego, a może nawet twórczego, z wpisaniem do akt.

W ten sposób nareszcie rozwiązaliśmy problem samopoczucia administracji przemysłowej. Rozmyślając o tym, jak dostać się do wojewody, zostałem zaczepiony przez osobnika od lat powszechnie znanego z przebywania w okolicy sklepów PKO. Propozycja zakupu bonów nie może już dziś zaskoczyć świadomego obywatela, skoro spotkać ją można w każdej rubryce drobnych ogłoszeń. Filozofia ogłoszeń drobnych nie jest niestety filozofią granic wzrostu. „Zajmujemy się głównie pomnażaniem dóbr, nie zastanawiając się nad pomnażaniem wartości” — zacytowałem cinkciarzowi profesora Glenna Seaborga, który jest nie tylko laureatem Nobla, ale i doradcą prezydenta USA. A kolega po fachu Henry Kissingera wie co mówi! Wartość Fiata 127p na giełdzie wzrosła ze 175 na 180 tysięcy, mimo podwyżki cen benzyny — odparł filozof ogłoszeń drobnych i ulotnił się. Pozostała mi więc na długi zimowy wieczór tylko lektura pisma „Scientific Worker”, które swą polemikę z profesorem Meadowsem zatytułowało „Granice wzrostu, czy wzrost granic?” I otóż to. Wprawdzie pismo niegłupio próbuje wykazać, że postęp nauki i techniki może przesunąć granice dziś uważane za nieprzekraczalne, ale filozofia tu inna. Każdy bowiem ma nadzieję, że — choć istotnie są tam jakieś granice wzrostu i choć może nie da się ich przeskokować — to jednak tę część granic, która jego osobście dotyczy, będzie można dynamicznie przesunąć do przodu, że ho, ho! I to bynajmniej nie postępowaniem nauki, bo ten pracochłonny i niełatwy, lecz chceniem samym. Ot i filozofia.

Filozofię granic wzrostu pięknie się nosi, bo pasuje do sylwetki nowoczesnego czytelnika tytułów, niby opinia jednostki dynamicznej do dyrektora, a model 1303 do mojego przyjaciela doktora nauk technicznych. Z czym innym gorzej. Przeto dochodzę do wniosku, że zarówno moje przyłączenie się, jak i wznowienie z tej okazji „zapisów technologicznych”, które niegdyś z niejakim powodzeniem uprawiałem na łamach „Głosu Wybrzeża”, są przedwczesne. Co mi się zresztą zdarza nie po raz pierwszy.

KODYFIKACJA PISOWNI KASZUBSKIEJ

Jesienią ub. r. na III Spotkaniu Literatury Kaszubsko - Pomorskiej we Wdzydżach ustalono, że należy powrócić do problemu pisowni kaszubskiej, dyskutowanego w końcu lat pięćdziesiątych, a następnie zaniechanego. Ustalenia sprzed kilku lat okazały się bowiem niedostateczne i — w praktyce wydawniczej — brak opracowania pisowni oraz podstaw gramatyki szalenie utrudnia pracę. Publikacje kaszubskie drukowane są w różnych pisowniach, co nie tylko komplikuje zadanie edytorom, ale także ich odbiór czytelnikom.

Na wspomnianym Spotkaniu gotowość działania w kierunku ujednolicenia pisowni zgłosił Oddział Gdański ZLP. Staraniem zarządu Oddziału ZLP, w porozumieniu z Oddziałem Gdańskim ZK-P, doszło też 24 lutego br. do spotkania w Klubie Literatów w Gdańsku, w którym wzięli udział pisarze kaszubscy i językoznawcy z Uniwersytetu Gdańskiego. Zebraniu temu, które otworzył prezes oddziału ZLP Stanisław Hebanowski, przewodniczył Zbigniew Zakiewicz. Referentami byli: Wojciech Kiedrowski — poinformował on o stanie twórczości kaszubskiej i Leon Roppel,

który przypomniał, w rozwoju historycznym, dotychczasowe działania i dokonania w zakresie kaszubskiej pisowni.

Efektem całodziennych obrad był wybór komisji kodyfikacyjnej, w skład której weszli: dr Edward Breza i dr Jerzy Treder z Uniwersytetu Gdańskiego, pisarze kaszubscy — Leon Roppel, Jan Trepczyk i Aleksander Labuda oraz redaktor wydawnictw z ramienia ZG ZK-P Wojciech Kiedrowski. Ustalono, że konsultantem komisji będzie ks. dr Bernard Sychta, autor „Słownika gwar kaszubskich”. Komisja podjęła działanie z ramienia Zarządu Głównego ZK-P i Oddziału Gdańskiego ZLP, Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko - Pomorskiej w Wejherowie zaopiniowała komisji swój lokal, księgozbiór i pomoc techniczną.

Do 15 czerwca br. członkowie komisji kodyfikacyjnej mają przygotować projekt pisowni, który zostanie rozstrzygnięty zainteresowanym z prośbą o uwagi. Po otrzymaniu tych uwag i uwzględnieniu ich, w takim zakresie w jakim zostanie to uznane za słuszne, będzie opracowany ostateczny tekst pisowni do druku. Decyzje komisji będą wiążące zarówno dla wydawców jak autorów. W kolejności dalszej ta sama komisja przystąpi do opracowania podręcznego, użytkowego słownika polsko-kaszubskiego. (tr)

ROZWAŻANIA NAD SZKŁANKĄ KLUBOWEJ KAWY

Stefan Zabieglik

O d kilku już lat mówi się, że działalność klubowa zmierza w kierunku coraz wyraźniej rysującego się regresu. Znane są powszechnie takie fakty, jak duża rotacja pracowników branży kulturalno-oświatowej, czy małe zadowolenie z własnej pracy. Anachroniczny model działalności kulturalno-oświatowej nie uwzględnia wielu przemian, które zaszły w sferze możliwości korzystania z dóbr kulturalnych, dzięki rozwojowi technicznych środków przekazu i informacji oraz podniesienia się ogólnego wykształcenia i poziomu naszego społeczeństwa. Wszelkie wytyczne, regulaminy i założenia programowe oferują słowami: „rozbudzać”, „propagować”, „wyzwalać twórcze...” itp. A zajmować się tym „rozbudzaniem” mają „fachowe” siły kaowców — głównie absolwenci studiów kulturalno-oświatowych (z reguły niedoszli kandydaci na studia wyższe), którzy uzbrojeni w oręż wydawnictw typu CPARA szybko zaczynają się orientować, że teoria swoje, a praktyka swoje. W rezultacie takiej eksperyencji, jedni przyjmują styl pracy charakterystyczny dla kaowców wczasowych (wieczorek zapoznawczy, wieczorek poze gnalny, wycieczka itp.), inni — sfrustrowani — zmieniają pracę. Trafiają się inteligentni fanatycy, których nie zrażają niewielkie uposażenia. Ci walą głową o mur, komplikują swoje życie osobiste, narażają się na ustawiczne kłopoty i problemy. Czasem dostaną jakiś medal lub odznakę...

Metody pracy naszych klubów wypracowane zostały na początku lat pięćdziesiątych — wtedy, gdy nie było jeszcze tzw. rewolucji technicznej i związanej z nią ekspansji środków masowego przekazu i informacji. Była to epoka robienia gazetek ściennych informujących o wzrastaniu krzywych, organizowania akademii ku czci i programów estradowych odważnie krytykujących negatywne postawy społeczne. W większości świetlic, w tym okresie, młodzież robiła małe makiety Pałacu Kultury i organizowała zebrania, na których można było wykazać swoją zaangażowaną postawę. Od budowa kraju, stawianie zrębów wielkiego przemysłu nie sprzyjały subtelnyemu kontemplacjom prowadzonym z użyciem wyrafinowanych środków formalnych. Wielkie idee musiały dotrzeć do jak największej ilości ludzi, nierzadko prostych i nieoświeconych. Załatwiano to piosenką o murarzu i satyrą o bikiniarzu. Ale okazało się potem, że w tym zapędzie popełniono trochę za dużo błędów i trzeba było wszystko na powrót przeanalizować i rozruchować. Zmienił się również styl pracy placówek kulturalno-oświatowych. Skończyła się epoka świetlic, a zaczęła się era klubów. Wzorców działania zaczęły teraz dostarczać kluby studenckie.

Ich aktywność mierzona była atmosferą politycznych dyskusji i ambitnością zespołów (głównie kabaretów). Zaprzeszono sporów o kolor skarpetek i zaczęto słuchać literackich piosenek.

Tak w metaforycznym skrócie można przedstawić tworzenie się modelu działalności klubowej, który — jak wspominałem na wstępie — zaczyna być już anachroniczny, ale obowiązuje do dziś. Zajmijmy się więc jego, przynajmniej częściową, analizą.

W przeważającej mierze praca klubów opiera się na dwóch rodzajach działalności: prowadzeniu sekcji zainteresowań i organizowaniu imprez. To pierwsze jest zazwyczaj trudne (a w przypadku placówek zamkniętych szczególnie), bo wymaga chętnych, prowadzącego, bazy lokalowej i technicznej. To też mało który klub może poszczycić się dobrze działającymi sekcjami zainteresowań. W Gdyni są podobno 43 placówki typu klub lub świetlica, lecz nie jakoś nie słychać o pracy takich zespołów. Z gdańskich klubów wymienić można tu chyba tylko „Lastadię”, która — gdyby nie fatalne usytuowanie — mogłaby odgrywać jeszcze większą rolę; na razie ilość zespołów tam działających jest niewiele mniejsza, niż ilość widzów. Na marginesie uwaga: nie wdaję się w kłopoty osobiste kierownika „Lastadii”, pragniemy zauważyć, że jego „małżeństwo” z klubem zostało przez żonę potraktowane jako jaskrawy objaw bigamii, co sprawiło, iż może on już wracać do domu, o której chce...

Znacznie częściej powtarzają się w planach pracy klubów takie formy pracy jak organizowanie prelekcji, odczytów, występów, wieczorków tanecznych i spotkań z ciekawymi ludźmi. Prelekcje i odczyty nie cieszą się już prawie żadną popularnością i zazwyczaj są nieudane. Z formy tej powinno się już chyba zrezygnować. Konkurencja telewizyjna jest tu druzgocąca. Na dodatek kadra prelegentka, mowa głównie o tzw. prelegentach „zawodowych”, reprezentuje żałosny poziom. Gdzie im tam do erudycji i błyskotliwości Janiszewskiego, Rakowskiego czy Zina, których — aby posłuchać — wystarczy przekręcić pokrętko telewizora. Autentyczni „ciekawi ludzie” są przeważnie zaganiani i nie mają czasu; gdyby chcieli objeżdżać kluby, przestaliby być tacy „ciekawi”. Jeśli chodzi natomiast o występy, przeważnie drogie to najczęściej są one pod wezwaniem jeszcze jednej muzy naszych czasów — Chałtury. Różne składanki estradowe, prezentowane przez dorabiających sobie w ten sposób co słabszych aktorów, są z reguły jeszcze gorsze, niż osławione „Muzyki lekkie, łatwe i przyjemne” czy z „Wizyta u was”. Wydaje się, że dłuższe argumentowanie faktu przeżycia się wymienionych wyżej form, co jest spowodowane przejęciem ich przez TV, mija się z celem, gdyż są to sprawy oczywiste. Pozostaje zatem ostatni rodzaj imprez: wieczorki taneczne. Ta forma pracy co cieszy się największą popularnością. I nieważne nawet, czy przygry-

wa da tańca zespół muzyczny, szafa grająca czy prywatne kombajny elektroakustyczne disc-jockey'ów — frekwencja zawsze pewna.

Powie mi ktoś, że jednak pomimo tego mojego rozdzielania szat ludzi do klubów przychodzą i przychodzić będą. I to jest prawda, ale twierdzę, że coraz mniej ich przychodzi na organizowane dla nich imprezy, że coraz mniej przychodzi tych, którzy chcieliby spędzać swój czas wolny w sposób aktywny. Przez większość klubowiczów kluby traktowane są jako kawiarnie. I w większości takich lokali obowiązuje kawiarniany rytuał: rozmowy o niczym, lustrowanie dobrze znanych ścian i wchodzących gości, wystukiwanie palcem po blacie stolika, zabijanie czasu. Wykonuje się tu różne pozorne gesty. Kiedyś damy robiły to przy pomocy wachlarza, teraz zapala się co chwilę papierosa. Panowie tak jak dawniej podkrecają wasa lub podniecają się bilardem elektrycznym. Górą ten, kto ma fajne ciuchy i opowiada śmieszne dowcipy. Są to ludzie, którzy na coś czekają. Większość nie wie nawet dobrze, na co. Dominuje stan wolny. Pary małżeńskie należą do przypadków sporadycznych. Ci, co mają autentyczne zainteresowania, zbierają się po domach. Oni mogliby wnieść ożywienie w naszej pracy, ale jesteśmy dla nich zbyt słabymi partnerami (my — to znaczy organizatorzy).

Minęła pora odczytów, teraz trzeba by się pokusić o jakiś intelektualny happening, ale kogo z nas na to stać? Wydaje mi się, że idea klubu nie powinna polegać na organizowaniu czasu ludziom, którzy nie wiedzą, co z tym czasem zrobić, lecz na skupianiu tych, którzy mają tego czasu ciągle za mało. A to jest trudne, bo trzeba być jednym z nich. Gdyby to wyszło, to i ta nudząca się reszta więcej by na tym zyskała, niż teraz. Wchodzimy w etap rozleniwiającej konsumpcji i dobrze byłoby, gdybyśmy ustrzegli się błędów wysokoprzemysłowionych społeczeństw Zachodu. Wszystko po to, by nasze dzieci lub wnuki nie zaczęły palić naszych samochodów, na które pracowaliśmy całe życie. Nie sądzę, żeby słowa te brzmiały tak patetycznie, jak to niektórzy twierdzą.

Sprawa jest zbyt poważna, żeby ją bagatelizować. Oczywiście powaga ta wymaga szerokiego frontu działania i nie ludzę się, że stworzą go jedynie pracownicy placówek ko. Ich możliwości są nawet mniejsze, niż się to na pozór wydaje. Niemniej jednak, jeśli mamy zamiar podjąć batalię o wcielenie w życie ideałów socjalistycznego humanizmu, a wiele wskazuje na to, że taka batalia już się rozpoczęła, to zająć się również musimy na nowo i dogłębnie analizą działalności tzw. placówek kulturalno-oświatowych (już sama nazwa jest anachroniczna). O ile mi wiadomo, nie ma obecnie jasnej koncepcji, co do modelu działania w tej sprawie. „Raport w sprawie kultury polskiej” wszedł w sferę publicznej dyskusji, ale nie znaczy to chyba, że należy czekać na gotowe warianty rozwiązań.

SEN O POLSCĘ

W „Śnie” Felicji Kruszeńskiej pada taka kwestia:

„— Czy panowie mówili o Polsce?”

— Nie, mówiliśmy o polityce”.

Program przedstawienia prezentuje nam autorkę sztuki, zapomnianą po blisko półwieczu (premiera w 1927 r.), nieomal jako rewolucjonistkę, tajemniczą działaczkę podziemia. Jak było naprawdę, jak i dlaczego umarła, dziś już chyba nikt nie rozstrzygnie. Także chyba dlatego, że twórczość jej i postać są typowym okazem „pisarza dla polonistów”. Zapomnianego przez czytelnicy ogół, wdzięcznego pretekstu prac seminaryjnych. Tymczasem dzieło jej, ukazane przez teatr, jest dziełem kobiety światowej, wybornie znającej poetyckie mody swoich czasów. Jednak zrzeczność i niezaprzeczalna literacka kultura Kruszeńskiej nie wytrzymały próby czasu. Premiera ta, długo oczekiwana, przypomina jedną z wiadomości, jakimi tak chętnie karmią nas gazety. Oto gdzieś w Londynie, za ileś tam funtów sprzedano na licytacji kawałek tortu weselnego królowej Wiktorii.

Tekst przedstawia bardzo dokładną kalkę z „Wesela” (schemat fabularny, a nawet magiczna funkcja gubionych lub traconych przedmiotów), „wzbogaconą” o elementy różnych poetyk. Wzięła wiele Kruszeńska z symbolizmu, ekspresjonizmu... wpływów tu wiele, rozpoznajemy postaci, motywy, sytuacje. Walorem tej sztuki jest efektowne i paradoksalne przedstawienie zdrady i zia tkwiącego w nas samych, może dążenia do samozniszczenia. A w przeniesieniu na plan ogólnonarodowy: postawienie problemu wewnętrznej podłości, a nie zewnętrznej wroga, jako przyczyny zła. Czarne Wojska zagrażające narodowi ukryte są pośród nas samych: taką traszliwą prawdę odkrywa bohaterka sztuki.

Przedstawienie „Snu” dotknięte jest przerostem teatralnej formy. Wyraża to się przede wszystkim w scenografii Mariana Kołodzieja, który zbudował na scenie całe skomplikowane światy. Odpowiada temu pewna stylizacja na ekspresjonizm, podkreślenie koszar, nierealności i grozy wydrzeń. Proste stosunkowo (w teatrze) sytuacje tu mnożą się, „obrastają” w gęsty. W obrazie II (kupna kwiatów) dziewczynka rozmawia kolejno z czterema kobietami. Ukazują się one z kłódków ustawionych w kształt domów. Dialog pełen jest pauz, spojrzeń, wzgardliwych min, wstydu, co sugeruje dwuznaczność, niepewny charakter wydrzeń. Każdorazowo też kończy się rozpięciem parasolki i ukryciem się za nim rozmówczyni. Ta początkowo dramatyczna scena trwa, nabieście powoli opada.

Przepych formy z koszmarmu robi zbyt barwną widowiskową. He-

banowski stosuje powtórzenie sytuacji scenicznej, która przez zmianę elementów odkrywa inne znaczenie. W obrazie VII (scena na balu) polonez, najpierw wspaniały, zmienia się w upiorny. Inny rytm muzyki, zmienione światła niweczą poprzednie wrażenia świetności. Ujawniają nicość i rozkład. Nie brak w tym przedstawieniu scen równie pięknych i efektownych, a jednak trzeba powiedzieć, że wątkość tekstu nie może znieść tak skomplikowanej i bogatej formy scenicznej.

Przy tym reżyser nigdy dotąd w swoich scenicznych realizacjach nie rozbił pudełka sceny. Nigdy dotąd nie posługiwał się chwytami publicystycznymi. Teatr jego raczej starał się dawać katharsis, niż agitować. Tymczasem w obrazie VI (przed pomnikiem Księcia) krata oddziela widownię od pomnika, za nią jest Dziewczynka (Wanda Neumann) i Wódz Czarnych Wojsk (Stanisław Igar). Pijany, bierny i skorumpowany tłum wybiega z widowni, spośród nas. Hebanowski ukazuje nam zwierciadło podłości.

Co zaś do Księcia Józefa, to mamy świeże wzory patriotyzmu, bolesniejsze śmierci, inne pomniki (niż ukazana na scenie przez Kołodzieja kopla neoklasycystycznego dzieła Thorvaldsena). Istotnej zmianie uległo natomiast zakończenie. Dziewczynka u autorki nie chce „stracić” momentu triumfu Księcia, przerwać rzeczywistości snu. Tu — tętent kłosego konia oddala się, zamiast się przybliżyć. Postaci kreca się w chocholim tańcu. Dziewczynka pada bezwładnie, zamiast po prostu się obudzić. Hebanowski chce

jakby uczynić wielką sztukę o Polsce z tekstu, który ujmował ten temat w cudzysłowie marzenia-snu „prawie dziecka”. Tymczasem perspektywa widzenia zdarzeń i postaci, naturalna u pensjonarki, staje się fałszywa. „Poetyckość” przestaje być rysem prawdopodobieństwa psychologicznego postaci, staje się skłonnością autorki. Niemniej pozostaje jeszcze, kto wie, czy nie najciekawszy, konflikt między prawdą wewnętrzną, a racjami zdrowego rozsądku. To bolesne napięcie, szukanie prawdy i lęk przed nią oddała świetnie Wanda Neumann, trudną rolę Dziewczynki, debiutująca na scenie Teatru „Wybrzeże”. Ta młoda aktorka, znana już publiczności Wybrzeża z filmów, potwierdziła swoją wysoką klasę. Jest to rola prowadząca, bowiem wszyscy inni znakomici aktorzy występują tym razem w epizodach. Postać Dziewczynki, jej wewnętrzna miłość, prowadzi całą akcję. Co więcej, jest ona postacią-medium ujawniającą postawy i reakcje. Jeśli wolno uciec się do porównania, tak znanego w naszej literaturze, to „płynie przez nią strumień” „...problemów. Wymienić trzeba jeszcze trudną, bo również bezustannie uczestniczącą w akcji, a prawie (poza jednym zdaniem) niemą postać. To Zielony pajac, gra go Wiesław Nowicki.

EWA MOSKALÓWNA

Felicja Kruszeńska: „Sen”. Teatr „Wybrzeże” 26 I 1974. Reżyseria — Stanisław Hebanowski, scenografia — Marian Kołodziej, muzyka — Andrzej Głowiński, układy taneczne — Barbara Bittnerówna.

ZAPISKI WYDAWNICZE

ZBIGNIEW NOWAK, DAMROKA MAJKOWSKA, MARIAN PELCZAR: Książka polska w dawnym Gdańsku. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gdańsku, Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich Oddziału „Trójmiasto”. Gdańsk 1974, s. 104, ilustr.

Bardzo ładnie wydana książka zawiera referaty wygłoszone na sesji zorganizowanej w 1972 roku w Gdańsku. Zbigniew Nowak omawia „Miejsce piśmiennictwa polskiego w kulturze Gdańska do 1793”, Damroka Majkowska przedstawia „Książki i czasopisma polskie w Gdańsku w okresie zaboru pruskiego”, a Marian Pelczar rozważa temat: „Książka polska obrotowa polskość w Wolnym Mieście Gdańsku”. Umieszczone w książce teksty w sumie dają przejrzysty i rzetelny obraz roli książki polskiej w Gdańsku na przestrzeni dziejów. Liczne, bardzo dobrze dobrane ilustracje. Omówimy osobno.

KARL DEDECIUS: Polacy i Niemcy. Posłannictwo książek. Przetłóżyli: Irena i Egon Nagano wscy, przedmowę napisał Egon Nagano wski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, s. 142 + tabl. ilustr., cena 25 zł.

Zbiór pięknie napisanych szkiców poświęconych zbliżeniu polsko-niemieckim w literaturze i poprzez literaturę, od średniowiecza po współczesność. Interesujący jest szkic o recepcji

współczesnej poezji polskiej w NRF. Zdaniem Dedeciusa „...poezja stała się w sercu Europy pierwszym terenem szczytowego i intymnego spotkania między Wschodem a Zachodem, terenem porozumienia, dokonującego się bez rozgłosu, lecz z najlepszym skutkiem”.

MARIAN H. SEREJSKI: Naród a państwo w polskiej myśli historycznej. Biblioteka Myśli Współczesnej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1973, s. 346, cena 25 zł.

Znakomita książka profesora Uniwersytetu Łódzkiego i Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, autora m. in. dwutomowej pracy „Historia o Historii” oraz rozprawy „Europa a rozbiory Polski”. Książka składa się z czterech rozdziałów: „Oświecenie stanisławowskie i walka o «cudotwórczą moc» rządu”, „Romantyczna rewolucja przeźroczliwa”, „Antynomie historyków w dobie pozytywizmu” i „Reaktualizacja romantycznej wizji przeszłości. W drodze ku syntezie”.

JAN TYSZKIEWICZ, KAROL MORAWSKI: Krzyżacy. Wyd. II poprawione. Biblioteka popularnonaukowa „Światowid”. Książka i Wiedza, Warszawa 1973, s. 372, ilustr., cena 24 zł.

Popularna historia Zakonu Krzyżackiego, od powstania do jego likwidacji nad Bałtykiem w XVI wieku i stopniowego upadku w XX wieku. Liczne ilustracje i mapki. Książka przeznaczona raczej dla młodzieży.

EWA RZETELSKA-FELESZKO: Dawne słowiańskie dialekty województwa koszalińskiego. Najstarsze zmiany fonetyczne. Polska Akademia Nauk, Komitet Słowiańszczyzny. Monografie slawistyczne nr 24. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973, s. 310, cena 45 zł.

Rozprawa doktorska z zakresu onomastyki, prezentująca charakterystykę dawnych słowiańskich dialektów na obszarze obecnego województwa koszalińskiego. Autorka ukazuje miejsce dialektów pomorskich tego obszaru wewnątrz językowej grupy lechickiej. W obszernym wstępie autorka przedstawiła ogólną charakterystykę badanego obszaru, charakter źródeł i metodę opracowania. Praca specjalistyczna.

OCEANOLOGIA, nr 2. Polska Akademia Nauk, Komitet Badań Morza. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Warszawa — Gdańsk 1973, s. 246, cena 50 zł. Redaktor: Stanisław Szymborski.

W tomie umieszczono trzy rozprawy, m. in. Jerzego Olszewskiego „Analiza warunków widzialności podwodnej w morzu na przykładzie Zatoki Gdańskiej” i Stanisława Rakusa-Suszczewskiego „Wyprawa polskich hydrobiologów na Antarktydę”. Poza tym recenzja pracy Drueta i Kowalskiego „Dynamika morza”, pióra Mieczysława Łaski oraz sprawozdanie z działalności Komitetu Badań Morza PAN w latach 1970—1971.

NAUKA POLSKA. Czasopismo poświęcone zagadnieniom rozwoju nauki w Polsce. Polska Akademia Nauk. R. XXI, Warszawa 1973, nr 6, s. 204, cena 30 zł. Redaktor: Witold Nowacki.

W numerze opublikowano m. in. teksty referatów przedłożone II Kongresowi Nauki Polskiej: Mieczysława Jagielskiego „Wzłowe, perspektywiczne problemy społeczno-ekonomicznego i przestannego rozwoju kraju”, J. Szczygielskiego „Nauka a rozwój społeczny — gospodarczy kraju”, Witolda Nowackiego „Nauka a przestrzenny rozwój kraju” i Władysława Markiewicza „Humanistyka w służbie społeczeństwa socjalistycznego”.

ANTONI SŁONIMSKI: Obecność. Czytelnik, Warszawa 1973, s. 204, cena 15 zł.

Nowy zbiór felietonów, opublikowanych w latach 1971—1972. Dowcipne, niekiedy złośliwe traktowanie o ważnych problemach naszego życia. Książkę czyta się jednym tchem! (T. B.)

KSIĄŻKI NADESŁANE

KOSZALIŃSKI OŚRODEK NAUKOWO-BADAWCZY

Produkcja roślinna w województwie koszalińskim ze szczególnym uwzględnieniem uprawy ziemniaka (s. 116, cena 10). Praca zbiorowa.

POLSKIE WYDAWNICTWO MUZYCZNE

Romain Rolland, Życie Beethovena (s. 102, cena 15). Biografia, wyd. III.

PAŃSTWOWA WYŻSZA SZKOŁA MUZYCZNA W GDAŃSKU

Teresa Blaszkiewicz, Aleatoryzm w twórczości Witolda Lutosławskiego (s. 134). Prace specjalne nr 3. Anna Żukowska, Forma sonatowa w symfoniach Dymitra Szostakowicza (s. 142). Prace specjalne nr 4. Zeszyty Naukowe, t. XII (s. 226). Rocznik Informacyjny. Rok akademicki 1972—1973 (s. 304).

MKL FORUM

W numerze 7 „Zwrotnicy” (Kraków 1926) ukazał się głośny artykuł Przybosi „Chamuly poezji”. Neologizm „chamuly” był rozumiany w semantycznych sensach jako: 1 — chamstwa, 2 — hamulce, parafraza na temat sylwetki podmiotu lirycznego (sylwetka światopoglądowej). Tytuł niniejszego artykułu umyślnie nawiązuje do kategorii Przybosiowej, dając jej rozczarowanie „hamulcowe”. Mówiąc współcześnie: rzecz będzie o terrorze jako kategorii metodologicznej krytyki literackiej.

W „Literaturze” (nr 44/90, 1 XI 1973) ukazała się recenzja Mariana Placheckiego ze znakomitej książki Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza „Rygor i marzenie”. Recenzent zastosował jednak wobec tej książki metodę tak terrorystyczną, że nie do przyjęcia. Narzuca to już sam tytuł: „Dajmy spokój Peiperowi”. Niestety, Plachecki zapomina, że to niemożliwe.

Książka Waśkiewicza jest niewątpliwie książką trudną, do jej odczytania potrzebny jest solidny klucz: wiedza. Nie wejdzie się w kontakt z problemami pracy Waśkiewicza, nie znając zagadnień. Książka ta jest propozycją, opowiada się wobec pewnych zjawisk, których nieznanie uniemożliwia kontakt z jej problematyką. „Rygor i marzenie” jest na domiar znakomitym podręcznikiem erystyki, sztuki prowadzenia polemiki, i tu mógłby się czegoś Plachecki nauczyć. Jak bowiem można zarzucać Waśkiewiczowi błędy stylistyczne, dokumentując zarzut cytatem nawet laikowi podsuwającym podejrzenie o redakcyjne „wycięcie” fragmentu. Zarzuca Plachecki Waśkiewiczowi, że problemem interpretacyjnym swej pracy zrobił „wykrzywanie wpisanego w wiersze stosunku autora do rzeczywistości... jako materiału do poezji”; ależ to jest problem teorii literatury i interpretacji dzieła sztuki pisarskiej w ogóle (polecam pracę J. Kmitę: „Z metodologicznych problemów interpretacji humanistycznej”)! Mało tego: jest to jedyna kategoria interpretacji marksowskiej. Wydaje się też, że „gra pomiędzy przynależnością pokoleniową a strukturą psychiczną twórców” jest po prostu zjawiskiem pospolitym, dawno już sklasyfikowanym. Prawda jest, że procesy te są trudno uchwytne, ale nie znaczy to, że nie istnieje socjologia literatury i psychologia aktu twórczego. Obawiam się, że wystąpienie Placheckiego nie jest utrzymanie w kategoriach sporu estetycznego, że stało się sprawą światopoglądową autora recenzji. Powiedzmy raz jeszcze: co według Placheckiego istnieje poza kategorią interpretacji marksowskiej? Idealizm? Ucieczka w niebyt? A może nierzeczywistość i bojące się realiów literackich metodologie wypaczonych strukturalizmów, szufladki do wynajęcia dla grzecznych autorów, którzy naczytali się „Zarysu poetyki”, czy „Zarysu teorii literatury” trzech autorów?

Waśkiewicz jest hermeneutykiem. Zdając sobie sprawę z klasyfikacji w pewnych umownych ogólnikach — usiłuje „żyć w aurze (analizowanego) tekstu” (Ricoeur). Jest to metoda jedyna, asymilująca dla swoich potrzeb pojęcia filozofii marksistowskiej (rzeczywistość immanentna i przedstawiona), estetyki, socjologii literatury, antropologii strukturalnej etc. Autor w każdym z esejów operuje inną metodą badawczą, różniąc metody tak, jak różnicowane są poetyki; faktem jest, że ze względu na dzwiczność i kompilacyjny charakter niektórych esejów — ucieka Waśkiewicz w interpretację nie dającą się bliżej scharakteryzować, poza jej hermeneutycznym opisem interpretacyjnym. Musi więc ponieść konsekwencje swego wyboru. Ale terrorytą jest zakładanie statecznych terminów na materiał krytycznoliteracki i interpretacyjny tym bardziej, że stateczka ta jest bardzo wątpliwa. Wystarczy obserwować historię teorii literatury, by zrozumieć wszystko: stosuje się kategorię „wiersza wolnego” i tą sprawą załatwia się całą interpretację rytmiki wiersza współczesnego. Upadły sylabizm, sylabotoniemy, nic już te kategorie nie wnoszą. Waśkiewicz nie zmieścił się więc Placheckiemu w szufladkach, które okazały się za płytkie na balast problematyki, na rozbudowaną dokumentację i materiał argumentacyjny. Nie ma też racji Plachecki dowodząc „kradzieży tytułu” dokonanej przez Waśkiewicza na Brzowski, Lamie, Wyce, Kwiatkowskim. Jeśli tak — to złodziei było więcej. Sądzę jednak, że rozpiętość poetyki awangardy krakowskiej i jej kontynuatorów pozytywnych i negatywnych między realiami a metareplimami, między snem a jawą, między rygiem a marzeniem — jest kategorią interpretacyjną. I im więcej książek i prac powstanie na ten temat — tym kategoria stanie się bardziej pewna. Nic tu nie może zadufane „dajmy spokój”; teoria literatury to nie karuzela, którą nakręcając przemadzali terrorysty. Tym bardziej, że należy wpaść w wiedzę autora, który w recenzji opublikowanej w powyższym piśmie pisze: „pojęcie konstrukturyzmu... wywodzi się z Peiperowskiej formuły „proza nazywa, poezja pseudonimuje”. Nie, pojęcie konstrukturyzmu wyszło i nabrało sensu w Literackim Centrum Konstrukturyzmu, jakie działało do 1930 roku w Związku Radzieckim. A może Marian Plachecki uważa, że nie było na świecie Majakowskiego, Chlebnikowa, Sielwinskigo? Może wystają mu z którejś szufladki i lepiej „dać im spokój”? Wiadomo wszak, że peiperowy „pseudonim” to nic innego, jak okr. tropu z jego podtypami, metaforą, metonimią, epitetami, porównaniami etc. Ale po to trop nazywał Peiper pseudonimem, by nigdy więcej nie można było powiedzieć, że (jak pisze Plachecki) „pseudonim jest zupełnym odrzuceniem rzeczywistości na korzyść swobodnej gry fantazji”; nie, pseudonim jest pseudonimem rzeczywistości, wykonawczym dokładną relacją z jej cech. Tu już jednak Plachecki nie daje definicji pojęcia. „Dajmy spokój”. Piszę jeszcze o niebezpieczeństwie „skazania poezji na słowo”; chciałoby się zapytać: a czym jest poezja, jak nie sytuacją językową? Co istnieje poza słowem, jego znakiem i desygнатem?

Nie można się zgodzić jedynie na skazanie poezji na krytykę literacką ignorantów jak i na skazanie interpretacji humanistycznej na kontrolę niedouczonej mądrości. Idmy dalej: nieprawdą jest, jak sugeruje Plachecki, jakoby „poetów... łączyło w pokolenie to, że przynoszą wiersze do tego samego wydawnictwa, dostają stypendia od wspólnego mecenas, podlegają identycznej cenzurze”. Kategoria pokoleniowości jest u Waśkiewicza daleko bardziej rozsądna: pokolenie łączy przeżycia, sytuacja społeczno-historyczna, wiek — czyli sposób widzenia świata. W tym tkwi sens mówienia o pokoleniu i jego recepcji w historii literatury.

Nie mówmy na marginesie książki Waśkiewicza o potrzebie literatury popularnej, bo nie dla takiej potrzeby ta książka powstała. Warto też ustalić co jest współczesnością dla Waśkiewicza, a co dla Placheckiego. Waśkiewicz stara się o nowe, poszerzone ale solidnie udokumentowane spojrzenie na rezultaty praktyczne propozycji Tadeusza Peipera. Współczesność krytyki literackiej to dla niego jej rozwój. Plachecki mówi o „perspektywie uogólnień określających naszą obecną sytuację”. W sensie potocznym — mówię więc o tym samym. W sensie światopoglądowym — Waśkiewicz estetyzuje na kanwie marksizmu, który powstał jako idea wiek temu. Plachecki reprezentuje światopogląd „dawania spokoju” i marazmu. W sensie metodologicznym — Waśkiewicz poszukuje i znajduje, Plachecki szufladkuje. Klasyfikacja najnowszych dzieł w starych kategoriach jest hamulcowata.

Książka Waśkiewicza jest dla problemu znacząca. Uzupełnia stan badań nad jednym z najciekawszych problemów naszej najnowszej historii literatury: schody awangardy krakowskiej. Egzystuje obok pracy Jaworskiego o Peiperze, obok pracy Sławińskiego o poecie ekipy krakowskiej, przedłużając zasięg znaczeniowy i funkcjonalny poetyki Peiperowej. Wydaje się, że „Rygor i marzenie” nie trzeba bronić (także przed zupełnie bezpodstawnymi wywodami E. Rodé, „Kultura”, nr 19(1973), praca ta broni się sama.

SERGIUSZ STERNA-WACHOWIAK

Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, Rygor i marzenie. Szkice o poetach trzech awangard. Łódź 1973.

OBRONA „ATLANTICU”

Panie Redaktorze!

Uważam, że Czytelnikom MKL „Liter” należy się wyjaśnienie w związku z listem Jerzego Jurkiewicza (zamieszczonym w numerze 1 z 1974 roku) pt. „Kino studyjne w Gdyni”...

Przy układaniu repertuaru bierzemy zawsze pod uwagę uodobniania naszej publiczności. Uważam, że repertuar naszego kina jest dostatecznie zróżnicowany... Oceniając nasz repertuar trzeba mieć na uwadze konkretne możliwości, jakimi dysponuje Centrala Wynajmu Filmów... Stawiam w swej pracy na „kino satysfakcji moralnych”, lecz muszę stwierdzić, że kształtowanie takiego repertuaru filmowego nie jest sorowat łatwą. Zobowiązuje owe owożenie, ideowe rozumienie filmu, co z drugiej strony ogranicza ekonomiczną pozycję kina. W naszym układzie organizacyjnym finanse istnieją bowiem w oderwaniu od kształtu repertuaru... W swej naiwności broniłem zawsze idei wyświetlania wszystkich dostępnych nam filmów „liczących się” reżyserów... Otóż według J. Jurkiewicza 3 „Oskary” „Nocnego kowboja”... nagroda Międzynarodowego Katolickiego Biura Filmowego — otrzymała „tandeta”. Ciekaw jestem, jakimi „kwalifikacjami” leatymują się ci, którzy te „Oskary” przyznali filmowi tak „arcyalubnemu”?

J. Jurkiewicz wszystkich miesza z „błotem”, nie dając w zamian nic. Mami to dyskusję, krytykę, którzy na swej drodze wszystko niszczą, szarżując brawurowo, tylko w imię czego?... Rozsądek, a nade wszystko, umiar, powinien cechować ludzi skłonnych do „oskarżeń”. Słyszeliśmy już nieraz, że kina są ośrodkami demoralizacji młodzieży. Są osoby... które z jakąś szczerą obojętnością... ostrzegają przed deprawacją młodzieży. Oczywiście mają rację, tylko niech nie wychodzą z założenia, że dorastająca młodzież pasjonuje się najbardziej grą w Czarnego Piotrusia... Jako kino studyjne zaspokajamy raczej potrzeby poznawania zjawisk, kultur w zakresie szerszym, niż w normalnym kinie. Być może kształtujemy też gust artystyczny. A czcicie kultury elitarną muszę pamiętać, że jeżeli będziemy zbyt gwałtownie kulturę masową uszlachetniać, to zarazem trzeba będzie zrezygno-

wać z jej masowości; najciekawsza kultura masowa jest tam, gdzie następuje homogenizacja, mieszając się masowość i artystyzm, wulgarność i coś bardzo subtelного. Jeżeli w ten sposób zaczynamy odczytywać film, to widzimy, że na swoim prymitywnym poziomie oddaje pewne podstawowe sprawy...

Reakcyjne exposé zapowiedziało radykalną zmianę profilu „Liter”... Obawiam się, że w tym nowym profilu było miejsce na list, a zabraknie na wyjaśnienie. Tak naprawdę to ten „nowy profil” uważam obojętnie za bardzo „strojny”. Czy jako wydawca, który czyta i kwalifikuje do druku, jest Pan również zdania, że o wartościach miesięcznika kulturalnego decydować będzie taaka sprożka? A p. Jerzego Jurkiewicza uprzejmie proszę o uściślenie swych propozycji repertuarowych, serdecznie zapraszam do bliższej współpracy.

Jan Brzeski
Kierownik kina
studyjnego „Atlantic”
w Gdyni

ŻYWOTNE KINO

Gdy w 1973 r. redakcja „Liter” wydała specjalny numer poświęcony Gdyni, napisałem, że nie posiada ona niestety takich ośrodków kulturalnych jak Gdańsk, jednak do najbardziej żywotnych zaliczam Międzynarodowy Klub Prasy i kino studyjne „Atlantic”.

Dziwi mnie przeto ogromnie, że w pierwszym numerze nowego „Liter” znalazłem list czytelnika krytykującego ogromnie to kino. Od czasu ukazania się wymienionego numeru specjalnego do dziś upłynęło sporo czasu, a przecież dzieje się stale naprzód i polepsza my naszą pracę kulturalną... Czy zatem kierownictwo kina „Atlantic” nie idzie w tym kierunku, żeby ją ulepszyć? Postaram się na to pytanie rzeczowo odpowiedzieć, gdyż jestem stałym widzem kina... Otóż mogę wymienić szereg filmów, które wyświetlało się tam na seansach ogólnych, nie w cyklu studyjnym...

Czy w tak bogatym repertuarze, jaki przedstawia kino, nie może znaleźć się czasem film mniej wartościowy? Każdy z tych filmów poprzedzony jest krótką prelekcją, przyjmowaną z uznaniem przez widzów. Ponadto w hallu umieszczono gablotkę, która informuje o następnych filmach.

Niezależnie od tego, w srody wyświetlane są z prelekcją filmy studyjne. Kino skupia 4 Kola Dobrego Filmu gdynskich szkół średnich. Należy do czołówek kin studyjnych (po stolicy i Krakowie), plan miesięczny wykonuje w 122%. List czytelnika jest grubym nieporozumieniem i wyrządza niesłuszną krzywdę.

Alfons Wysocki
Gdynia

O MŁODZIEŻY

Jestem czytelnikiem waszego miesięcznika, który uważam za względnie udany, ale można mieć do pewnych artykułów małe „ale”. Chodzi mi tu o artykuł Andrzeja Wróblewskiego „Smutek kultury dyskotek” (1974, nr 2). Nie znam Andrzeja Wróblewskiego i nie wiem, w jakim jest obecnie wieku, ale sądzę, że wiek jego nie jest zbyt wygórowany... Bardzo mnie poruszyły i myślę, że nie tylko mnie słowa, w których Andrzej wyraża się bardzo krytycznie o młodzieży.

„Ten rodzaj muzyki — łatwej, rytmicznej, hałaśliwej — odpowiada przede wszystkim naturą prymitywną, bo działa na naskórkową warstwę wrażliwości. Rytm i jazgot głośników są jak narkotyki, wtrącają w błogostan, w którym można nie myśleć i zredukować funkcję istnienia do najprostszych czynności fizycznych”.

Uważam, że słowa te są bardzo obraźliwe w stosunku do polskiej młodzieży. Wynika z nich, że wszyscy melomani jazzu i beag-beatu to chuligani, prymitywi i narkomani, którzy... przychodzą do dyskotek, aby „wtącić się w błogostan” i zapomnieć o świecie. Może się mylę, a może źle zrozumiałem sens tego artykułu.

Wasz czytelnik

Zbigniew Urbanik
Bytom

O PROPAGANDZIE

Lektura artykułu dr. M.F. Rakowskiego „Wycisze z epoki manufaktury” skłania do rozważań, a zarazem zachęca do gratulowania Redakcji „Liter”, że zdobyła się na tak widoczny postęp w doborze treści publikacji.

Zatroskanie autora o następstwa nasilonego oddziaływania propagandowego, jest bardzo uzasadnione. Odczuwają to nie tylko publicyści pisujący w periodykach, ale i przeciętni propagandyści szczebla „Polski powiatowej”, których np. nakłania się do oddziaływania na upowszechnienie postaw laickiego, racjonalistycznego postępowania w życiu codziennym.

Dawne, wieloletnie oddziaływanie ideowe — propagandowe TPD, TSŚ i SAIW, być może wówczas niedostateczne, mało efektywne, ma obecnie przejąć T.K.K.S. Może mu się to uda. Oby! Przyszłość i mankamentem wydają mi się założenia organizacyjno-srodowiskowe: nie będzie sprzyjało prężności i ofensywności mniemanie, że bieżą oddziaływanie TKKS powinno być środowisko oświatowców, nauczycieli. To nie wystarczy! Należy, mimo wszystko, zachęcać do aktywności medyków, ekonomistów i wszelkich odmian „technokratów”. Tyle może uwag z zakresu „strategii” propagandy. „Manufakturyjność” metodyki propagandy musi być wzbogacona o nowe środki. Jeśli metodolodzy i propagatorzy „amerykańskiego stylu życia” mogą opierać się na rozeznaniach i stwierdzeniach „Insty-

tutu Gallupa" i podobnych, dlaczego Polacy, czy inni członkowie z grupy państw RWPG, muszą posługiwać się tylko danymi GUS, lub... własną wyobraźnią i domniemaniem, bo odczuwamy — jak stwierdza red. Rakowski — „wybitny niedorozwój zaplecza naukowego propagandy”.

A przecież powstaniu Instytutu Badania Opinii Publicznej nie przeszkadzały jakieś niebawale, nie do pokonania trudności. Socjologów, humanistów, statystyków i innych przydatnych specjalistów, możemy na pewno w kraju znaleźć. Dać im tylko właściwy program, autorytatywne kierownictwo... a środki na pokrycie nakładów również mogą się znaleźć, bez wielkiego uszczerbku dla obywatelskiej kieszeni. Można przecież całość zagadnienia podporządkować np. Komitetowi d/s Radia i Telewizji, a kosztami, na pewno niezbyt wygórowanymi, obciążyć nawet... abonentów. Znosią to bez sarkania i ubolewania. Dla ewentualnego przyszłego Ośrodka, czy Instytutu Badania Opinii Publicznej, przydatne mogą być wyniki ankiet, takich jak ostatnio rozpisana przez WDK w Gdańsku, pod hasłem: „Wiedza potrzebna życiu”. Można się spodziewać, że ankieter, tj. WDK, poda do wiadomości wyniki zgromadzonych informacji i opinii, gdyż mimo, że ankietą była anonimowa, zawierała dość dużo określeń i szczegółów o osobach respondentów i ich opiniach.

Sądze, że „Literacy” i autor, dr M. F. Rakowski, mogą być usatysfakcjonowani odzewem czytelników na ich propozycję, czego potwierdzeniem niech będzie i niniejsza odpowiedź.

Czytelnik z Kwidzyna
(nazwisko i adres
znane redakcji)

KASZUBSKIE WIDOKÓWKI

Biurowy Wydawniczy RSW „Prasa-Książka-Ruch” wypuściło na rynek serię dzieł w barwnych widokówkach tematycznie związanych z Kaszubami. Na widokówkach zaprezentowano: Muzeum Biograficzne Józefa Wybickiego w Będzinie, Zespół Pieśni i Tańca „Kaszuby” z Kartuz (2), Kaszubski Park Etnograficzny we Wdzydżach (witrak — koźlak oraz witrak — koźlak i chata), motel we Wdzydżach, kościół z XIX wieku w Kościerzynie, Ośrodek Sportów Wodnych nad j. Ostrzyckim (2). Wszystkie ujęcia są bardzo interesujące, kolorystycznie naturalne i co również ważne — wyraźne. Autorem widokówek jest znany fotografik gdański, Zygmunt Grabowiecki. Cena pocztówki — 2 zł. (b)

FESTIWAL PIEŚNI O MORZU

W dniach 14—16 czerwca br. odbędzie się w Wejherowie V Festiwal Pieśni o Morzu, organizowany w tym mieście co dwa lata. Protektorat nad obecnym festiwalem objął II sekretarz KW PZPR w Gdańsku Tadeusz Fiszbach. Organizatorzy wydali informator — regulamin, w którym opublikowano skład osobowy Komitetu Honorowego i Komitetu Organizacyjnego, a także regulamin, z którego wynika, że festiwal ma zasięg ogólnopolski. (b)

KONKURS ARCHITEKTONICZNY

Jury, pod przewodnictwem doc. mgr. inż. arch. Zbigniewa Czekanowskiego, rozstrzygnęło konkurs na koncepcję architektoniczno-urbanistyczną Centrum Techniki Przemysłu Okrętowego w Oliwie. Laureatami konkursu zostali dwaj zespoły architektów gdańskich: dr. inż. arch. L. Taraszkiewicz, mgr. inż. arch. B. Domsta i mgr. inż. arch. A. Rożewski oraz mgr. inż. arch. W. Mokwiński, B. Petrycki, J. Popek i R. Senka. (RES)

O CONRADZIE W TEKSASIE

W styczniu na Uniwersytecie w Lubbock w Teksasie odbyło się sympozjum conradowskie. Była to pierwsza z serii imprez organizowanych dla uczczenia 50 rocznicy śmierci pisarza. (EHM)

„IT” POMOŻE

Co miesiąc Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej w Gdańsku i „Gdańsk-Tourist” wydaje bardzo pożyteczne, nie tylko dla turystów, wydawnictwo. Sygnowany literami „it” — „Informator Turystyczny i Kulturalny Województwa Gdańskiego” informuje o hotelach, restauracjach, tak-sówkach, ale także o organizowanych wycieczkach, planowanych premierach teatralnych i operowych, repertuarze kin i muzeów. (EHM)

KONKURS PROZATORSKI

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku wspólnie ze Związkiem Literatów Polskich ogłaszają konkurs na opowiadanie lub nowelę o tematyce współczesnej, dla autorów zamieszkujących województwo gdańskie. Preferowane będą utwory o tematyce związanej z naszym regionem. Konkurs jest otwarty. Należy nadsyłać utwory nigdzie dotąd nie publikowane. Każdy autor może nadesłać dowolną ilość prac. Ich objętość nie może przekraczać 45 stron normalizowanego maszynopisu.

Termin nadsyłania prac mija 31 sierpnia 1974 roku. Prace powinny być zaopatrzone godłem. Należy je przesyłać na adres: Oddział Gdański Związku Literatów Polskich ul. Mariacka 50/52, 80-833 Gdańsk.

Ustala się nagrody: I — 15 000 zł., II — 10 000 zł., III — 5000 zł. Oprócz tego przyznane będą trzy wyróżnienia po 2000 zł.

SZTUKA ANNY ŁAJMING

Nakładem Zrzeszenia Kaszubsko - Pomorskiego ukazała się trzecia już książka Anny Łajming, sztuka „Gdzie jest Bałbina?”. Czytelnicy zbiorów opowiadań „Miód i mleko” i „Symbol szczęścia” odnajdą tu ten sam świat. Twórczość tej samorodnej pisarki, tworzącej z datą od literackich gdańskich, ciąga swoją odrębnością.

Srodowisko, które opisuje, jest zamknięte, a przecież czytając jej utwory doznajemy nie tylko zaciekawienia rodzajowym obrazkiem, ale i wzruszenia nad ludzkim losem.

„Gdzie jest Bałbina?” — to utwór pełen sentymentu i humoru. Odnacza się przy tym niebanalnym rozwiązaniem dramaturgicznym. Oczywiście niejako odbiorcami tej sztuki będą członkowie amatorskich zespołów teatralnych. Jednak oryginalna twórczość Anny Łajming zyskała już sobie na naszym terenie szeroki rezonans. Dwa dotychczas wydane zbiory jej opowiadań zainteresowały nie tylko krag osób skupionych wokół Zrzeszenia Kaszubsko - Pomorskiego. Także czytelników szukających w literaturze nie tylko talentu, formalnej zręczności, ale i odautorskiej szczerości, wynikającej z prawdy przeżycia. Tym wszystkim można polecić także sztukę „Gdzie jest Bałbina?”.

Warto podkreślić, że jest to pierwsza książka z planowanej przez Zrzeszenia Kaszubsko - Pomorskie, serii „teatralnej”. Okładkę, która będzie wspólna dla całej serii, projektował Romuald Mikicicz. (EHM)

Z KIELNA DO TURKMENII

Alojzy Nagel, poeta kaszubski z wejherowskiej wsi Kiarno, zyskał swą twórczością szczególną popularność. Nagel, autor dwóch tomików poetyckich „Procem noc” i „Cassubia fidelis”, otrzymuje listy od czytelników z całej Polski. Interesują się też twórczością Nagla za granicą; jego utwory drukowane były m. in. w Austrii i na Łużycach oraz w Związku Radzieckim. Red. Aleś Trojanowski z Mińska, tłumacz Nagla na język białoruski, zaplanował poezję Nagla w Kielnie, przygotował obecnie antologię poezji kaszubskiej w języku białoruskim.

Ostatnio do Alojzego Nagla z prośbą o jego tomiki zwrócił się lingwista Aleksander Duliczenko z dalekiej Turkmieni, informując, że szczególnie interesują go problemy regionalnych języków słowiańskich, a więc i kaszubskiego. Poeta z Kielna rzecz jasna prośbę jego spełnił. Tak więc poezja kaszubska Nagla przekroczyła granice Europy. (tr)

POLSKIE BALETY

9 lutego w Państwowej Operze i Filharmonii Baltyckiej odbyła się premiera trzech polskich baletów: „Syldif” do muzyki Fryderyka Chopina, „Gilgamasz” Augustyna Blocha, „Odwiecznych pieśni” do muzyki Mieczysława Karłowicza. Inscenizacja, reżyseria i choreografia „Syldif” jest dziełem wybitnej przedstawicielki radzieckiego baletu, Natalii Konius. Praca ta jednocześnie kontynuuje zaczęta wcześniej twórczą współpracę. Balet „Gilgamasz” jest debiutem choreograficznym solisty baletu Gustawa Klauznera. Choreografię do „Odwiecznych pieśni” opracowała Janina Jerzyńska - Sobczak. Oprawa scenograficzna do wszystkich trzech baletów jest dziełem Jerzego Kreczowicza. Kierownictwo

AUKCJA ANTYKWARYCZNA W BYDGOSZCZY

Niepostrzeżenie zupełnie, w ciągu kilkunastu lat pojawiła się na Pomorzu nowa placówka, bez której, pomimo iż nie prowadzi się w niej badań naukowych, nie można sobie wyobrazić klimatu naukowo-kulturalnego tych ziem. Tym wydarzeniem, które w początkach obdarzone zapewne jedynie dobrym słowem instytucjonalnych opiekunów, nie spodziewających się znaczenia, jakiego dobieje się ta placówka w najbliższej przyszłości, jest bydgoski Antykwariat Naukowy. Solidna, zgola z pozytywistycznymi hasłami współbrzmiejąca praca od podstaw podjęta przez Leona Różyńskiego, świetnego fachowca, bibliofila i zanego człowieka przynosi efekty, których wymowę w całokształcie nie



tylko polskiego życia kulturalnego trudno przecenić. Praca ta kontynuowana przez obecnego kierownika antykwariatu, Mieczysława Oparę oraz Romana Rutkowskiego i Stefanię Łowińską, doprowadziła do tego, że antykwariat bydgoski stał się obok krakowskich i warszawskiego najpoważniejszym w kraju.

Raz do roku, na antykwarycznych aukcjach spotykają się w Bydgoszczy antykwarusze, przedstawiciele najpoważniejszych bibliotek krajowych i zgola prowincjonalnych, a także miłośnicy książek — bibliofile. Na tegorocznej szóstej aukcji, która odbędzie się w dniach 22 i 23 kwietnia w salach zabytkowych spichrz, tradycyjnie użyczanych na tę okazję przez Muzeum im. L. Wyczółkowskiego, wystawia bydgoski antykwariat 2285 inkunabulów, starodruków, książek XIX-wiecznych, periodyków i pism ulotnych, zarejestrowanych w staranym katalogu aukcji. Dwie najpoważniejsze biblioteki krajowe — Narodowa i Jagiellońska, korzystając z prawa pierwokupu, wybrały z katalogu do swych zbiorów blisko 460 pozycji.

Trudno wymienić wszystkie pozycje aukcyjne, nawet te najciekawsze, ale nie można nie zauważyć kilku rzadkich pozycji bibliograficznych rejestrujących rosyjskie druki od początków typografii; Pomeraniców, które stanowią szczególnie obiekt zainteresowania bydgoskiego antykwariatu, unikatowego na aukcjach kompletny „Bibliografii Polskiej” K. Estreicher, „Chronica Polonorum” Macieja Miechowity czy wreszcie nie rejestrowanego przez „Incunabula Poloniae” inkunabułu weneckiego z 1497 roku Dunsza Scota. (res)

muzyczne sprawował Zbigniew Chwedeuk. Spektakl ten, świadectwo wysokich artystycznych ambicji, spotkał się z bardzo pochlebną oceną wybrzeżowych krytyków. (ehm)

KONKURS POETYCKI

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku i Związek Literatów Polskich organizują konkurs poetycki dla mieszkanców województwa gdańskiego. Konkurs jest otwarty; mogą wziąć w nim udział także auto-

rzy nie będący członkami Związku Literatów Polskich.

Rozpatrywane będą utwory nigdzie dotąd nie publikowane. Każdy uczestnik konkursu może nadesłać tylko jeden zestaw wierszy (minimum trzy utwory) lub poemat. Prace, opatrzone godłem, w trzech egzemplarzach należy nadsyłać do dn. 31 sierpnia 1974 roku na adres: Oddział Gdański Związku Literatów Polskich, ul. Mariacka 50/52, 80-833 Gdańsk.

Przyznane będą nagrody: I — 5000 zł., II — 3000 zł., III — 2000 zł. Przyznane będą także trzy wyróżnienia po 1000 zł.

SPORT DLA LUDZI MOCNYCH CZY BRUTALNYCH

W 1683 r. powstała w Anglii pierwsza organizacja piłkarska Football Association. Nowożytny futbol znajdował się wówczas w powiśkach, przepisy wraz z ich interpretacją przypominały płynną, nieskrytalizowaną magmę, w wielu punktach były nie do ogarnięcia przez swój brak precyzji. W tym kontekście traci wyjątkowo anegdotyczny charakter secesja kilkunastu fantazyjnie i przekornie nastawionych dżentelmenów, którzy pewnego jesiennego dnia 1872 roku zadali nie tak chyba retoryczne pytanie: dlaczego tylko nogami, a nie rękoma? W ten sposób powstał The Rugby Football Union, organizacja swoistych odszczepieńców, skutecznie broniąca swej odrębności, ba! niemniej skutecznie potrafiąca propagować i rozwijać nową dyscyplinę. Istotnie, niebawem nastąpił jej bujny rozwój i to nie tylko na angielskim gruncie. Ogarniać zaczęła coraz to nowe kraje lub zgoła kontynenty, najpodatniejszy grunt znajdując w Australii, Nowej Zelandii, a jeszcze później w Płd. Afryce. Czy dlatego, że pomiędzy innymi tam właśnie sięgały silne, polityczno-kulturalne wpływy Imperium? Zapewne, choć nie tylko.

Na antypodach charakter tego sportu trafiał do przekonania ludziom prostym, zwyczajnym, ciężkiej pracy i codziennego ryzyka. W ogólnych zarysach pasował do ich psychiki i do ich sytuacji życiowej. Na podobnych zresztą (choć nie identycznych) zasadach rozwinął się on żywiołowo w Ameryce Północnej, osiągając z czasem specyficzną formę tzw. futbolu amerykańskiego. Inaczej we Francji. Tam o jego popularności przesądzały inne względy, ze swoistym snobizmem sportowym na czele. Zapożyczenia i kopiowanie były w tej mierze tak duże, że np. tradycyjnie uprawiany tzw. boks francuski (dopuszczający używanie nóg) został kompletnie zarzucony pod wpływem wzorców pięściarstwa klasycznego rodem z Wysp Brytyjskich. Kwestia sportowej wpływalności to odrębny problem. Przysługa może wywodzić wyżej przytoczony jest o tyle usprawiedliwiony, że pośrednio dotyczy początków rugby w Polsce.

Pozналиśmy tę grę z drugiej ręki, jeszcze przed wojną propagowali ją u nas pracownicy francuskich misji wojskowych. Była to jednak efemeryda, niezdolna wzbudzić wówczas trwałego zainteresowania publiczności i ewentualnych możliwych mecenasów. O polskim rugby z prawdziwego zdarzenia można mówić dopiero w połowie lat 50-tych, kiedy garstka zapaleńców (to najbardziej z delikatnych wówczas określić) z warszawskiego AWF podjęła się wdziennej i niewdzięcznej zarazem roli pionierów tego sportu. Sportu, który wciąż na naszym, krajowym gruncie nie jest w pełni znany, rozumiany, a co za tym idzie — doceniany. Z czego to wynika? Brak większych tradycji nie tłumaczy bowiem wszystkiego. Zapewne wina leży w

sporej mierze po stronie organizatorów i wyznawców tej dyscypliny, którzy jak gdyby godząc się biernie na jej hermetyczność i swoistą elitarność — nie wykorzystują choćby w drobnej części tych możliwości, jakie daje umiejętnie przeprowadzona akcja propagandowo-reklamowa. Podczas, gdy w Anglii lub Francji na co ciekawsze mecze przychodzi wielotysięczne rzesze kibiców, wypełniające stadiony po brzegi, u nas dwudziestotysięczna widownia stanowi niestłuchany ewenement. A przecież rugby to gra nader widowiskowa, obfitująca w zmienne, dramatyczne momenty, toczona w szybkim tempie, porywająca. Gra twarda, ostra, męska. Przeznaczona dla ludzi mocnych, sprawnych, kochających ryzyko i walkę. Liczy się w niej



nie tylko siła lecz w nie mniejszym stopniu refleks, szybka decyzja, odwaga.

Mogłoby się wydawać, że sport stawiający takie wymagania powinien stanowić magnes przyciągający doń liczne rzesze młodzieży. Teorie bowiem o rzekomym zniewieścieniu i gnuśności współczesnych nastolatków należy traktować niezwykle dostojnie. Nadal wśród młodzieży są w cenie przytoczone powyżej cechy. Cóż więc hamuje lub zgoła odstrasza ją od uprawiania tego sportu? Brak należytej propagandy — zapewne. Także nieznamość przepisów czyniąca, dla przygodnego widza, z takiego widowiska nieskoordynowaną pozornie, beładną bieganie i szarpaninę. Osobiście sędzę, że niemniej ważkim czynnikiem powściągującym jest niesprecyzowane, acz powszechne przekonanie o wyjątkowej brutalności rugby. Jest to zresztą klasyczny przykład zjawiska, którego nie widzieliśmy na własne oczy, a wie się o nim i mówi, przy czym obowiązuje zasada stugębnej plotki. Z pozoru mniemanie takie wydaje się uzasadnione: 30-tu zawodników (z reguły o atletycznym wyglądzie),

ostre szarże, przepychania, „młyny”, wzajemne przewracanie się i niemal traktowanie, zderzenia na pełnej szybkości — wszystko to istotnie stwarza nie tylko teoretyczną groźbę kontuzji, trwałych uszkodzeń ciała, zagrożenia zdrowia.

Mgliste wyobrażenia na temat futbolu amerykańskiego, nierzadko utożsamianego w potocznym odczuciu z rugby, ugruntowują owo przeświadczenie. Na liście czynników opiniotwórczych poczesne miejsce zajmuje u nas film znakomitego Lesley Andersona „Sportowe życie”, którego bohater, zawodowy rugbista, stanowi dowodny przykład, do czego prowadzi uprawianie tego sportu: w jednej tylko akcji w „młynie” traci on wszystkie zęby wskutek brutalnego zagrania przeciwnika... Wszakże w Polsce rugby, przynajmniej wśród zawodników i ludzi związanych z tą dyscypliną, uchodzi za sport nie tylko „bezkrywaw”, lecz zgoła bezpieczny. Mało tego, badania z zakresu medycyny sportowej dowiodły niezbicie, że stopień urazowości jest tu niepomniernie mniejszy, niż w większości innych konkurencji: boksie, piłce nożnej i ręcznej, lekkiej atletyce, ciężarach, narciarstwie itd. Dlaczego? Decydują o tym przynajmniej dwie przyczyny: imponująca sprawność fizyczna samych rugbistów oraz w pełni świadome, poważne podejście do zagadnienia fair play. Wiedzą dobrze, że jakiegokolwiek odstępstwa od zasad „czystej gry” groziłoby przestąpieniem się meczu w istniejątki i dlatego... grają czysto. Kto wie, może akurat na tym przykładzie sprawdza się maksimum, w myśl której ludzie naprawdę mocni (nie tylko w kontekście fizycznym) nie nadużywają swojej siły. Ostatnio jednak rzeczywistość zadała kłam pięknym i dotąd prawdziwym wyobrażeniom.

Przekonała się o tym ekipa gdańskiej „Lechii”, grająca ub. jesieni wyjazdowy mecz w Poznaniu z tamtejszą „Polonią”. Mecz — koszmar. Obelżywe słowa, kopniaki, uderzenia pięścią, zniewagi słowne i czynne — wszystko to zeszło na plan dalszy przy wprost chuligańskim (bandyckim zgoła!) występku jednego z poznaniaków. W sytuacji, gdy piłka znalazła się w zupełnie innym rejonie boiska, kopnął on z całej siły w szczegól, podnoszącego się akurat z ziemi, Andrzeja Tempczyka — gracza i trenera „Lechii”. Rezultat: wybite zęby, złamana szczęka, wstrząs mózgu, nie mówiąc o pomniejszych perturbacjach. Sędzia prowadzący spotkanie nie zareagował zupełnie, komentarz wydaje się zbyt cichy. Niebawem „Polonia” zjedzie do Gdańska na rewanż. Czy będzie to rewanż krwawy — dostojnie i w przenośni?

Wierzę, że nie. Są realne podstawy, aby tak sądzić. Na przykład Jerzy Klockowski, czołowy rugbista „Lechii”, reprezentant kraju, ongiś świetny dyskobol. Na boisku twardy jak skała, siłą przewyższający większość rywali. „Istotnie jest bardzo dobry — powiedział mi kiedyś o nim pewien trener — ale wie pan, za łagodny, zbyt fair, brak mu tej zadziorności, tej sportowej złości...” Dodam od siebie — na szczęście! Gdyż to, że mu jej brak, pozwala mi zachować wiare, że rugby to sport dla ludzi mocnych, a nie brutalnych. Ot, takie drobne rozróżnienie...



JUŻ KWIECIEŃ

Fotografował Jerzy Hajdul



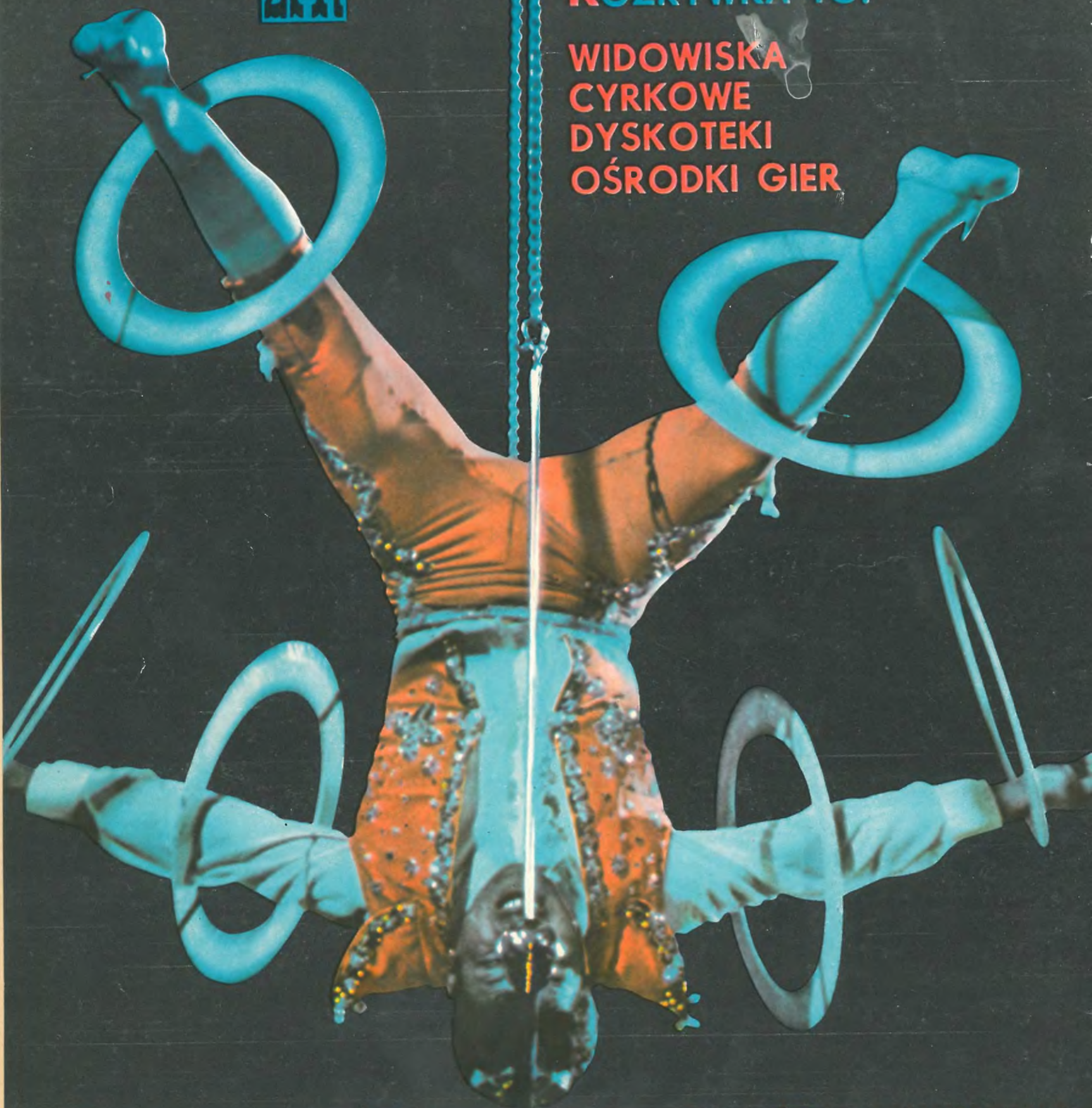
W CAŁYM KRAJU



Zawsze
Przyjemną
Rozrywką

ZAPAMIĘTAJ
PRAWDZIWA
ROZRYWKA TO:

WIDOWISKA
CYRKOWE
DYSKOTEKI
OŚRODKI GIER



Zjednoczone **P**rzedsiewziętorstwa **R**ozrywkowe

Warszawa, ul Senatorska 13/15